

WOLNA
SOBOTA

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Oksana Zabużko: Tolstoj,
forpoczta rosyjskich czołgów ► 6
Iga Świątek. Znamy sekret
jej sukcesów ► 32



Wysokie Obcasy
Uciekły do Polski od
talibów, Rosjan i nędzy
Kasdepke: Głupia
książka też jest mądra



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

OLGA
TOKARCZUK

Mizogini, spadajcie na drzewo

Rozmowa przed premierą nowej książki noblistki



Sobota-niedziela, 21-22 maja 2022 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 8,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 117.10005, 1

Nakład 111 tys. + 280 tys. prenumerat cyfrowych



targi książki
18-31 maja 2022



na **empik.com** czekają na Ciebie:

- rabaty **do -50%**
- spotkania online z autorami
- premiery i nowości

Targi Książki
dostępne także
w salonach
Empik



zeskanuj kod
QR telefonem

REKLAMA 34180203

Roman
Imielski

Res publica, czyli majątek polityka

Czy majątek zgromadzony przez polityka w demokratycznym kraju może nie być znany opinii publicznej? Zwłaszcza jeśli ten polityk jest np. premierem, który przed wejściem do rządu przepisał większość majątku na żonę? Odpowiedź jest oczywista.

Jestem pewien, że w tym momencie przychodzi państwu do głowy nazwisko Mateusza Morawieckiego. Od 2019 r. ujawniamy szczegóły dotyczące majątku należącego dziś do Iwony Morawieckiej, bo dziewięć lat temu małżonkowie dokonali jego podziału. Dzięki temu do dziś nie wiemy, co państwo Morawieccy naprawdę zgromadzili i jak zmienił się ich status majątkowy od 2015 r.

To oczywisty skandal, bo obywatele mają prawo znać takie fakty. Skandal tym większy, że PiS – rękami Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej – wyrzucił jesienią 2021 r. do kosza ustawę o jawności majątków polityków i ich rodzin.

Nowe prawo przygotowano zresztą tylko po to, by na chwilę wyciszyć historię opisaną przez „Wyborczą” pokościelnej działki Morawieckich. Te 15 ha kupili w 2002 r. za zaledwie 700 tys. zł dzięki dobrym relacjom z wrocławską kurią (jak stwierdziła biegła sądowa, kilkakrotnie poniżej wartości rynkowej).

W 2013 r. wyłącznym właścicielem działki została Iwona Morawiecka, i to ona sprzedała grunt w zeszłym roku za prawie 15 mln zł. To też dziwna transakcja – zaledwie 99 zł za metr kwadratowy, podczas gdy średnia cena transakcyjna okolicznych działek to 511 zł.

Pieniądze, jak wykazało śledztwo „Wyborczej”, pożyczyl nabywcom

jeden z najbogatszych Polaków Paweł Marchewka, który – wraz z grupą znajomych i wspólników – od lat skupuje kamienice banku BZ WBK (dziś przejętego przez Santander). Tego, którego prezesem do 2015 r. był Mateusz Morawiecki.

Ale opisywanie przez nas sprawy dotyczącej Morawieckich to też nauczka na przyszłość. Niezależnie od tego, kto w naszym kraju będzie rządził, uchwalenie odpowiedniej ustawy o jawności majątków polityków i ich najbliższej rodziny – żony i męża – jest niezbędne.

Te przepisy powinny zawierać klauzulę o obowiązku ujawniania faktu przepisywania majątku na dzieci czy rodziców. Po to, by skutecznie zamknąć furtki do ukrywania prawdziwego majątku ważnych osób publicznych.

Nie chodzi o żaden publiczny lincz czy dyskredytowanie osób zaradnych finansowo i robiących także kariery poza polityką, np. w banku. To po prostu element obywatelskiej kontroli ludzi, którzy mają ogromny wpływ na funkcjonowanie państwa i tym samym na nasze życie.

Tylko tyle. I aż tyle. ●

Andrzej rysuje



Izrael

Czy będzie kolejna intifada



Jerozolima, pogrzeb Shireen Abu Akleh przeradza się w antyizraelskie zamieszki. Reporterka Al-Dżaziry zajmowała się konfliktami izraelsko-palestyńskimi od ćwierć wieku, była jedną z najsłynniejszych arabskich dziennikarek. Zginęła, relacjonując izraelski nalot na Zachodnim Brzegu. Świadkowie twierdzą, że żołnierze zaczęli strzelać, choć miała na sobie kamizelkę „Press”. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cicha bohaterka Rolanda Garrosa Mączka, miłość Igi Świątek

Mogliby pokopać w piłkę z kolegami po zakończeniu kariery...” – tłumaczył lata temu Rafael Nadal (na zdjęciu), apelując, by więcej turniejów rozgrywano na mączce. Działal na rzecz młodych tenisistów, sam był już stracony; rujnował sobie kolana, staw i ścięgna na kortach trawiastych i twardych. Dziś ma 36 lat i żyje z chronicznym bólem.

Jemu od zawsze miękły kolana, gdy widział kort posypany zmieloną na mączkę cegłą, pod którą są jeszcze warstwy żużlu. Wiedział, że nogi odpoczną, bo amortyzacji będzie więcej. Że gra będzie wolniejsza, bo piłka po odbiciu od mączki zwolni znacznie wyraźniej niż gdzie



indziej (może stracić nawet 40 proc. prędkości) i nie ma co obawiać się tych, którzy na innych kortach serwują, jakby strzelali z armaty. Będzie czas na odpowiednie ustawienie się, na to, by nawet piłkę zagrana na backhend odegrać forhendem. I to tak, by wykorzystać wszystkie właściwości

mączki. Czyli rąbnąć mocno, ale „top-spi-nem”, nadać piłce rotację górną, postępującą. Wtedy – zgodnie z prawami fizyki i właściwościami mączki – piłka przed rywalem odbije się wyżej niż na innych kortach, zacznie „warować” w powietrzu.

Nadal na mączce dominował, na kortach Rolanda Garrosa wygrał 13 razy. Iga Świątek – która forhendem wywija jak on – w Paryżu, gdzie w niedzielę rozpoczyna się jedyny Wielki Szlem na tej nawierzchni, wygrała raz, z tym że seniorską karierę rozpoczęła niedawno. „Na mączce czuję się jak ryba w wodzie” – powiedziała w poprzednim sezonie. ●

Marek Deryło

Cena za słonia

50

50 TYS. DOLARÓW zapłacił w Botswanie Leon Kachelhoffer za zgodę na zabicie słonia z dwumetrowymi ciosami

► Wyborcza.pl/klimat



Nawet Niemcy nie zniszczyli tej kolekcji, bo wiedzieli, że ich potomkowie mogą jej potrzebować. Teraz wszystko zamieniło się w popiół. W tym odmiany liczące setki lat, których nie da się już odtworzyć

DR SERHIJ AWRAMENKO

z charkowskiego Instytutu Przemysłu Roślinnego o zniszczeniu przez Rosjan jednego z największych banków nasion na świecie

Więcej ► Wyborcza.pl/nauka

Fuszerka ministra edukacji i prezesa IPN

Pseudopodręcznik dla Ukraińców

Książka, którą IPN zaprezentował jako „podręcznik do historii Polski dla Ukraińców”, niczego ich nie nauczy. A na pewno zirytuje

Maciorowski



Prezes Instytutu Pamięci Narodowej Karol Nawrocki oraz minister edukacji Przemysław Czarnek o przekazaniu „podręcznika” kuratoriom oświaty poinformowali z pompą na konferencji 4 maja. Chodzi o publikację „Putiwnik z istorii Polshi 966-2016” (Przewodnik po historii Polski 966-2016), której autorami są dr Łukasz Kamiński, do 2016 r. prezes IPN (niedługo zostanie dyrektorem Ossolineum), oraz dr Maciej Korkuć, pracownik krakowskiego IPN i kościelnej uczelni Akademii Ignatianum.

„Podręcznik” przypomina raczej folder propagandowy, w którym na 117 stronach zrelacjonowane zostały dzieje Polski w wersji bliskiej poglądom prawicy. Pełno w tej opowieści uproszczeń, przemilczeń, narracja jest martyrologiczno-heroiczna, silnie zabarwiona religijną egzaltacją. Polska głowę nosi wysoko, z wrogami dzielnie się bije, a bohaterów ma niezłomnych i nieustraszonych. Sama jest tolerancyjna, prawa i sprawiedliwa.

Takie ujęcie można nawet zrozumieć, jeśli się wie, że „podręcznik” powstał w 2016 r. z okazji imprezy stricte religijnej, czyli Światowych Dni Młodzieży zorganizowanych w Polsce pod hasłem: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią”. Ale kto wymyślił, że folder na imprezę katolików ma teraz służyć do nauki historii w większości prawosławnym młodym Ukraińcom?

Jeśli już chcemy im zafundować podręcznik, to powinien on w jakiś sposób uwzględniać ich punkt widzenia na wydarzenia z dziejów obu narodów, które kilka wieków żyły w jednym państwie. Można wymienić wiele momentów, przy omawianiu których konieczna jest szczególna ostrożność i wyczucie: powstanie Bohda-



Kto wymyślił, że folder na imprezę katolików ma służyć do nauki historii w większości prawosławnym młodym uchodźcom?

na Chmielnickiego (1648), wydarzenia z lat 1918-21, sytuacja Ukraińców w II RP oraz – rzecz jasna – tragedia, jaka rozegrała się na Wołyniu i w Galicji w czasie II wojny światowej.

Tymczasem w „podręczniku” – podkreślmy to jeszcze raz – DLA UKRAIŃCÓW powstanie Chmielnickiego skwitowane jest jednym zdaniem: „W 1648 r. rozpoczęło się katastrofalne w skutkach dla Polski powstanie kozackie na terenie Ukrainy” (s. 36). Koniec kropka. Ani słowa o przyczynach buntu, o tle społecznym i politycznym, a nazwisko Chmielnickiego w ogóle nie pada. Nie ma też nic o późniejszej o 10 lat unii hadziackiej, umowie polsko-kozackiej, która mogła doprowadzić do powstania Rzeczypospolitej Trojga Narodów.

Tylko jedno zdanie poświęcono walkom o Lwów. Z „podręcznika” dowiadujemy się, że „zakończyły się latem 1919 r., kiedy to oddziały ukraińskie zostały wyparte za granicę Galicji Wschodniej” (s. 61). Natomiast w kontekście wojny z bolszewikami autorzy folderu piszą: „Piłsudski uważał, że należy pomóc Ukraińskiej Republice Ludowej [nie pada nazwisko jej przywódcy Symona Pe-

tlury], która powstała na gruzach Rosji, ale bolszewicy zajęli prawie całe jej terytorium”. A dalej: „Polacy sprzymierzeni z Ukraińcami zapobiegli atakowi bolszewików i rozpoczęli szturm na Ki-jów”. Na tym koniec. Nie wiadomo, co się stało z tą Ukraińską Republiką Ludową po zawarciu z bolszewikami pokoju w Rydze ani jaki los spotkał sprzymierzonych z nami Ukraińców.

„Podręcznik” milczy także o sytuacji mniejszości ukraińskiej w II RP. Nie ma w nim informacji ani o represjach sanacji wobec Ukraińców, których najbardziej znanym przejawem było palenie cerkwi, ani o terrorystycznej działalności ukraińskich nacjonalistów, którzy przeprowadzili udany zamach na szefa MSW Bronisława Pierackiego (1934).

„Podręcznik” zawiera też czyste brednie. Jego autorzy piszą np., że po zamachu majowym „partie opozycyjne prowadziły swoją działalność bez zakłóceń” (s. 65), tak jakby nie było uwięzienia polityków opozycji w twierdzy brzeskiej, ich procesu i zmuszenia do emigracji niektórych z nich.

O zbrodniach na Wołyniu i w Galicji „podręcznik” pisze tak: „Galicjacy Ukraińcy z UPA, widząc skuteczność fizycznego wyniszczania ludzi przez Niemców, rozpoczęli systematyczną eksterminację Polaków na Wołyniu. W tej akcji zabijania ludzi zamordowano ponad 100 tysięcy Polaków. Celem było unicestwienie ludności polskiej w tych regionach w krótkim czasie” (s. 86).

Tej tragedii oczywiście nie można pominąć ani w żaden sposób usprawiedliwiać. Ale pisząc o niej w podręczniku dla Ukraińców, konieczne jest szersze spojrzenie i postawienie odpowiednich pytań. Na jakiej glebie wzrósł ukraiński nacjonalizm? Dlaczego w 1941 r. Ukraińcy aspiracje niepodległościowe wiązali z Trzecią Rzeszą? Dlaczego wydarzenia na Wołyniu i w Galicji my nazywamy zbrodnią, a wielu Ukraińców „wojną domową”? Bez względu na to, jak sami tę tragedię oceniamy, nie powinniśmy bać się wchodzenia w dyskusję o niej z młodymi Ukraińcami. Tymczasem „podręcznik” serwuje im arbitralnie sformułowane oceny.

Trudno zrozumieć, po co w ogóle w maju, nieco ponad miesiąc przed wakacjami, IPN zainwestował w taką książkę. W kończącym się roku szkolnym ukraińska młodzież i tak raczej z niej nie skorzysta. A gdyby nawet wzięła ją do ręki, to zapewne odrzuci, uznając ją za obraźliwą.

Przede wszystkim jednak trudno zrozumieć, po co IPN zainwestował w druk 8 tys. egzemplarzy (ma być też dodruk) folderu propagandowego przeznaczonego dla katolików z całego świata, skoro w 2015 r., czyli zanim zaczęli w nim rządzić nominaci PiS-u, Instytut przygotował profesjonalny podręcznik dla Ukraińców pt. „Polsza. Narys istoriej” (Polska. Zarys historii).

Jest obszerniejszy (liczy ponad 360 stron) i przygotowany przez prawdziwych fachowców. Jego redaktorem był prof. Włodzimierz Mędrzecki (PAN), a wśród autorów znaleźli się m.in. profesorowie: Maria Starnawska, Igor Kąkolewski, Jarosław Czubały, Tomasz Kizwalter, Maciej Janowski, Jerzy Eisler i Antoni Dudek. Został napisany z wyczuciem, a każdy rozdział kończą celne wskazówki dla nauczycieli „O czym rozmawiać?”.

IPN wprowadzie zapewnia, że we wrześniu również ta pozycja zostanie dodrukowana (nakład z 2015 się rozszedł). Po co więc w maju zainwestował w propagandę? Pseudopodręcznik Korkucia i Kamińskiego w ogóle nie powinien znaleźć się w rękach Ukraińców, bo jest szkodliwym buble. ●

Miroslaw Maciorowski

Top 5 Wydarzenia najbliższego tygodnia

Sobota

W Australii wybory

1 Sondaze wskazują na porażkę centroprawicowej koalicji rządzącej i powrót do władzy, po dziewięciu latach, lewicowej Partii Pracy (jednak ostatnio wyniki australijskich sondaży się nie sprawdzają). Najważniejszymi tematami kampanii są rosnące koszty życia i opieki zdrowotnej, polityka klimatyczna (Australia jest jednym z największych eksporterów węgla) oraz relacje z Chinami – obaj konkurenci zarzucają sobie wzajemnie zbytnią uległość wobec Pekinu.

Wtorek

Od piątku prezydent Joe Biden podróżuje po Azji

2 Odwiedza Japonię i Koreę Południową, czyli najbliższych sojuszników USA na kontynencie. W Tokio spotka się z przywódcami państw sojuszu Quad (Australia, Indie, Japonia, Stany Zjednoczone), nazywanego „azjatyckim NATO” i będącego odpowiedzią na ekspansywną politykę Chin w Indo-Pacyfiku. Biały Dom zasugerował też, że możliwa jest wizyta prezydenta w strefie zdemilitaryzowanej oddzielającej obie Koree.

Wtorek

Upolityczniona KRS wybiera nowego szefa

3 Główny punkt pierwszego posiedzenia nowej KRS to wybór przewodniczącego. Niedawno Sejm głosami PiS i Kukiz'15 wybrał do rady rzekomych przedstawicieli sędziów. Stanowiska otrzymali m.in. prezesi sądów z nominacji Ziobry i byli pracownicy jego resortu. Przez cztery lata będą wskazywać prezydentowi, kogo ma powołać na sędziego. Trybunał w Strasburgu orzekł, że tak powołani sędziowie SN nie gwarantują rzetelnego procesu.

Czwartek

ZAKSA znów w finale Ligi Mistrzów

4 O godz. 21 ZAKSA Kędzierzyn-Koźle będzie bronić najcenniejszego trofeum w światowej klubowej siatkówce. W poprzednim sezonie pokonała włoskiego giganta Trentino 3:1, po raz pierwszy od 43 lat polski klub wygrał Ligę Mistrzów. Tamten triumf był sensacyjny, kolejny nie będzie niespodzianką – ZAKSA zdobyła właśnie mistrzostwo kraju, Trentino u siebie nie awansowało do finału. Transmisja w Polsacie Sport.

Niedziela

Drugi Booker noblistki?

5 Duet Olga Tokarczuk – Jennifer Croft (tłumaczka) znów ma szansę na Międzynarodowego Bookera. W 2018 r. triumfowały z „Biegunami” („Flights”), teraz trafiły do finału z „Księgami Jakubowymi” („The Books of Jacob”). To trzeci finał dla Tokarczuk – rekord w historii nagrody. W 2019 znalazła się w nim – wraz z tłumaczką Antonią Lloyd-Jones – dzięki powieści „Prowadź swój pług przez kości umarłych” („Drive Your Plow Over the Bones of the Dead”).

PO PRAWDZIE

Komu jest niewygodnie na kolanach Tuska

A może Hołowni bardziej opłaca się kolejna kadencja PiS niż zwycięstwo?

Agnieszka Kublik



Nie wiadomo, kiedy Jarosław Kaczyński zaordynuje wybory. Może wiosną 2023 r., a może wcześniej? A może odbędą się w terminie, jesienią przyszłego roku. Wykalkuluje termin najlepszy dla siebie. Może zmieni ordynację, może mu to zaszkodzi, a może nie. Wiele niewiadomych.

Dla opozycji to oznacza, że powinna być gotowa do wyborów w każdym przypadku, nawet już teraz. Wszak od porażki w 2019 r. przygotowuje się do odsunięcia Kaczyńskiego od władzy. A może to moja naiwność?

Powinniśmy więc już wiedzieć, kto jest kandydatem na premiera, kto obejmie najważniejsze dziś resorty: finansów, gospodarki, obrony. Jaki jest plan na odwrócenie deformy wymiaru sprawiedliwości, jak poradzić sobie z neo-KRS, neosędziami i ich wyrokami. Wreszcie, jak zreperować media publiczne. Jak zadośćuczynić wszystkim krzywdom wyrządzonym przez PiS polskiemu państwu, czyli instytucjom i ludziom.

Wszystkie ostatnie badania dowodzą, że spośród tych, którzy chcą iść na wybory, PiS ma mniejsze poparcie niż nie-PiS.

Wedle ostatniego sondażu Ipsos PiS ma 35 proc., a KO+PL 2050+Lewica+PSL – 52 proc.

Opozycja ma zatem szansę wygrać. Pod kilkoma warunkami: że się wreszcie ogarnie, zacznie konstruktywnie rozmawiać, no i uda jej się policzyć słupki poparcia i wyciągnąć z tego prawidłowe wnioski.

Aha, no i że politycy przestaną stroić fochy, dąsać się i się puszyć.

Czyżby za dużo wymagała?

Bo, niestety, opozycja nie jest gotowa na wybory (jak i na wszystkie poprzednie po 2015 r.). I to na wybory, które być może będą najważniejsze w III RP – bo w nich nasze marzenia o demokratycznej Polsce odżyją albo umrą.

Szymon Hołownia w wyborach prezydenckich w 2020 r. zebrał aż 13,87 proc. (2 mln 693 tys. 397), co dało mu wprawdzie najgorsze, bo trzecie miejsce, ale i niezły start w politykę. Nie zmarnował tego (jak np. Rafał Trzaskowski, który z pierwszej na drugą turę swój wynik poprawił z 5,9 mln głosów na 10 mln).

Krzywa notowań Hołowni wspinała się aż do marca 2021 r. Wówczas z poparciem 18 proc. dogonił PO. A wiosną Platforma traciła do Hołowni już 5 pkt proc.

Ale w lipcu 2021 r. wrócił Tusk. Dla Hołowni nie mogło wydarzyć się nic gorszego. Tracił z miesiąca na miesiąc. Teraz Platforma ma średnio około 26 proc., Hołownia – 10.

Wyborcy PO, którzy od niej odeszli, zaczęli wracać, pojawili się zapewne i nowi. Bo wrócił Tusk. Wstąpiła w nich nadzieja, że platformerscy liderzy wreszcie wezmą się do ciężkiej organicznej, partyjnej, codziennej roboty (dziś już wiadomo, że nic z tego, tempo zyskiwania poparcia wyhamowało).

3 lipca Tusk powiedział jedno zdanie, które pewnie zapadło Hołowni w pamięć: „Nie ma bez Platformy szansy na zwycięstwo”.

Bo czyż Hołowni się nie wydawało po wyborach prezydenckich, że to on, i tylko on, będzie mógł w taki sposób przemawiać do wyborców?

A potem Tusk dorzucił: „Oni są silni wyłącznie naszą słabością. Ja do wszystkich apeluję: otwórzcie trochę szerzej oczy, spójrzcie na nich dzisiaj, wy tam widziecie jakiegoś giganta, tytana? To jest naprawdę dość groteskowa grupa ludzi, dość taka przykra dla nas, no bo to jest dla nas wszystkich przykre, ale trochę taka parodia dyktatury. To nie jest obezwładniająca siła. Obezwładnia nas brak wiary i nasza

słabość. Wystarczy spokojnie, z przekonaniem, to, co ja dzisiaj powiem, powiedzieć im: macie z kim przegrać!”.

PiS może przegrać. Ale z kim? Nie z PO. Nie z Polską 2050. Nie z Lewicą. Nie z PSL.

PiS pokonać mogą tylko te partie razem. Synergia.

I to słowo w ustach Tuska Hołowni mogło się nie spodobać. Chociaż przecież synergia, czyli współdziałanie woli człowieka i łaski bożej w teologii katolickiej, daje szansę na moralną naprawę i zbawienie.

Socjolog Andrzej Machowski bardzo klarownie pokazuje przyszłość opozycji. Matematyka nie kłamie: najlepszym rozwiązaniem, dającym jej najwięcej mandatów, jest wspólna lista czterech: Koalicji Obywatelskiej, Polski 2050 Hołowni, Lewicy i PSL.

Powinniśmy już wiedzieć, kto jest kandydatem na premiera, kto obejmie najważniejsze dziś resorty: finansów, gospodarki, obrony

Najgorszym – cztery partie startujące osobno. Wówczas liczba zdobytych przez nie mandatów jest najmniejsza. No i istnieje spore ryzyko, że któraś nie przekroczy 5-procentowego progu (jak teraz PSL, a czasami i Lewica). Wtedy to PiS przejmie część ich straconych mandatów. Czyli opozycja sprawi, że PiS w Sejmie będzie silniejszy!

Machowski wyliczył, że „D’Hondtova arytmetyka wskazuje, że nawet 15-procentowy spadek poparcia dla jednej listy w stosunku do łącznego poparcia dla czterech list daje więcej mandatów niż start oddzielny”.

Ale Hołownia jest przeciw wielkiej koalicji. Pokazuje swoje wyliczenia: że jego partia ugra więcej, jeśli nie wystartuje w bloku, bo wspólna szeroka lista oznacza demobilizację części wyborców (nie zagłosują na koalicję czterech partii, gdy jedna z nich nie będzie im odpowiadać). Rzuca, że chodzi nawet o milion głosów.

Faktycznie, w ramach koalicji, choć może ona zgarnąć więcej mandatów niż cztery oddzielne listy, Polska 2050 mogłaby dostać mniej miejsc w Sejmie, niż gdyby startowała sama. A Hołownia wolałby budować swoją siłę, nie oglądając się na innych.

Już niecałe dwa tygodnie po powrocie Tuska tak komentował: „Nie planuję wskoczyć Tuskowi na kolana. Prywatnie odnoszę się do niego niezwykle życzliwie, a na scenie politycznej rywalizujemy. Odnoszę się do niego z szacunkiem i sympatią”.

Potem te „kolanka Tuska” pojawiały się kilka razy.

Hołownia staje przed arcyważnym wyborem: albo wzmocni antypisowską koalicję, albo swoje ugrupowanie. Czyli albo postawi na odsunięcie PiS od władzy, albo będzie spełniał osobiste marzenia o budowie własnej partii, która potem da mu zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 2025 r.

A może Hołownia wcale nie chce już w najbliższych wyborach znaleźć się w obozie władzy?

To będzie kadencja ciężkich kryzysów: wojenny, inflacyjny, popandemiczny... Trudno w takiej sytuacji zyskiwać nowych wyborców przed następnymi wyborami. Funkcjonowanie w opozycji w takich kryzysach to przepis na wzrost w sondażach.

Jeśli Hołownia nie chce przejąć władzy w najbliższym czasie, to wszystkie jego ataki na „kolanka Tuska” i Tuskowy twardy antypisizm zyskują sens.

Może Hołowni bardziej opłaca się kolejna kadencja PiS, by samemu w tym czasie urosnąć? A potem może Tusk sam zrezygnuje z polityki?

Dlatego Hołownia potrzebuje teraz, by to jemu Tusk wskoczył „na kolanka”. Ale to Tusk ma dziś 2,5 razy wyższe poparcie.

Dobrze byłoby, gdyby w polityce bardziej niż kolanka liczył się rozum. Czyli umiejętność myślenia trzy kroki naprzód, przewidywanie konsekwencji swoich decyzji i minimalizowanie szkód.

Ktoś na opozycji to potrafi? No, kto? ●

Katarzyna Boni

OŚMIORNICA ZOŚKA

ilustracje Marcin Minor

IDEALNY PREZENT NA DZIEŃ DZIECKA

KATARZYNA BONI

I JEJ PIERWSZA KSIĄŻKA DLA DZIECI!

ZOŚKA MA 8 RAMION, 3 SERCA I WAŻNĄ MISJĘ DO WYKONANIA!

Ilustracje Marcin Minor

KSIAŻKĘ POLECAJĄ:

WWF

ÇasDzieci

KSIAŻKA DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA W FORMIE E-BOOKA I AUDIOBOOKA NA publio.pl

KULTURALNY SKLER.PL

a Wydawnictwo Agora dla dzieci



ROGER FEDERER, 2009



GARBIÑE MUGURUZA, 2016



CHRIS EVERT, 1985



COURT PHILIPPE-CHATRIER, 2021



BJÖRN BORG, 1979



IGA ŚWIĄTEK, 2021



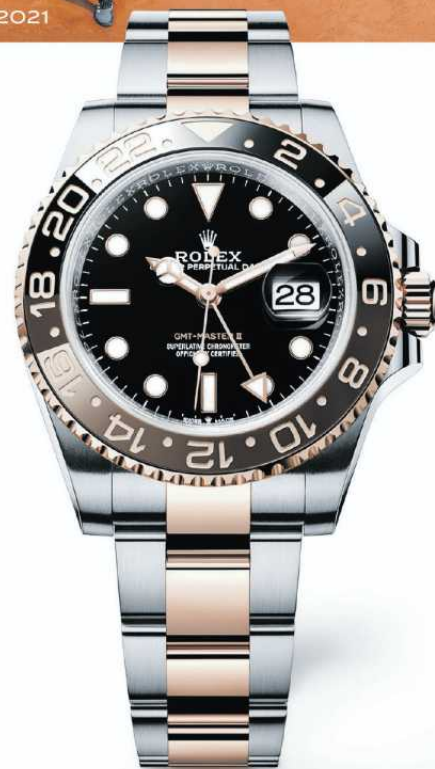
STEFANOS TSITSIPAS, 2021

NA TYCH CEGLANYCH KORTACH

„Zwycięstwo należy do najbardziej wytrwałych”. Roland Garros*, pionier lotnictwa, uczynił te słowa swoim osobistym mottem. Ponad sto lat później wciąż rozbrzmiewają one na stadionie, który nosi jego imię. Bo tutaj, na tych ceglanych kortach, tylko ci, którzy potrafią ujarzmić tę nawierzchnię i balansować na niej z mistrzowską precyzją, mają szansę, by zostawić po sobie niezatarty ślad. **Witamy na turnieju Roland-Garros.**

* Pierwszy lotnik, który pokonał Morze Śródziemne z północy na południe bez międzylądowania (1913).

#Perpetual



OYSTER PERPETUAL GMT-MASTER II



OFFICIAL
TIMEKEEPER

ROLAND-GARROS
STADE ROLAND-GARROS, PARYŻ
22 MAJA – 5 CZERWCA 2022



NIEUWAŻNIE CZYTALIŚCIE TOLSTOJA

To rosyjska literatura utkała „siatkę maskującą” dla rosyjskich czołgów

Oksana Zabuzko*

Pytanie to, jak pąk drzewo, kryje zapowiedź licznych tomów, które wkrótce zapelnia księgarnie – dzieł poświęconych radykalnej rewizji ostatnich stu lat dziejów Europy. Bez tego trudno bowiem pojąć kulturową dezorientację Zachodu, który przez z górą 20 lat uparcie ignorował podręcznikowy przypadek wzrostu i dojrzewania w Rosji nowego, wersja 2.0, totalitaryzmu, jakby naumyślnie powtarzając wszystkie wzory zachowań z lat 30., które „wyhodowały” Hitlera. Nawet po Buczy na moim Facebooku pęta się reklama artykułu Johna Mearsheimera z „The Economist” o „ukraińskim kryzysie” – według tej logiki we wrześniu 1939 roku miał w Europie miejsce „polski kryzys”! – oferującego najnowsze porady, jak „uspokoić Hitlera”, i łatwo odnajdywane przez autora (i redakcję) analogie historyczne. Przy całej mojej awersji do Mearsheimera, który z odległego Chicago poucza świat, dlaczego powinien zostawić mnie i 40 milionów moich rodaków na łasce seryjnego mordercy, i przy całej sympatii dla mojej niemieckiej przyjaciółki, osoby o nienagannym guście i subtelnej duszy, przyznać muszę, że myślą oni podobnie, wychowani w tej samej kulturze, z tymi samymi zaletami i „wadami wzroku”.

Moja znajoma słyszała z pierwszej ręki – od matki – o okrucieństwach Armii Czerwonej w Berlinie w 1945 roku – o polowaniach na cywilnych uciekinierów, o iście średniowiecznym rozmachu grabieży, tonach zrabowanych dywanów i zegarków słanych całymi składami do Rosji, o matkach gwałconych na oczach dzieci i dziewczętach z rozdartymi pochwami – zupełnie to samo, co jak w jakimś makabrycznym kopiuju i wklej ujrzał dziś świat w wyzwolonych spod rosyjskiej okupacji podkijowskich miasteczkach – nie przypadkiem Rosja świętowała zwycięstwo w II wojnie pod hasłem „Możemy to powtórzyć”, będącym odwrotnością europejskiego „Nigdy więcej” – mogą, więc powtarzają, wszak całe czekistowskie imperium Putina to jedna wielka rekonstrukcja historyczna. Ale moja znajoma hoduje, jak wszyscy Niemcy, kompleks winy wobec Rosjan i szuka jeśli nie usprawiedliwienia, to wyjaśnienia ich zbrodni w Europie w 1945 roku. „My nie traktowaliśmy ich lepiej” – mówi. A Ukraińcy niby co? Przecież oni nie tylko nie napadli na Rosję, to „bratni naród” ze wspólną historią, tak piszą w podręcznikach, skąd więc nagle ten nowy Holokaust, ten masowy szalejący sadyzm, rozkazy dowódców w przechwyconych przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy rozmowach „ch..., wszystkich!” i apel dziecka do tatusia: „Zabij jak najszybciej wszystkich Ukraińców i wracaj do domu”?

Co ciekawe, ten kompleks nie dotyczy Ukraińców, choć w latach 1941-44 pod niemiecką okupacją, ze wszystkimi jej niszczyielskimi skutkami, znalazła się właśnie Ukraina i tylko 10 proc. Rosji, a więc w pamięci większości współczesnych Rosjan doświadczenie II wojny światowej wpisuje się idealnie w paradygmat zwycięskiej wojny toczonej na obcej ziemi.

Jak w przypadku Mearsheimera teorie te ujawniają elementarną potrzebę człowieka Zachodu, by zracjonalizować zło, przyjąć perspektywę sprawcy, zrozumieć jego motywy i cele, być jak scholastycy „adwokatem diabła” – niezliczone próby kartezyjskich umysłów rozszyfrowania, „czego chce Putin”, to neomodernistyczna scholastyka! Wszystko sprowadza się do próby porozumienia ze złem, wejścia z nim w dialog. Wszak dialog jest tym, czym kultura Zachodu oddycha od 2,5 tys. lat, więc wycho-

wankom prastarej agory trudno wyobrazić sobie, że obok, też od stuleci, egzystują kultury, w których ludzie oddychają pod wodą i banalnie nienawidzą tych, którzy mają płuca zamiast skrzelii.

Trudno zrozumieć, że niekoniecznie to aberracja, którą da się wyrugować „demokratycznymi reformami”. Że taki podwodny oddech to monolog, totalny monolog, idący wertykalnie z góry na dół i obejmujący krajobraz, architekturę, język i ideologię – to jednakowe miasta i ulice, filmy i telewizja, jednakowe pomniki, najlepiej „od Lizbony po Władystok”, jedna globalna więzienna cela z surową hierarchią – że to może zainfekować całe kraje. Że ze złożonego przez stalinowski ZSRR „jaja” enklawy, Korei Północnej – takie „jaja” Federacja Rosyjska przez całe 30 lat po upadku Związku Radzieckiego składała bez przeszkód w Europie, od Naddniestrza i Abchazji po „republiki Donbasu” – może po trzech pokoleniach wykluc się gotowy, dojrzały model nowego stalinizmu na skalę (jak dotąd!) całej Rosji z Białorusią na dokładkę.

Bucza to nie wyjątek, tylko prawidłowość.

Ludzie Zachodu hoduują kompleks winy wobec Rosjan, choć II wojna objęła całą Ukrainę i tylko 10 proc. Rosji

Zdziesiątków powodów zachodnia świadomość jest ślepa na rosyjski totalitaryzm. Najoczywistszy to, rzecz jasna, nieodrobiona lekcja ZSRR, a zwłaszcza zwodniczy dyskurs II wojny, który wszystkie zbrodnie przeciw ludzkości mocą tajemnego porozumienia przypisuje totalitaryzmowi pokonanemu, podczas gdy ten zwycięski od blisko pół wieku umacnia się i puchnie bez sądu ani osądu, by wreszcie na czele państwa postawić oficera KGB, organizacji od 1918 roku, najdłużej we współczesnej historii, bezpośrednio odpowiedzialnej za największe zbrodnie przeciw ludzkości, co nikogo na Zachodzie nie przerażało tak, jak przerażałby oficer Gestapo. I nikt, o ile mi wiadomo, nie brał pod uwagę tego, że po czterech pokoleniach państwowego terroru społeczeństwo rosyjskie gotowe będzie zaakceptować to jako normę, bo cztery pokolenia wykraczają poza granice żywej pamięci („tak było zawsze”), i czego oczekiwać od takiego społeczeństwa prócz

tego, że ta „norma” w osobie przywódcy stanie się dla niego wzorem do naśladowania?

Ani moralnie, ani intelektualnie Zachód nie był gotowy na to wyzwanie. Powojenna współpraca zachodnich elit z Kremlm nie doczekała się jeszcze kompleksowych opracowań. Sartre okazał się agentem KGB, a Hemingwaya zwerbowali czekici jeszcze w Hiszpanii i w końcu doprowadzili do psychozy. Wiele nieprzyjemnych historii działo się też na wydziałach slawistyki zachodnich uniwersytetów, a guru amerykańskich slawistów, 91-letnia Suzanne Massie, autorka bestsellerowej „Krainy żar-pta-ka”, z której Ronald Reagan i jego następcy uczyli się kochać Rosję, tej zimy dostała rosyjskie obywatelstwo, zorientowawszy się najwyraźniej, że lepiej spędzić resztę życia we własnym mieszkaniu w Petersburgu niż w więziennej celi z wyrokiem za zdradę stanu.

Ale to wszystko to fragmentaryczne obserwacje, a całościowego obrazu konsekwentnej, trwającej od pokoleń deprawacji Zachodu przez Kreml – jak Katarzyny Masłowej przez Niechłodowa w „Zmartwychwstaniu” Tolstoja – nadal nie widzę. Nie chodzi mi tylko o formy współpracy odnotowane w niedostępnych nam archiwach FSB, ale o coś subtelniejszego – długotrwałą erozję w kulturze Zachodu granic tego, co dopuszczalne, stopniowe przechodzenie od europejskiej racjonalizacji do rosyjskiej normalizacji zła.

Nie przypadkiem wspominam Tolstoja. Zauważył on elastyczność ludzkiego umysłu, który wie, jak wypracować samousprawiedliwienie. Kiedy Katarzyna Masłowa zostaje prostytutką, jej obraz świata zmienia się tak, by oddawanie mężczyznom ciała na gwałt za pieniądze wydawało się może nie honorowe, ale całkiem normalne. To w istocie dość uniwersalna metafora całej literatury rosyjskiej, która wciąż uchodzi za europejską i humanistyczną – jak Katarzyna Masłowa przez dwieście lat wypracowywała obraz świata, w którym przestępcy nie należy osądzać, tylko żałować. Współczuć mu, bo „na świecie nie ma winnych” (też Tolstoj!), każdy gotów jest zabić sąsiada, to kwestia ceny.

Oto „humanizm po rosyjsku”. A jeśli zaakceptujesz tę tezę, gratulacje. Jesteś gotów na przybycie rosyjskich wojsk.

Czas spojrzeć na rosyjską literaturę nowymi oczami, wszak w dużej mierze to ona utkała „siatkę maskującą” dla rosyjskich czołgów. Studiowałam w ZSRR, gdzie literatura rosyjska była w szkołach przedmiotem obowiązkowym. Pamiętam szok z dzieciństwa, jakim było opowiadanie Turgieniewa „Mumu”. Głuchoniemy pańszczyźniany chłop, dobra dusza, na rozkaz dziedziczki zabija jedynego bliskiego mu stworzenie, wierną suczkę. Historia ta miała wzbudzić u dzieci litość do bohatera i nienawiść do złej pani. Rozpoznaję dziś ludzi wychowanych w tamtej szkole w tych, którzy przeklinają Putina i współczują dobrym rosyjskim żołnierzom, których wysłał on na Ukrainę, żeby zabijali ogniem i mieczem nie tylko suczki, ale i wszystkie żywe stworzenia – biedni chłopcy, jak oni cierpią.

Kiedy i jak literatura rosyjska, ta bezwstydną „Katarzyna Masłowa”, zdołała uwieść Zachód, udając piękną księżniczkę uwięzioną przez okrutny reżim, i niepostrzeżenie zarazić go swoją infantylnie bierną biernością wobec zła udającą cnotę? (Pamiętajmy, jak w „Wojnie i pokoju” Natasza Rostowa zakochana bez pamięci w narzeczonym pod jego nieobecność biegnie posłusznie za pierwszym nędznikiem, który



ją uwiódł, i jak bardzo współczuje jej autor). Z tym pytaniem winni zmierzyć się zawodowi rusycyści. Niestety, poza nielicznymi wyjątkami większość z nich popiera mit europejskości rosyjskiej kultury, mit, w który doskonale wpisywał się podpułkownik KGB mówiący płynnie po niemiecku, gość talk-show CNN „Larry King Live”. To wystarczyło, by elity zachodnie uznały go za „jednego z nas”, zamiast dostrzec jego dziedzictwo – rozcięte brzuchy ciężarnych kobiet we lwowskim więzieniu NKWD w 1941 roku i roztrzaskane czaszki ukraińskich artystów i uczonych, od Kijowa w 1918 po obóz w Permie w roku 1985. Obecne egzekucje ukraińskich intelektualistów w okupowanych miastach – tak zginął w Buczy tłumacz Tacyta Ołeksandr Kyslyuk – są prostą, mechaniczną kontynuacją tego, co KGB robiło na Ukrainie za pamięci żyjących pokoleń, tyle że niewielu poza Ukrainą to obchodziło. Grunt pod zwycięstwo Putina nad Zachodem przygotowano zawczasu. Kiedy w 1985 roku Milan Kundera opublikował w „New York Review of Books” esej „Wstęp do wariacji”, w którym usuwał literaturę rosyjską poza nawias europejskiej kultury,

wyjaśniając, dlaczego nie trawi Dostojewskiego (kult emocji, jawna pogarda dla racjonalności), w sukurs jej ruszył Josif Brodski, tonem politruka tłumacząc „Dlaczego Kundera myli się co do Dostojewskiego” (sic!) i ucisząc opONENTA jak agresywny bot w dyskusji online – nikt nie miał ochoty kontynuować takiego „dialogu”. A przecież ofensywa Putina 24 lutego była, nie da się ukryć, czystą „dostojewszczyzną” w rozumieniu Kundery. Tylko tak da się ją zrozumieć – jako odrzucającą nie tylko Kartezjusza i Kanta, ale i Clausewitza eksplozję czystego, wydestylowanego zła, długo tłumionej historycznej nienawiści i zazdrości („dlaczego mielibyście żyć lepiej od nas?”, mówili Ukraińcom rosyjscy żołnierze), napędzanych poczuciem absolutnej bezkarności. Wszystko to można było wyczytać dużo wcześniej, i to nie tylko u Dostojewskiego, gdyby nie rozdział rosyjskiej literatury od rosyjskiego państwa – albo, jak to ujęto w uroczym zaproszeniu na Dni Rosyjskie w Brukseli, „bolesnych momentów rosyjskiej historii” od „piękna rosyjskiej literatury” – bo trzeba uczciwie przyznać, że literatura jest ciałem z ciała społeczeństwa, dla którego i o którym jest

• **Żołnierze radzieccy w podbitych Niemczech**
FOT. GETTY IMAGES

spisywana. Że ci, którzy zgwałcili w Buczy 11-letniego chłopca, a matkę przywiązali do krzesła, żeby to oglądała, to ci sami bohaterowie wielkiej rosyjskiej literatury – zwykli Rosjanie, tacy sami jak sto i dwieście lat temu. I że też literatura jest odpowiedzialna za to, na kogo wyrosli.

Wszyscy pamiętamy, że Anna Karenina rzuciła się pod pociąg, ale mało kto, że jej zrozpaczony kochanek pojedzie walczyć na Kaukazie, czyli zafundować tamtejszym narodom to samo, co dziś oficerowie Putina Ukraińcom. Co zrozumiałe, czytelnik sympatyzuje z Wrońskim, a nie mimochodem wspomnianymi ludami kaukaskimi, z którymi idzie na wojnę. Owa optyka „wybiórczej empatii” jest integralną cechą rosyjskiego imperializmu, a co za tym idzie i literatury rosyjskiej, która zawsze była jego beneficjentem. Pisała o tym trochę Eva M. Thompson („Imperial knowledge: Russian Literature and Colonialism”, Westport Londyn 2000) i ostatnio Ewa Berard-Zarzycka („La culture russe et l’invasion de l’Ukraine”, <https://desk-russie.eu/2022/03/25/la-culture-russe-et-linvasion.html>). Trochę o minionych ośmiu latach naszej wojny (bo, przypominam, wojna zaczęła się w 2014 roku, a 24 lutego 2022 weszła w nową fazę) pisałam też ja. Może gdyby na kulturowej mapie języków słowiańskich Brodski i cała jego rosyjska paczka nie próbowali zakrzyczeć Kundery (i innych „nie-Rosjan”), zachodni eksperci nie byłiby teraz w takim bagnie, twierdząc zrazu, że Putin „jest za sprytny”, żeby zaatakować Ukrainę, bo to kompletnie nieracjonalne, a kiedy atak nastąpił, dali broniącym się Ukraińcom maksimum 96 godzin, bo gdzie tam jej, temu „zadupiu Rosji”, do takiego giganta? Spotkałam jak dotąd tylko jednego europejskiego sławistę, który w 2014 roku, wstrząśnięty objawionym wtedy neoorwellowskim obliczem Moskwy, prosił Ukraińców o przebaczenie za to, że całe życie patrzył na Kijów „przez rosyjskie okulary”, jako „trzecie miasto Imperium Rosyjskiego” – że nie dostrzegał stolicy tysiącletniej kultury, do której rosyjskie Imperium miało taki sam stosunek jak rosyjska armia do Buczy – ukraść, co się da, zniszczyć, czego się ukraść nie da.

Jest szansa, że przybędzie nam teraz takich światłych ludzi. Bowiem drogę bombom i czołgom zawsze torują książki, a dziś byliśmy świadkami tego, jak o losach setek milionów decyduje wybór lektur. Czas, byśmy przejrżeli nasze półki z książkami. ●

tłum. Sergiusz Kowalski
copyright Oksana Zabuzhko, 2022



*Oksana Zabuzhko

• ur. w 1960 r., pisarka, poetka, eseistka, z wykształcenia filozofka. W Polsce ukazały się jej powieści **„Badania terenowe nad ukraińskim seksem”** – teraz wznowione, w nowej oprawie – i „Muzeum porzuconych sekretów” oraz zbiór wywiadów „Ukraiński palimpsest. Rozmowy Oksany Zabuzhko z Izą Chruslińską”. Właśnie nakładem Agory ukazała się książka eseistyczna **„Planeta Piotun”**. Do kupienia w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl.



Esej pierwotnie opublikowany w „Times Literary Supplement”. Tytuł, lead, wyimek od redakcji



• Okupowany przez Rosjan Melitpol, dzieci tańczą przy pomniku zwycięstwa w II wojnie światowej. Zdjęcie zrobione podczas wycieczki dla mediów zorganizowanej przez rosyjskie ministerstwo obrony

FOT. AP

Przez kilkanaście lat badała pani regionalne różnice tożsamości w Ukrainie. Spodziewam się, że pytanie, co z nich wynika, jest zbyt ogólne.

– Ostatnie badania prowadziliśmy wspólnie z międzynarodowym zespołem ukraińskim w latach 2013, 2015 i 2017, a więc zarówno przed aneksją Krymu i podziałem Donbasu, jak i po. Wyniki się powtarzały i sprowadzały do wniosku, że wschodnia Ukraina ma tożsamość słabszą niż zachodnia. Mówimy nie tylko o tożsamości narodowej, ale też skojarzonych z nią tożsamościach lokalnych. Wprawdzie we wschodniej Ukrainie tożsamość lokalna była silniejsza niż narodowa, ale obie były słabsze niż w Ukrainie Zachodniej. Dotyczyło to też innych form tożsamości, tak jakby ludziom na wschodzie niejako „mniej zależało”. Rosyjskojęzyczność tych terenów i ogólnie większa bierność ludzi mogła, fałszywie, jak widać, sugerować Putinowi, że szybko uda mu się zająć te tereny.

Skąd się wzięła ta słabsza tożsamość?

– Jedną z teorii jest ta czeskiego historyka Mirosława Hrocha, do którego odwołuje się znany dziennikarz ukraiński Mykoła Riabczuk, piszący o „dwóch Ukrainach”. Hroch opisuje, w jaki sposób wytwarza się tożsamość narodowa małych, często podporządkowanych narodów, w które obfituje Europa Środkowo-Wschodnia. Należą do nich też Polska, Czechy, Litwa, a także Ukraina. Żeby można było mówić o wytworzeniu pełnej tożsamości narodowej, potrzebne jest przejście danego narodu przez trzy fazy, A, B i C. W fazie A naród odkrywa swoją specyfikę i odrębność, intelektualni „budowniczości narodu” gromadzą dowody tej językowej i kulturowej odrębności. Faza B to budowanie tożsamości i agitowanie na jej rzecz na podstawie opozycji między podporządkowaną grupą własną a dominującą grupą obcą. W fazie C powstają struktury, instytucje kulturalne i naukowe, prasa, wszystko, co pozwala sięgnąć do szerszych mas. Oczywiście, żeby te trzy fazy mogły zaistnieć, muszą być stworzone sprzyja-

JAK PUTIN POMÓGŁ UKRAINIE

Przed wojną mieszkańcy Donbasu czuli się nie lubiani przez „tych z Kijowa”, ale sami też nie darzyli ich sympatią.

Z PROF. MARIĄ LEWICKĄ*, PSYCHOŁOŻKĄ,
ROZMAWIA DOROTA WODECKA

jące warunki, też zewnętrzne. Jeżeli porównamy Ukrainę Zachodnią ze Wschodnią, to te warunki pojawiły się w Ukrainie Zachodniej w okresie, gdy była częścią monarchii austro-węgierskiej, dzieląc wspólne terytorium – i pozostając w silnym konflikcie społecznym i politycznym – z Polską, natomiast w Ukrainie Wschodniej, pozostającej pod wpływami rosyjskimi, budowanie tożsamości narodowej nie zostało zakończone.

Dlaczego?

– Ukraina Zachodnia XIX wieku znajdowała się w stosunkowo tolerancyjnym wobec mniejszości narodowych cesarstwie austro-węgierskim, gdzie możliwe było kulty-

wowanie języka i własnej kultury. We Lwowie funkcjonowały ważne ukraińskie instytucje kulturalne, np. Prosvita czy działalność Ruskiej Trójcy, szkoły i prasa. Równocześnie budowę tożsamości ułatwiał nakładający się na narodowy konflikt społeczny z Polakami zbudowany na osiach: ukraińska wieś – polskie miasta, ukraińscy chłopcy – polska szlachta. Z drugiej strony znajdujący się pod zaborami Polacy, ze swoimi powstaniami i walką o wolność, stanowili też wzór budowania tożsamości narodowej dla sąsiadów.

Na wschodzie sytuacja była mniej sprzyjająca. Język ukraiński uchodził za język ludu, językiem wysokiej kultury był język ro-

syjski. Ukraińskich instytucji kulturalnych było znacznie mniej, mniej gazet. Do tego naciski rusyfikacyjne, a także deportacje i przesiedlenia. Do teraz we wschodniej Ukrainie mieszkańcy są mniej zakorzenieni generacyjnie. Ukraina Wschodnia pozostała w znacznym stopniu rosyjskojęzyczna, co już jest powodem konfliktu tożsamościowego. Aczkolwiek etnicznych Rosjan, wbrew stereotypom, jest tu znacznie mniej niż etnicznych Ukraińców, to jednak znacznie częstsze są tu mieszane ukraińsko-rosyjskie małżeństwa. Innym językiem mówiło się w domu, innym w szkole i urzędach. To wszystko sprawiało, że kwestie narodowościowe były w Ukrainie Wschodniej znacznie mniej istotne niż w Zachodniej. Przychylniejszy był też stosunek do Rosji, kultywowano święta postradzieckie.

Na czym budowali swoją tożsamość Ukraińcy ze wschodu?

– Gdy występuje konflikt tożsamościowy, można od niego uciec na różne sposoby, osłabiając tożsamość narodową, ale też budując tożsamość „nadrzędną” w stosunku do konfliktowych tożsamości. Taką tożsamością była „wschodniosłowiańska wspólnota”. Teraz sytuacja się radykalnie zmieniła. Nikt nie zrobił tyle dla destrukcji przekonania o tej mitycznej wspólnotności „wschodnich Słowian” oraz przyczynił się do budowania silnej tożsamości ukraińskiej na wschodzie Ukrainy, co Putin i jego armia. Oczywiście powinniśmy pamiętać, że obok Ukrainy Zachodniej, czyli Galicji, i Wschodniej jest też Ukraina Centralna, bardzo zróżnicowana, która też ma swoją specyfikę.

Wschód to wielkie miasta, przemysł i wyższe uczelnie kształcące kadry. Czy ludzie wykształceni nie mają niższego poczucia tożsamości narodowej, czując się obywatelami struktur ponadnarodowych?

– Miałam takie przekonanie, że wschodnia Ukraina bardziej pasuje do modelu kosmopolitycznego niż narodowego, a tożsamość narodowa jest tu raczej rodzaju „obywa-

telskiego” niż „etnicznego”. W badaniach uwzględniliśmy podział na tożsamość „etniczną” i „obywatelską”, który częściowo potwierdził to przypuszczenie. Ukraińcy z terenów zachodnich znacznie częściej niż ze wschodnich uważali, że o byciu Ukraińcem decyduje pochodzenie, fakt urodzenia się w Ukrainie, znajomość języka, ale także czucie się Ukraińcem, utrzymywanie tradycji, respektowanie ukraińskiego prawa i gotowość obrony kraju. Ukraińcy ze wschodu częściej uważali, że kryterium jest chęć pomagania innym, branie aktywnego udziału w życiu kraju oraz uważanie za Ukraińców wszystkich obywateli niezależnie od ich pochodzenia etnicznego, czyli takie formy zachowania, które z „ukraińskością” nie mają wiele wspólnego i teoretycznie mogą być realizowane wszędzie. Taka tożsamość jest bliższa kosmopolitycznej niż narodowej. O ile jednak owa „etniczna” tożsamość była tym silniejsza, im mniejsza miejscowość, o tyle „kosmopolityczna” nie zależała ani od wielkości miejscowości, ani wykształcenia. Decydujące było zamieszkanie we wschodniej Ukrainie. Tyle deklaracje w ogólnokrajowych sondażach. Ostatnie wydarzenia każą zrewidować nazbyt daleko idące interpretacje wyników naszych sondaży. Jak wiemy bowiem, Ukraińcy ze wschodniej Ukrainy stanęli w jej obronie nie mniej licznie niż mieszkańcy zachodu.

Czyli wykształcenie nie idzie w parze z trochę słabszą, jednoznaczną tożsamością narodową.

– Badania nie pokazują, że wykształcenie jest czynnikiem decydującym o sile tożsamości narodowej. W badaniu ogólnoukraińskim z roku 2017 sprawdziliśmy, jakie czynniki decydują o sile patriotyzmu, czyli emocjonalnego przywiązania do kraju, oraz nacjonalizmu rozumianego jako traktowanie swojego kraju jako lepszego od innych. Jak można było przypuszczać, wykształcenie było powiązane lekko pozytywnie z patriotyzmem oraz niezbyt silnie ujemnie z nacjonalizmem. Znacznie ważniejsza była jednak wielkość miejscowości: im mniejsza, tym silniejszy nacjonalizm. Jeśli idzie o nasz podział wschód – zachód, to obie formy identyfikacji były wyraźnie silniejsze na zachodzie.

Jak tożsamość lokalna ma się do silnej tożsamości narodowej?

– Silna tożsamość narodowa na ogół towarzyszy też innym silnym tożsamościom. Możliwe jest jednak również, do pewnego stopnia, kompensowanie braków w jednej tożsamości (na przykład słabszej tożsamości narodowej) inną (lokalną). Ukraina Wschodnia wykazywała w badaniach relatywnie silniejszą tożsamość lokalną niż narodową – ukraińską.

Sila tożsamości lokalnej zależy też od miejsca, gdzie mieszkamy. Jeżeli spostrzegane jest jako miejsce o historycznej ciągłości, zwłaszcza wtedy, gdy towarzyszy nam przekonanie o jego ciągłości kulturowej, wówczas łatwiej jest się z tym miejscem utożsamić. Innymi słowy, jeżeli miejsce ma wyraźną tożsamość, to i nasza lokalna tożsamość jest silniejsza. Ma to mroczną stronę: miejsca wielokulturowe, o złożonej historii, na którą składają się różne „rozdziały” raczej niż spójna kulturowo narracja typu: byliśmy tu zawsze i zawsze byliśmy tu najważniejsi, mogą być przedmiotem słabszych tożsamości lokalnych. Nasze badania pokazują, że przekonanie o ciągłości kulturowej miejscowości, w której się mieszka, jest zdecydowanie silniejsze na zachodzie kraju niż na wschodzie, zwłaszcza silniejsze niż w Donbasie. Inna kwestia, że to przekonanie w małym stopniu oparte na faktach – przecież zachodnia Ukraina ma bardzo wielowarstwową i wielonarodową historię.

Putin założył, że język jest kryterium tożsamości narodowej, co zdaje się założeniem o tyle nieprawdziwym, co cynicznym uzasadnieniem dla wojny. Przecież Ukraińcy mówią trzema językami.

– Oczywiście kwestia językowa jest jedną z najważniejszych w Ukrainie, gdyż najwyraźniej różnicuje regiony. Galicja, Wołyń i Zakarpacie są niemal w stu procentach ukraińskojęzyczne. Zaraz za nimi plasuje się centrum kraju (np. Winnica, Czerkasy, Żytomierz) oraz region północno-wschodni (Połtawa, Sumy, Czernihów), gdzie ponad 75 procent uznaje ukraiński za pierwszy język. Ale już w Kijowie jest takich osób mniej niż 60 procent, a w Donbasie mniej niż 10 procent. Nie oznacza to, że reszta mówi wyłącznie po rosyjsku, lecz raczej, że obok rosyjskiego równie często używany jest ukraiński. Tak jest na przykład w Donbasie, gdzie 32 procent uznało rosyjski za swój pierwszy język, ale prawie 50 procent za taki uznało na równi rosyjski i ukraiński. Podobna sytuacja jest też na południu (Odessa, Mikołajów, Chersoń) i wschodzie (Zaporoże, Dniepropietrowsk, Charków).

Surżik, czyli mieszanka obu języków, jest z kolei najbardziej popularny jako język komunikacji na północnym wschodzie, następnie w centrum kraju. Te różnice językowe okazują się nawet teraz zarzewiem konfliktu. Uciekinierzy ze wschodu, którzy przyjechali do Lwowa, spotykali się z ostracyzmem, gdy mówili po rosyjsku, choć podobno ostatnio rośnie również we Lwowie tolerancja dla rosyjskiego, zwłaszcza gdy używają go starsze osoby, które pewnie już ukraińskiego się nie uczą.

Co po kilku latach wojny możemy powiedzieć o mieszkańcach „republiki” Donieckiej i Ługańskiej?

– Po 2014 roku część Donbasu, z oboma stolicami, Donieckiem i Ługańskiem, znalazła się w separatystycznych „republikach”, pod kontrolą Rosji. Oczywiście nie jest możliwe prowadzenie tam badań, więc nie potrafie nic powiedzieć o stanie obecnym. Niemniej wykorzystałam nasze wyniki z 2013 roku i porównałam mieszkańców zaanektowanych terytoriów z tą częścią Donbasu, jaka pozostała w obrębie Ukrainy. Nie było żadnych różnic w interesujących nas zmiennych (tożsamości, związku z miejscem itd.) ani w zmiennych demograficznych, z wyjątkiem wykształcenia, wyższego po drugiej stronie tej granicy. To ostatnie jest zrozumiałe gdyż na zaanektowanych terytoriach pozostały dwa największe miasta Donbasu.

Co jeszcze z waszych badań wynika?

– Nasze badania uwzględniające Donbas, najpierw cały, a potem tę jego część, która pozostała w ramach Ukrainy, pokazywały na większą odrębność psychologiczną tego regionu. Donbas jest najbardziej „oddalonym psychologicznie” regionem od zachodniej i centralnej Ukrainy, czyli niejako „serca” kraju. Mieszkańcy Donbasu wydają się podzielać to przekonanie o swojej izolacji.

Jak to sprawdziliście?

– W badaniu z roku 2017 zapytaliśmy o to, jak odnoszą się – negatywnie czy pozytywnie – do miejsca zamieszkania badanego mieszkańcy innych regionów kraju. Drugie pytanie dotyczyło tego, jak sam badany odnosi się do mieszkańców innych regionów. Otóż mieszkańcy Donbasu mieli najsilniejsze przekonanie, że są nielubiani przez mieszkańców zachodnich i centralnych regionów kraju, w tym stolicy kraju – Kijowa, ale sami też darzyli ich najmniejszą sympatią. Pozytywne wzajemne nastawienia mieszkańcy Donbasu mieli tylko z mieszkańcami swojego regionu, Krymu oraz częściowo wschodniej Ukrainy.

W Polsce funkcjonuje, a w każdym razie do niedawna funkcjonował, stereotyp, że wschód Ukrainy jest prorosyjski, a zachód – proeuropejski.

Stereotyp?

– Różnice na osi wschód-zachód są wyraźne, ale nie mamy do czynienia z pełną symetrią. Był to raczej bardziej przychylny stosunek do Rosji, do struktur ponadpaństwowych, w których obok Ukrainy znalazłaby się Rosja czy inne kraje Europy Wschodniej, a mniej niż w innych regio-

nach przychylny stosunek do Unii Europejskiej. Ostatnio bardzo się to zmieniło i około 80 procent ukraińskiego społeczeństwa pragnie członkostwa w UE.

Na pytanie, czy Ukraina i Rosja powinny być niezależnymi od siebie państwami, ponad połowa mieszkańców Donbasu udzieliła w roku 2017 odpowiedzi zdecydowanie twierdzącej, a pozostałych 20 procent nieco mniej skrajnych, ale też twierdzących odpowiedzi. Oczywiście to mniej niż w zachodniej Galicji (prawie 100 procent), ale to różnica ilościowa raczej niż jakościowa. Bardziej przychylny niż na zachodzie kraju był w Donbasie stosunek do kultury rosyjskiej, postrzeganej jako podobna do ukraińskiej (prawie 50 procent w porównaniu z 10 procentami w Galicji). Oczywiście z Rosją łączył mieszkańców Donbasu język. Tym bardziej zdumieniem napawa z jednej strony ukierunkowany atak wojsk rosyjskich właśnie na miasta Ukrainy Wschodniej, z drugiej ogromne bohaterstwo tutejszych mieszkańców, dla których niepodległość Ukrainy okazała się nie mniej ważna niż na zachodzie kraju.

Zjawisko licencjonowania moralnego mówi, że jeżeli człowiek zachowuje się moralnie w jednej sprawie, to może sobie „odpuścić” w innej

Zauważyła pani, że Polacy pomagający Ukraińcom przestali podnosić obecny na prawicy temat Wołynia.

– To wróci. Boję się, że za chwilę niechęć może zastąpić to polskie wzmożenie i bezprzykładne poświęcenie. Rząd powinien myśleć już o tym, co będzie, kiedy ludzie zmęczą się pomocą i kiedy się okaże, że ukraińskie dzieci nie płacą za żłobek, a polskie płacą, albo że mieszkanie oddane uchodźcom okaże się mieszkaniem na wynajem i właściciel nałoży taką kwotę, że oni nie będą w stanie tego zapłacić.

Działają wśród nas trolle rosyjskie, które próbują nas skłócić, i pewnie im się to uda. Na razie możemy mówić do przeciwników ulg dla uchodźców, by zobaczyli, jak dzielnie Ukraina walczy z naszym odwiecznym wrogiem. Ostatnio powiedziałam do narzekającego taksówkarza: Zełenski i jego rząd zostali w kraju objętym wojną, a nasz w 1939 roku szybciućko przez Zaleszczyki wyjechał. No tak, no tak, odpowiedział, ale takie argumenty pomogą na krótką metę.

Czy tą wielką pomocą nie rekompensujemy sobie jakiegoś wstydu związanego z pamięcią historyczną?

– Nie tylko historyczną, ale bardzo współczesną. Po pierwsze, nasz rząd przysporzył nam pod wieloma względami wstydu i sprawił, że wiele osób znalazło się nagle w kraju, w którym przestali się czuć u siebie. Na to nałożyła się afera z Białostocczyzną, uchodźcami przierzucanymi przez granicę polsko-białoruską i murem. Oczywiście przeciętny Polak tym nie żył, ale dla wielu osób to było trudne i wstydlive. Więc w jakimś stopniu ta pomoc jest formą odreagowania, jakiego rekompensaty za ksenofobię naszego rządu, a więc i nas samych. Przecież mieliśmy przyjąć 5 tysięcy uchodźców i temu naród polski się przeciwstawił.

Bo się naród dowiedział od Jarosława Kaczyńskiego i prawicy, że uchodźcy przenoszą „różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki”.

– Plus, że nas wynarodowia i zmienia nam naszą kulturę. Ten strach przed „obcymi” był powodem do wstydu. Teraz przyjęliśmy dwa miliony białych chrześcijan, Słowian, mówiących podobnym językiem i ze wspólną

historią. Nie jesteśmy tacy zli. My jesteśmy bardzo narcystycznym narodem i ważne jest dla nas, w jaki sposób jesteśmy postrzegani. I to, że inni widzą, że pomagamy, nam w tym pomaga.

Ale po drugie, myśmy zawsze reagowali bardzo spontanicznie na Ukrainę. W czasie pomarańczowej rewolucji mnóstwo ludzi pojechało, by ją wspomagać. Niezależnie od Wołynia i naszej trudnej historii to ten brat Ukrainiec był nam bliiski, wtedy zwłaszcza, gdy stawał przeciwko Rosjanom.

Granica na Białostocczyźnie i dramaty rozgrywane się na niej zniknęły nawet z fejsbukowych baniek.

– Zjawisko licencjonowania moralnego mówi, że jeżeli człowiek zachowuje się moralnie w jednej sprawie, to może sobie „odpuścić” w innej.

Licencjonowanie moralne może objąć się i tym, że skoro już raz przyjąłem Ukraińców pod swój dach, to następnym razem odpuszczę?

– Też może się tak zdarzyć, ale nie można mieć do ludzi pretensji. Nie mogą rezygnować ze swojego życia. W tej chwili ogromna ilość osób poświęca swoje zasoby, również finansowe, i czas, żeby pomagać, ale to nie może trwać wiecznie.

Co nam, obywatelom, robi takie poszerzenie etnosu?

– Pytanie, czy dojdzie do poszerzenia etnosu, bo to nie jest takie pewne. Na pewno nie możemy dopuścić do uruchomienia procesów destrukcyjnych – a więc wzajemnej nienawiści, dyskryminacji, pogardy. A to oczywiście grozi. Mamy w Polsce ponad dwa miliony nowych obywateli innej narodowości i razem z milionem czy półtora, który już tu był, Ukraińcy stanowią w Polsce największą mniejszość etniczną. Trochę podobnie jak przed wojną – historia kołem się toczy. Ta sytuacja może być korzystna. Po pierwsze, dostaliśmy gratis w ciągu miesiąca kilkaset tysięcy dzieci, żadne 500 plus tego nie osiągnęło. Oczywiście wiele z tych dzieci, i tego im życzę, powróci do kraju, ale nie wszystkie. Dla starzejącego się społeczeństwa to skarb. Po drugie, do kobiet z dziećmi w pewnym momencie dojadą mężczyźni, co oznacza zmiany na rynku pracy – również korzystne. Ale żeby te korzystne zmiany zaistniały, konieczna jest pomoc rządu, przede wszystkim w zakresie mieszkalnictwa. I to nie poprzez zabieranie ludziom „mieszkań po babci”, jak się rząd odgraża, bo to spowoduje wybuch nienawiści nawet wśród bardzo pozytywnie nastawionych osób. Domiary, przymusowe dokwaterowywania, wykwaterowywania – nie tędy droga. Po drugie, w szkołach i przedszkolach pojawi się pokusa asymilacji ukraińskich dzieci do katolickiej religii i polskiej kultury. Pamiętajmy, że to są dzieci, które uciekły przed wojną i mają prawo do kultywowania swojej kultury. Po trzecie, musi zostać uregulowany system świadczeń – na dłuższą metę Polacy nie ścierpią asymetrii w tym zakresie. No i po czwarte trzeba nieustannie powtarzać, że to jest nasza wspólna wojna, że Ukraińcy wzięli ją na siebie i że jeżeli nie uda im się powstrzymać rosyjskiej nawały, to Rosjanie przyjdą do nas, zaczynając od wyrabiania korytarza przez przesmyk suwalski. A potem pójdą dalej. ●

* Prof. Maria Lewicka

● Psycholożka, dyrektorka Instytutu Psychologii UMK w Toruniu (wcześniej na Uniwersytecie Warszawskim). W obszar jej badań naukowych wchodzi m.in. psychologia związków człowieka z miejscem zamieszkania, teorie miejsca, pamięć zbiorowa. Przez kilkanaście lat prowadziła szeroko zakrojone badania sondażowe zarówno w poszczególnych miastach Ukrainy, jak i na całym jej terenie. ●



• Josif Brodski w swoim nowojorskim mieszkaniu, październik 1987 r.

FOT. EAST NEWS/AFP

Adam Michnik poleca **Spotkania z Brodskim**

STRASZNY WIERSZ

Brodski: „Niech was teraz Szwaby z Lachami/ Wezmą w lepiance od tylca”

Aleksander Fiut*

Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy przeczytałem wiersze Josifa Brodskiego w przekładzie Stanisława Barańczaka. Pamiętam za to z całą wyrazistością moment, kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem i usłyszałem. Było to 8 lutego 1985 r. w Ann Arbor, gdzie odbyła się, organizowana przez prof. Bogdanę Carpenter, konferencja „Literature and Culture in Post-Marxist Eastern Europe”. Zaproszony panel składał się z samych wyjątkowych gości: Josif Brodski, Czesław Miłosz, Josef Škvorecký, Danilo Kiš i Barańczak właśnie.

Miłosz osnuł wystąpienie wokół autobiograficznego opowiadania Sławomira Mrożka „Jaworzno”. Podkreślał trafnie opisaną przez autora, na podstawie własnych obserwacji, zasadniczą różnicę postaw wobec systemu komunistycznego w okresie stalinowskim: tzw. prostych ludzi, którzy nie mieli złudzeń co do istoty tego ustroju i trwali w milczącej nienawiści, oraz inteligencji, szukającej dialektycznych wybiegów dla usprawiedliwienia terroru.

W drugim przypadku szczególnie ważny wydawał się fenomen „porażonego umysłu”, który wypierał wiedzę o obozach pracy, torturach i morderstwach dokonywanych przez reżim.

Brodski wygłosił płomienisty monolog. Mówił szybko, mocno gestykulując. Wręcz niemożliwe było śledzenie biegu jego wywodów. Ale w potoku słów rozbłyskiwały, niczym grudki złota, maksymy, zaskakujące oryginalnością skojarzeń. Ta gra nieoczekiwanych zwrotów myśli, nieoczywistych skojarzeń i celnych formuł będzie mnie zawsze zachwycać w wierszach i esejach Brodskiego.

Po spotkaniu odprowadziłem go do hotelu. Teraz wydał się człowiekiem wyciszonym, skromnym, zamkniętym w sobie. Rozmawialiśmy o jego kontaktach z Miłoszem. Podkreślał z wdzięcznością rolę, jaką słynny list Miłosza do niego, nowo przybyłego wygnańca, odegrał w jego życiu. Rozmowa toczyła się po angielsku.

Kiedy zbliżyliśmy się do drzwi hotelu, do Brodskiego podszedł młody człowiek – jakby ucieleśnienie stereotypu Rosjanina: mocno zbudowany, krępy, ze strzechą blond włosów, z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi, ostro zarysowanym podbródkiem i lekko zadartym nosem. Przypominał mi do złudzenia obrazek bohatera książki „O wojach i witeziach”, którą dostałem na początku szkoły podstawowej w nagrodę za dobre stopnie. Gdzie stąpnął, poszerzał obszar Świętej Rusi, a biada tym, co ten obszar chcieli naruszyć!

Brodski z rodakiem zaczął rozmawiać po rosyjsku. Przemknęła mi wtedy przez głowę myśl, za którą się od razu zbiesztąłem, uznając ją za dowód głupiego ulegania stereotypom: „Mój Boże, ten kosmopolita, profesor, swobodnie poruszający się w kręgu

amerykańskiej elity, czy również taką Rosją jest podszyty?”

A jednak jak gdyby potwierdzenie tamtej niejasnej intuicji znalazłem później, pisząc o sporze Brodskiego z Milanem Kunderą. Brodski miał oczywiście sporo racji, zarzucając czeskiemu pisarzowi pomniejszanie znaczenia Dostojewskiego, absolutyzowanie w nim walorów emocjonalnych z pominięciem wymiaru duchowego, arbitralne i nieuzasadnione do końca przeciwstawianie Zachodu – Wschodowi czy odepchnięcie Rosji od cywilizacji europejskiej. Wytknął mu złośliwie, acz trafnie, hedonistyczne zawężenie światopoglądowego horyzontu, który nawet częściowo nie może się zbliżyć do myślowego rozmachu autora „Biesów”.

Ale w gwałtownym ataku na Kunderę przemówiła przez Brodskiego nie tylko, ocierająca się o bałwochwalstwo, duma z narodowej literatury, ale też pycha Wielkorusa. Nie przypadkiem nazywał później Europę Środkową „zachodnią Azją”. Toteż z poblażaniem pomieszanym z ironią spogląda na mieszkańca jakiegoś małego kraiku w środku Europy, gdzieś na obrzeżach imperium, pisarza, który ośmielił się podnieść rękę na świętość rosyjskiej literatury.

Podobna imperialna duma doszła w Brodskim do głosu w wygłoszonym w 1992 r. w USA, utrwalonym na taśmie wideo i krążącym w internecie wierszu „Na niepodległość Ukrainy”. W jego zakończeniu wyjątkowo obraźliwie przeciwstawia wielkość poezji Puszkina miernej, według niego, poezji Tarasa Szewczenki.

Imperialnemu rozjątrzeniu uległ także Brodski. Ale wbrew pozorom „Na niepodległość Ukrainy” nie jest niekontrolowanym wybuchem emocji. To starannie przemyślany i wirtuozowsko wykonany utwór. Przewrotność autora zdradza sam tytuł: czytelnik, który oczekuje ody ku czci ukraińskiej niepodległości, ze zdumieniem zaczyna lekturę jadownego paszkwilu.

Trudności ze zrozumieniem tekstu pojawiają od razu, od pierwszego zdania (korzystam tutaj z oryginału oraz z dwóch przekładów: Roberta Papińskiego i Leszka Szarugi). Bo kim właściwie jest przemawiający: „Drogi Karolu XII, bitwa pod Połtawą/ dzięki Bogu, przegrana?”

Współczesnym Rosjaninem, który ironicznie zwraca się do szwedzkiego króla, z ulgą nawiązując do pamiętnej bitwy z 1709 r.? Czy Ukraińcem, który już wówczas uświadomił sobie, że postawił na złą historię, nie kartę, skoro szwedzkie zwycięstwo nie gwarantowało jego ojczyźnie niepodległości? Warto pamiętać, że u boku Szwedów walczyły pod Połtawą kozackie oddziały hetmana Iwana Mazepy, czczonego do dziś przez Ukraińców jako narodowego bohatera.

Dalej mowa o drugiej bitwie, tym razem pod Konotopem, w której wojska kozackie pod wodzą hetmana Iwana Wyhowskiego pokonały w 1659 r. wkraczającą na teren Ukrainy Naddnieprzańską armię rosyjską pod wodzą księcia Aleksego Trubec-

kiego. Wskutek tej inwazji i podziałów wśród samych kozaków, którzy walczyli po obu stronach frontu, gwarantowany przez unię hadziacką z 1658 r. projekt powstania w ramach RP Obojga Narodów Wielkiego Księstwa Ruskiego pozostał na papierze.

Obydwie bitwy mają dla Rosjan i Ukraińców doniosłe znaczenie symboliczne. Bitwa pod Połtawą oznacza początek drogi Rosji do jej mocarstwowej pozycji w dobie Piotra I. Bitwa pod Konotopem to stracona szansa na powstanie choćby załążka niepodległego państwa ukraińskiego.

Obydwie zostają przez Brodskiego opatrzone współczesnym komentarzem. Wprawdzie w drugim, po cytowanym wyżej zdaniu, dopowiedzeniu nie do końca wiadomo, kim był ten, co „Graserką chropawą/ Mówił, że czas pokaże, jego mać, ruiny” (prawdopodobnie chodzi o Lenina), lecz to już nie on, lecz poeta wspomina: „Kość pośmiertnej radości z posmakiem Ukrainy”. Gra metafor nie jest do końca zrozumiała, ale ich złowroga wymowa wydaje się czytelna.

Podobnie rzecz się ma z bitwą pod Konotopem. Powiewa nad nim flaga już nie „zielono kwitnąca”, lecz skażona izotopem „żółto-błękitna” – w czym zawiera się czytelna aluzja do katastrofy w Czarnobylu i „skażenia” Ukrainy przez okres zależności od ZSRR. Ale podobnie podwójnie „skażony” zostaje symbol ukraińskiej dumy, bo owa flaga pozbawiona została krzyża kawalerskiego, który widniał na fladze Księstwa Ruskiego, oraz nie jest to błękitno-żółta flaga niepodległej Ukrainy. Tego krzyża pozbawiła flagę „Kanada” – ukraińscy emigranci z tego kraju, którzy „wykroili ją z płótna” i podarowali niepodległej ojczyźnie.

Powyższy fragment dobrze odślania jego strategię: z jednej strony autor wskazuje na silne, choć nieraz bolesne, mentalne i historyczne związki Rosji z Ukrainą, z drugiej – zerwanie tej rzekomo organicznej więzi uznaje nie tylko za uzurpację i zdradę, ale także za przyzwolenie na zależność nowo powstałego państwa od Za-

chodu. Jakby chciał powiedzieć: z nami wam może nie zawsze było po drodze, nieraz was gnębiliśmy, ale bez nas będziecie skazani na nowe, jeszcze gorsze podporządkowanie.

Ta fałszywa teza zostaje w wierszu „dowiedziona” przy użyciu wątpliwych argumentów, przeobrażonych w godną podziwu wyrafinowaną grę artystyczną. Poetycka dykcja pozostaje bezbłędna. Wersyfikacyjny kształt – wzorcowy. Posługiwanie się wielorakimi, nieustannie oscylującymi emocjami – przemyślnie i starannie trzymane w ryzach.

Dlatego przywołane dalej, w formie symbolicznej, znaki historii, kultury i tradycji ukraińskiej zostają w następnych wersach od razu zdezwuowane – już przez ich prześmiewczy wybór. Bo są tymi znakami stereotypy: ukraiński ręcznik (tu autor celowo używa ukrainizmu „rusznik”), haftowany ręcznie przez kobiety „rusznik”, używany przy wyjątkowych okazjach (w obrzędzie weselnym lub przy pogrzebie). Przedmiot ów pełni funkcję sakralną w tradycji ludowej (przekazanie pamięci rodowej, uczuć miłosnych). Następnie „karbowaniec”, czyli dosyć plastycznie uboga, mało wartościowa i przejściowa waluta z okresu Ukraińskiej Republiki Ludowej (1917-21), lat wojny (1942-44) oraz pierwszych lat niepodległości (1992-96); wreszcie „pestki słonecznika w spoconej garści” – wymowny obraz biedy, głodu i cywilizacyjnego zacofania.

Pojawia się jednak pozorny gest zrozumienia i porozumienia, podkreślony użyciem tym razem obraźliwego określenia Rosjan: „Nie nam, kacapom, oskarżać ich o zdradę./ Samiśmy pod ikonami siedemdziesiąt lat w Riazaniu/ Z zapijaczonymi oczami żyli jak przy Tarzanie”.

Od tej chwili bohater liryczny występuje w pierwszej osobie liczby mnogiej, czyli staje się reprezentantem narodowej zbiorowości, a dokładniej Wielkorusów. Poczucie wspólnego losu podczas 70-letniego panowania ZSRR, kiedy ukryte przywiązanie do religijnej tradycji, gdzieś na prowin-

cji, szło w parze z pijaństwem wyrażającym poczucie rozpacz i beznadziei, zostaje natychmiast przekreślone gestem wypędzenia: „krzyżk wam, chochły, i ręcznik na drogę”, któremu towarzyszy wulgarne przekleństwo: „Pod adres idźcie na trzy litery” oraz zwrot zaczerpnięty z baśni: „gdzie was oczy poniosą”.

Przemawiający w imieniu Rosjan wypędza Ukraińców skąd? Z ich własnej ojczyzny? Bo ona jest własnością Rosji? Gestowi odtrącenia towarzyszy dalej szyderstwo z oczekujących Ukraiń-

Ponownie eksplodują silne emocje: „Żegnajcie, chochły, po- byliśmy razem, starczy/ Plunąć by w Dniepr, czy co, może bieg zawróci”. Pewnych spraw nie da się już jednak odwrócić, podobnie jak biegu rzeki (Brodski używa celowo, z intencją degradującą, ukraińskiej nazwy „Dnipro”).

Zawarta tutaj aluzja do „Małorośyjskich pieśni” Gogola jest przywołaniem pełnej podziwu i czolobitności postawy Małorośjan wobec imperium, za których przedstawicieli uważał się autor „Martwych dusz”.

Brodski nie przypadkiem nazywał Europę Środkową „zachodnią Azją”

ców nowych zależności oraz grożącej im utraty tożsamości narodowej. Bo, jak złośliwie doradza: „Idźcie strojni w żupany, by nie rzec – w mundury”.

Jeszcze dosadniej to podporządkowanie obrazuje następny fragment. Ledwo ucihła jedna inwektywa, a już pojawia się następna. Używając tym razem pogardliwych określeń Polaków i Niemców oraz wulgarne zwrotu zaczerpniętego z więziennego slangu, Brodski przedstawia obsceniczną scenę brutalnego gwałtu – i to dokonywanego nie w więzieniu, lecz w „lepiance”, która stanowić ma symbol cywilizacyjnego zacofania Ukrainy: „Niech was teraz Szwaby z Lachami/ Wezmą w lepiance od tyłca”.

Po tej scenie bohater liryczny ironicznie wypomina: że gdy szło o gotowość na samobójczą śmierć, czyli „pod stryczek leżać” – „to z nami”, także „zupkę jeść pospołu”. Ale kiedy przechodzi „kurę gryźć z rosółu”, czyli życie trochę lepsze – to już „w pojedynkę”, bez braci Rosjan.

Potem następuje, jak się może wydawać, ponowny moment poskromienia wybuchów gniewu, a nawet zabarwiona pewnym poczuciem winy próba zrozumienia postawy współbraci: „Brzydzicie się godnie nami, znudzeni, znużeni swą męką./ Rozłączonymi węglami, wielowiekową udręką”.

Idzie z tym w parze pozorny gest pojednania: „Żle nas nie wspominajcie”. Ale natychmiast pojawia się zmiana tonu. Liryczne „my” przemawia z urazą i wielkomocarstwową pychą: „Waszego chleba, nieba nam (...) nie trzeba”.

Dalej następuje gorzka, naznaczona uczuciowym zranieniem konstatacja: „Nie ma co psuć krwi, rwać na piersi koszulę./ Skończyła się, widać, miłość, o ile była”. Zatem: „Po co słowem w zerwanych korzeniach grzebać”.

Nie przypadkiem wyobrażenia Brodskiego krąży w obrębie symboliki agrarnej. Oczywiście, „korzenie” mają sens historyczny i kulturowy, ale ponadto przywołana pośrednio zostaje długowieczna tradycja, zgodnie z którą Ukraina była spichlerzem Ro-

sji. Powiada poeta, że Ukraińców zrodził czarnoziem. Ale dodaje ze zjadliwą kpina: „Dość zwodzenia prawem, koniec zawodzenia/ Ta ziemia nie daje wam, kawonom, wytchnienia”.

W zawołaniu przypominającym zaśpiewem i rytmem ukraińskie pieśni ludowe: „Oj-da, step, dziewoje, basztan, wareniki” perfidnie parodiuje te pieśni, używając wielu degradujących skojarzeń. Sięga przy tym do nazw lokalnych: „basztan” to pole na stepie ukraińskim, na którym uprawia się arbuzy, ogórki i dynie; „wareniki” to pierogi nadziewane ziemniakami i serem. Jednym słowem, widome oznaki tyłu bardzo ubogiej chłopskiej gospodarki, co siemiężnej kuchni, zmuszonej przez nędzę do korzystania z najprostszych i najtańszych produktów roślinnych.

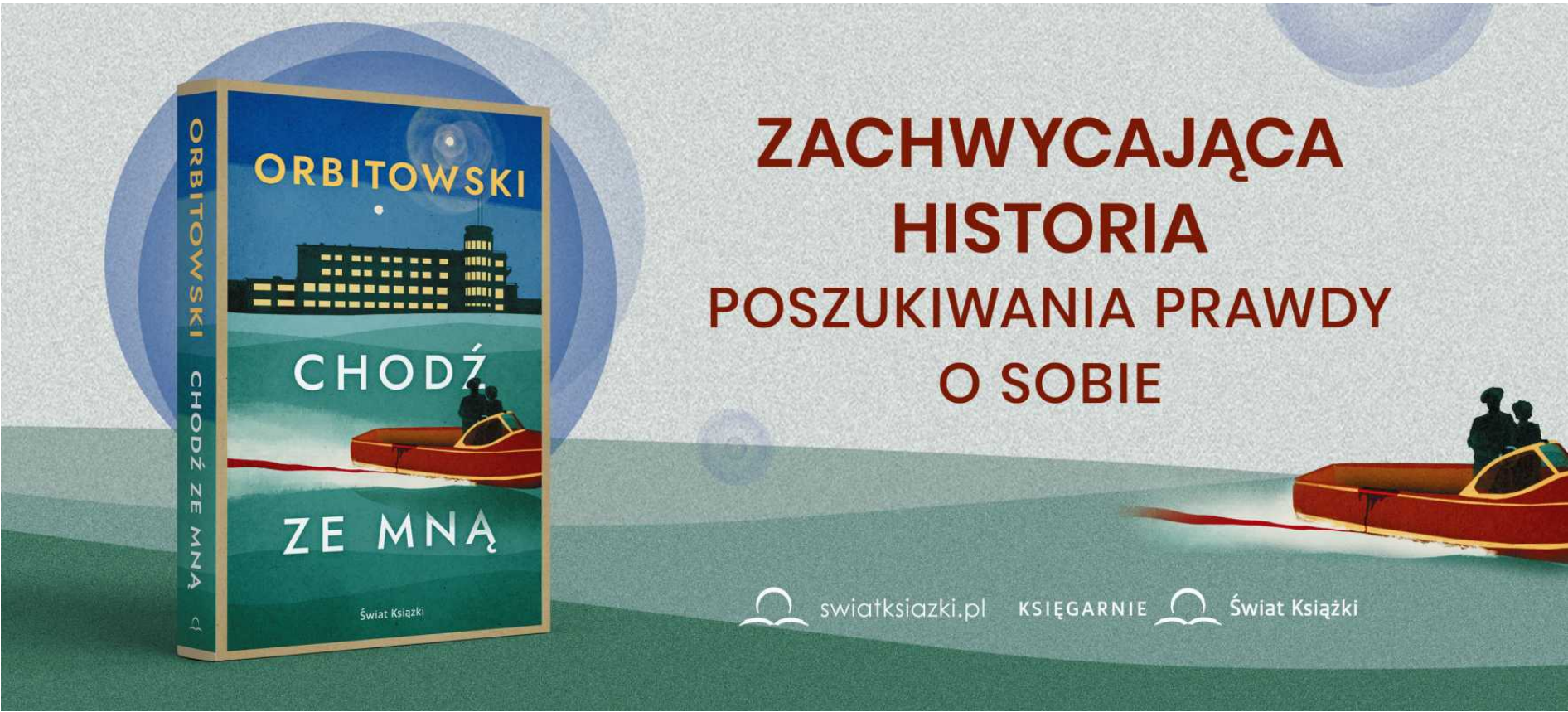
Jak ironicznie podsumowuje autor, ani czarnoziem „nie daje wytchnienia”, ani rośliny stepowe nie wystarczają, by przeżyć. Wielokorus chępliwie zapewnia, że my, Rosjanie, bez waszej żywności „jakoś przetrzymamy”.

Następuje ostateczne pożegnanie opatrzone jeszcze jedną obelgą, szyderstwem i pogardliwym ostrzeżeniem:

„Z Bogiem orły, kozaki, hetmani, stróże!/ Ale kiedy przejdzie wam umrzeć, buhaje,/ Będziecie chrypieć, drapiąc brzeg materaca,/ Linijki z Aleksandra, a nie łgarstwa Tarasa”.

Wylaniający się z wiersza Brodskiego przynębiający obraz Ukrainy został sklejony z żalonych, najgorszych stereotypów. To kraj o mocno zagmatwanej historii, rolniczy, mający wprawdzie żyzną ziemię, ale nie dość, przez nieudolność mieszkańców, wykorzystaną, biedny, cywilizacyjnie zacofany, kultywujący archaiczne tradycje. Skazany zatem bez opieki Rosji na regres oraz wyzysk Zachodu.

W tym karykaturalnym wizerunku brak choćby wzmianki o wieloetnicznej, wieloreligijnej i wielokulturowej przeszłości tych ziem o barwnym folklorze, o długotrwałych walkach narodowowyzwoleńczych, wielkich, pełnych wspaniałych zabytków



ZACHWYCAJĄCA HISTORIA POSZUKIWANIA PRAWDY O SOBIE



swiatksiazki.pl

KSIĘGARNIE



Świat Książki

miastach, jak Kijów czy Odessa, wreszcie – bogatej tradycji religijnej i architektonicznej o rodowdziej bizantyjskim. Ta pewnie, jak zdaje się mniemać Brodski, jest wyłącznym dziedzictwem Rosji.

Trudno nie odnieść wrażenia, że występuje w wierszu w roli brata, karzącego z gniewem tego drugiego, który poważił się uwolnić od jego uciążliwej opieki.

Czytałem ten wiersz z prawdziwym zażenowaniem. Odczułem go jako ostry, przenikliwy zgrzyt. Znakomity poeta pozostawił w dorobku utwór wymownie świadczący o jego duchowej małości. Poniżając boleśnie Ukraińców, także samego siebie dotkliwie poniżył.

Można do pewnego stopnia zrozumieć resentyment, a nawet szok Brodskiego wywołany odezwaniem się wielowiekowej prowincji Rosji od macierzy. Ale trudno to usprawiedliwić.

Miłośnicy poezji Brodskiego próbują ów wiersz uznać za jednorazowy wybryk poety, który znany był z rozmaitych prowokacji. Niesłusznie. Brodski stał się tutaj bowiem kontynuatorem długowiecznej rosyjskiej tradycji. Tych wielu poetów, pisarzy, myślicieli, którzy walcząc, nieraz heroicznie, z opresyjnym państwem caratu, a następnie ZSRR, godzili się na katogę, tulaczkę, cierpienie, nawet śmierć, ale nigdy nie sprzeniewierzyli się kultowi imperialnej Rosji, promiennej wizji III Rzymu, który zapanuje nad światem, niosąc mu duchowe ocalenie.

Trudny do zrozumienia paradoks, który przenikliwie opisał Miłosz w esejach o Puszkynie, Dośtojewskim, Pasternaku, Solżenicynie i Mandelsztamie. Brodski, szykanowany w ZSRR, jak pisał, za żydowskie pochodzenie, za obronę swej wolności i artystycznej suwerenności, za „pasożytnictwo” skazany na zesłanie, na zawsze wygnany z ojczyzny – stał się ich następcą.

Spotkałem się z Brodskim jeszcze dwukrotnie. Wpierw w Krakowie w 1990 r., dokąd przyjechał na zaproszenie Miłosza, a następnie w 1993, podczas uroczystości związanych z przyznaniem mu na Uniwersytecie Śląskim tytułu doktora honoris causa.

W Krakowie, w wypełnionej po brzegi auli Collegium Novum, po raz pierwszy słyszałem, jak Brodski recytuje swoje wiersze.

Brodski wstąpił na katedrę i od razu wprost zamagnetyzował słuchających, mnie również. Recytował z pamięci, a lepiej powiedzieć – to sama poezja brała go w swoje posiadanie, zamieniając recytację w niezwykły zaśpiew, przywodzący na myśl pienia popa w cerkwi lub kantora w synagodze. Albo była to rosyjska odmiana melopei – chyba nadmiernie zabarwiona uczuciowo i zanadto podniosła w tonie. Zacierała ironiczne półtony wierszy, gubiła ich klasycystyczny, zdyscyplinowany charakter, intelektualne zawieszenia głosu, chłodny dystans zaklęty w regularne rytmy i wyraziste rymy.

Nie mogłem się oprzeć myśli, że Brodski „morduje” swoje utwory. Zapytałem o to Andrzeja Drawicza, który powiedział: „Proszę pana, to jest maniera wszystkich rosyjskich poetów. Gdyby pan słyszał recytującą Achmatową!

Brodski w porównaniu z nią jest bardzo powściągliwy!”.

Ponownie słuchałem recytacji Brodskiego w Katowicach. Tym razem poruszył mnie jego nieświadomy gest. W pewnej chwili otarł spocone czoło rękawem marynarki. Pomyślałem: „to odruch więźnia albo zesłańca, który już zapomniał o istnieniu chusteczki do nosa!”.

Po odczycie podszedłem do Brodskiego, ale otoczony był kręgiem ludzi i swobodna rozmowa okazała się niemożliwa. Zadałem mu jedno pytanie: „Skąd u pana taki niemal religijny kult słowa? Czy jest to wpływ tradycji prawosławnej lub żydowskiej? A może

To miejsce do złudzenia przypomniało mi, gdy byłem tam zimą, ujście Newy do morza. Ciemne, pobłyskujące bryzgami iskier fale, rozbijające się rytmicznie o brzeg, w tym momencie, gdy się na nie patrzy, i obojętnie odwieczne. Niebo nie tak mroczne jak na północy, ale blade, unoszące się do góry. W Petersburgu na drugim, oddalonym brzegu rysuje się sylweta Twierdzy Pietropawłowskiej, w Wenecji – przykryte kopułą, masywne kolumny fasady San Giorgio Maggiore. Bryła bazyliki oświetlana jaskrawo, rozplywająca się w biele przed południem, przyjmująca ciemny, nieforemny kształt póź-

Staruszki dziergające w pensjonacie robótki są zapamiętanymi konkretnymi kobietami, lecz od razu przywodzą na myśl Parki, przyglądające się z namysłem przyszłym losom wygnańca. Hotel zamienia się w okręt, a bohater, zraniony utratą „pamięci, ojczyzny i syna” oraz niepamięcią o nim w pozostawionej za sobą ojczyźnie, niczym Odyseusz błąka się po obcym świecie.

Ale skojarzenia antyczne od razu płaczą się i łączą z innymi, biegnącymi również ku tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej. Jest wszak Boże Narodzenie. Anonimowy podróżny to zatem równocześnie „homo viator”, Wieczny

przystani przeszliśmy krużgankami klasztoru Franciszkanów, następnie pozostającym w cieniu korytarzem kolumbarium, by dotrzeć na cmentarz ewangelicki.

Grób poety znajduje się kilka kroków od miejsca, gdzie leży Ezra Pound. Uderza prostotą i skromnością. Na nagrobku z białego kamienia widnieje półokrągła tablica, gdzie po rosyjsku i po angielsku podane zostały imię i nazwisko oraz daty urodzin i śmierci. Na odwrocie napis: „Letum non omnia finit” („Śmierć nie wszystko kończy”), cytat z elegii Propercjusza.

Na grobie pełno najdziwniejszych przedmiotów, można by rzec, że jest wręcz zaśmiecony. Tymczasem są to oznaki pamięci i uwielbienia poety przez jego czytelników, materialne zapisy chwil spędzonych przy nim, już nieobecny.

Utrwalił je przejmująco Ryszard Krynicki, w przywołującej „Nie więcej” Miłosza, pięknej elegii z 24 czerwca 2004 r.:

„Gdzie bramę liże/ tuste morze.

W kwartale ewangelickim./ blisko Ezry Pounda/ i Olgi Rudge.

Znikają wierni goście:/ zaczepna mewa./ bojaźliwe jaszczurki.

U podnóża,/ pod wypalonym katolickim zniczem./ pozostawiony przez kogoś/ (w plastikowej koszulce./ chroniącej przed deszczem)/ komputerowy wydruk zdjęcia:

wychudzony, schorowany Brodski/ na tle czterech tetrahedronów.

Cały w swoim/ intensywnym spojrzeniu.

Na grobie obiady/ przewrócona szklanka z drobnymi monetami./ pusta ciwiartka po wódce/ z wypłowiałą etykietą./ wetknięte w listowie/ zwitki papieru

(może wiersze? może listy?/ prośby? zaklęcia?)/ Plastikowy kubek/ pełen długopisów (wystarczyłoby ich i na drugie./ o wiele dłuższe życie).

Czarne plastikowe okulary (znowu plastik./ znak czasu).

Na nagrobku kamyki/ jak na macewie, szyszka, listek”.



FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Aleksander Fiut

• ur. w 1945 r., historyk i krytyk literatury, eseista, profesor UJ. Zajmuje się od pół wieku badaniem twórczości Miłosza (jest autorem książek o nim i wywiadów z nim), a także m.in. literatury XX wieku.

Esej (tytuł: „Wyborcza”) jest fragmentem jego książki „**Wyglądy i wglądy**”, która ukaże się w lipcu nakładem WL.

Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn

„Pestki słonecznika w spoconej garści” w wierszu Brodskiego to wymowny obraz biedy, głodu i cywilizacyjnego zacoiania Ukrainy

kultu poetyckiego słowa u rosyjskich poetów, którzy swoich wierszy uczą się na pamięć, bo płacą za nie nieraz więzieniem, zesłaniem, a nawet śmiercią?”. Odpowiedział zdaniem: „The word is a highest ejaculation of mankind” (Słowo jest najwyższym wytryśkiem ludzkości).

Potem chodziłem śladami Brodskiego po Wenecji. Pamiętałem, że ja wielokrotnie, zwłaszcza zimą, odwiedzał. Wenecja musiała mu przypominać ojczysty Petersburg. To przecież dwa miasta szukające swoich odbić w wodzie, na polu widmowe – dwie architektoniczne fantasmagorie. Złuszczając zimą, rano, kiedy mgła zaciera granice pomiędzy powierzchnią wody i znikliwym zarysem nieba, architektura jej majaczkliwym podwojeniem.

Wrażenie podwojenia musiało być dla Brodskiego tym silniejsze, że miał przecież w pamięci ojczyste miasto. Kiedy płynąłem kanałami Petersburga, miałem nieodparte wrażenie przebywania w Wenecji, ale przeniesionej w przestrzeni i w czasie. Bo kiedy przepływałem pod mostkami, na brzegach zamiast poszarżanych, białopopielatych włoskich wytwornych palazzi i campii ze wspaniałymi frontonami kosciołów pojawiały się, utrzymane w tonie ochry, rosyjskie elegancie pałace i kopulaste, kolorowo zdobione cerkwie.

Te dwa miasta zdają się paradoksalnie łączyć i ucieleśniać dwie właściwości poezji Brodskiego: klasycystyczny rytm Petersburga i barokową niespodziewanego zwrotu, zaskoczenia, błędzenia w labiryncie.

Na Fundamenta Zattere, którym poeta bardzo lubił spacerować, odnalazłem tablicę mu poświęconą. Zatrzymywali się przy niej głównie rosyjscy turyści. Pomyślałem, że stąd patrząc, Brodski mógł mieć złudzenie, że jest w swoim rodzinnym mieście.

nym wieczorem, by nocą pozostać czarną sylwetą na tle mdło migocących gwiazd.

Co próbuję tutaj nieudolnie oddać w słowach, poeta uchwycił z plastyczną trafnością w „Znaku wodnym”: „Zimowe światło w tym mieście! (...) Niebo jest orzeźwiająco niebieskie; słońce, umykając przed swoim złotym odwzorowaniem u stóp San Giorgio, posuwa się długim szusem nad niezliczonymi rybimi łuskami chlupoczących drobnych fal laguny... Resztką espresso na dzień naszej filiżanki stanowi jedyny punkcik czerni w promieniu – jak nam się wydaje – wielu mil” (przekład Barańczaka).

Chyba nigdzie indziej Brodski nie odczuwał tak silnie ambivalentnego istnienia tu i gdzie indziej, prowizorycznego zadomowienia i raniącego doznania emigracji, spełnienia marzeń, by zobaczyć to właśnie miasto, a zarazem dławiącego nienasycecia.

Bo szczególnie tutaj to, co banalne, dotykane, natychmiast zastęga w kulturowe. Krążą znaki, niczym mewy nad laguną. Jak w napisanej w 1973 r. „Lagunie”:

„Trzy staruszki w fotelach w hallu, zerkając sponad/ robótki, rozmawiają o Golgocie. Pensjonat/ »Akademia« z całym światem próbuje/ popłynąć ku Bożemu Narodzeniu w łoskocie/ telewizji. Buchalter księgę wsunął pod łokieć,/ i z zapalem tym wszystkim steruje.

Do swojego numeru, na przykład, po trapie/ wchodzi pasażer, niosąc w kieszeni ratafię,/ jakiś nikt (człowiek otulony płaszczem)/ który utracił pamięć, ojczyznę i syna./ jego garb oplakuje po lasach osina,/ jeżeli po nim ktoś w ogóle płacze”.

(przekład Katarzyny Krzyżewskiej)

W pensjonacie Dell’Academia w dzielnicy Dorsoduro, nad Canal Grande, Brodski zatrzymał się w 1972 r. po wygnaniu, podczas podróży do USA. Co prywatne, natychmiast pod piórem poety zamienia się w parade kulturowych i religijnych skojarzeń.

Tulacz i pielgrzym. Cała ta długowieczna tradycja zostaje zarazem przywołana i zaprzeczona, obecna i zamazana.

Dawne „topoi” nikną lub banalnieją pod presją współczesnej cywilizacji. Biblia? O Golgocie można rozmawiać przy robieniu na drutach, buchalter staje się sternikiem, który stara się popłynąć ku Bożemu Narodzeniu „w łoskocie telewizji”. Samotnie, na obczyźnie spędzana wigilia stanowi bolesne zderzenie ojczyistych zwyczajów i potraw z lokalnymi, dawnego otoczenia – z obecnie oglądanym. Pozostaje milcząca i bezsilna rozpacz oraz ból, który poeta wyrazi powściągliwie i ironicznie językiem ciała: „Wigilia bez choinki, bez śniegu na dworze,/ lecz nad zakodowanym w świadomości morzem./ Topiąc skorupkę mięczaka i ledwo/ zdążywszy twarz skryć, plecy zaś wyeksponować./ Czas wynurza się z wody i zmienia od nowa/ tylko wskazówkę zegara – ją jedną”.

Wenecja przypomina Brodskiemu także o sowieckim systemie, który diabelskim grymasem przedrzeźnia tradycję oświecenia. Wszak to „tam, gdzie nagle, nieskończenie/ bezwzględny rozum staje się mokrym spojrzeniem”. Przywiązana na łańcuchu do pała gondola staje się symbolem uwięzienia przez totalitaryzm, zgniły pał to znak próchniejącej cywilizacji.

Na koniec stanąłem nad grobem Josifa Brodskiego. W 2011 r. odbywał się festiwal „Wenecja Miłosza”. Policznych obradach i spotkaniach poetyckich w olśniewających wnętrzach pałaców, także Pałacu Dożów, co zawdzięczaliśmy organizatorowi, Jarosławowi Miłkowi, dyrektorowi Instytutu Polskiego w Rzymie, postanowiliśmy odwiedzić miejsce ostatniego spoczynku Brodskiego.

Popłynęliśmy na cmentarz na wyspie San Michele we czwórce: Adam Michnik, Adam Zagajewski, Ryszard Krynicki i ja. Od

FOT. SHUTTERSTOCK

Mówi się, że zbudowano go na bagnie. Ale to nieprawda. Teren, który stany Maryland i Wirginia ofiarowały pod budowę stolicy – 100 mil kwadratowych zalewowych łąk pośród pagórków, między rzekami Potomak i Anacostia – owszem, był podmokły. W pierwszych dekadach, gdy rósł Biały Dom, Kapitol i wytyczano aleje parku The National Mall, dukty tonęły w bloku, kałuże przybierały rozmiary stawów. Ale – przyrodniczo rzecz ujmując – to jednak nie bagno. Takie miano przyłgnęło do stolicy z powodów politycznych.

W początkach istnienia Stanów Zjednoczonych Kongres miał siedzibę w budynku Independence Hall w Filadelfii. W 1783 r. stacjonujący w pobliskich barakach żołnierze zażądali wypłaty zaległych żołdów za udział wojnie o niepodległość. Kongresmeni odmówili. Żołnierze zajęli ich budynek. Kongresmeni poprosili o pomoc władze Pensylwanii. Pensylwania zbyła prośbę milczeniem.

Po tych wydarzeniach ojcowie założyciele doszli do wniosku, że rząd federalny musi mieć swoją, niezależną od stanów siedzibę, gdzie będzie bezpieczny. Wytyczono dystrykt nazwany Kolumbią (District of Columbia – DC). Pełną nad nim kontrolę przyznano Kongresowi – żaden ze stanów nie miał tu nic do gadania. Jednocześnie do DC przeniesiono instytucje mające moc dyktować warunki każdemu ze stanów. Powstało bagno – nienawidzona, mitycznie wszechpotężna, niesprawiedliwa i krwiopijczą władza federalna. Paradoks polega na tym, że Waszyngton, nie będąc stanem, nie ma swoich ludzi w Senacie i tylko jednego delegata bez prawa głosu w Izbie Reprezentantów. Najpopularniejsza nalepka na zderzakach wzywa do boju o prawa dla pokrzywdzonych mieszkańców stolicy: „No Taxation Without Representation!” (Nie ma podatków bez reprezentacji). Dawno temu z takim hasłem kolonie przystąpiły do walki o niepodległość.

Zeby na łąkach zbudować nowe miasto, potrzeba było rąk do pracy. Sprowadzano imigrantów z Europy, ale nie nadążali z robotą. Plantatorzy z Marylandu i Wirginii uczczyli więc (za odpowiednią opłatą rzecz jasna) swoich niewolników. Stolicą USA, jak cały kraj, wyrosła na zbrodni. Biały Dom też budowali czarni zniewoleni. Gdy powstał – na urokliwym wyniesieniu nad brzegami potoku Tiber – szybko należało go ogrodzić, aby najwyższy przedstawiciel władzy federalnej nie padł ofiarą wrogiego ludu. Pierwszy drewniany płot wokół posiadłości nakazał wznieść Thomas Jefferson, zaraz po wprowadzeniu się w marcu 1801 r. Później płot zamienił się w mur. Później przez dekady i stulecia rozszerzano teren wokół Białego Domu i umacniano ochronne zapory, aby prezydent był coraz bezpieczniejszy i coraz bardziej odizolowany. Po zamachach z 11 września 2001 r. wyłączono z ruchu przebiegającą przed Białym Domem Pennsylvania Avenue. Za Trumpa płot wokół rezydencji został podwyższony o 2 m, do 4 m, i wyposażony w najnowocześniejsze technologie. Za Bidena trwają prace nad dalszymi ulepszeniami.

Białego Domu nie ujrzałem. Uniemożliwiła to stojąca za plotem konstrukcja z betonowych płyt. Służby prasowe prezydenta tłumaczą, że to zasłona jedynie na czas remontu fontanny. Internetowi teoretycy spiskowi zauważają jednak – nie bez racji – że jak na remont fontanny konstrukcja wygląda dość pancernie. Ergo: władza federalna knuje coś w ukryciu. Jak zawsze.



10 miast w 10 tygodni. **Etap 9.**

ON THE ROAD AGAIN. WASZYNGTON

Trump podniósł płot wokół Białego Domu
z dwóch do czterech metrów, Biden jeszcze go ulepsza

Maciej Jarkowicz

Waszyngton to chyba jedyne miasto w USA, które można zwiedzać. W sensie europejskim – spacerować od zabytku do zabytku (bez konieczności pokonywania wielomilowych dystansów metrem albo samochodem) i spędzać długie godziny w (darmowych) muzeach. Wzdłuż National Mall, na długości 3 km między Kapitołem a Mauzoleum Lincolna, mieszczą się muzea i pomniki opowiadające o chwale i mordach, wyzwoleniach i zniewoleniach, najwspanialszych bojownikach i największych ofiarach Stanów Zjednoczonych. O poranku z autokarów wyskakują dzieci w koszulkach z nazwami szkół z miast i miasteczek interioru. Na wycieczce do stolicy uczą się o potęgę imperium. Krzepnie ich wiara w dobro, którym się zło zwycięża. O tym, co jest dobrem, a co złem, jaki fakt z historii podkreślić, a jaki przemilczeć, decydują nauczyciele. Nieskończoność odmiennych opowieści na ten sam temat, nieskończoność prawd i kłamstw.

W 2004 r. przy National Mall otwarto Narodowe Muzeum Amerykańskich Indian. Można m.in. obejrzeć filmy, na których pada słowo „ludobójstwo” w odniesieniu do tego, co stało się z pierwszymi narodami w czasie zasiedlania ziemi obiecanej przez Europejczyków. Jak dotąd nie padło ono z ust żadnego polityka wysokiej rangi.

Kawałek dalej w 2016 r. Obama, u schyłku prezydentury, uroczyście zainaugurował działalność Narodowego Muzeum Historii i Kultury Afroamerykanów. Przyglą-

dam się historii zakłętej w przedmiotach. Buty Jamesa Browna, cadillac Chucka Berry’ego, koszulka Michaela Jordana. Ekspozycja poświęcona dziennikarzom. „Freedom’s Journal”, pierwsza w dziejach, założona w 1827 r. w Nowym Jorku gaza-

**James Baldwin,
słynny czarny pisarz:
„Kreacja obnaża kreatora.
To ty jesteś »czarnuchem«,
kochanie, nie ja”**

ta Afroamerykanów. Zdjęcie Mary Ann Shadd, abolicjonistki, która wyemigrowała do Kanady i tam wydawała „The Provincial Freeman”. A obok kremowy prochowiec i maszyna do pisania. Chodził w nim i pisał na niej Robert Churchwell. W 1950 r. został pierwszym czarnym reporterem zatrudnionym w białej gazecie na Południu. „Nashville Banner” wziął go, żeby przyciągnąć czarnych czytelników. Przez pierwsze cztery lata pracował z domu ze względu na przepisy segregacyjne. Gdy zostały zmienione, dostał biurko. Koledzy z redakcji nie podawali mu dłoni, wstawali od stołu, gdy dosiadał się w stolówce, kpili z niego na kolegiach. Wieloletni koszmar doprowadził go do depresji. Ale przetrwał.

Tak jak James Baldwin. Gdy jeden z najwspanialszych pisarzy Ameryki miał 13 lat, biały policjant przegnał go sprzed Nowojorskiej Biblioteki Publicznej: „Wracaj na Harlem, czarnuchu, tam, gdzie twoje miejsce”. W czasie wojny Baldwin pracował w fabrykach zbrojeniowych w New Jersey. Po robocie ze względu na segregację nie mógł wejść do baru. Pewnego dnia zajął stolik w eleganckiej restauracji. Kelnerka poinformowała go, że czarni nie są obsługiwani. Rzucił w nią kubkiem. Restauracyjni goście chcieli go dopaść, ale zdołał uciec. Wspominał: „Po pierwsze, mogło się zdarzyć tak, że zostałbym tam zamordowany. Po drugie, sam byłem gotów kogoś zamordować. Znalazłem się w niebezpieczeństwie, i to nie z powodu czegoś, co mogli wyrządzić mi inni, lecz przez nienawiść, jaką nosiłem we własnym sercu”. Wyemigrował do Francji.

Z tysięcy słów, jakie napisał i wypowiedział, kuratorzy muzeum, którzy, tak jak nauczyciele z miasteczek interioru, decydują o tym, co jest ważne, a co nie, wybrali fragment wywiadu, jakiego Baldwin w 1963 r. udzielił telewizji z San Francisco: „To, co mówisz o kimś, obnaża ciebie. To, co mówię o tobie, jest podyktowane moimi własnymi potrzebami, moją psychologią, strachem, pragnieniem. Nie opisuję ciebie, gdy mówię o tobie. Opisuję siebie. W tym kraju mamy »czarnuchów«. Nic podobnego nie istnieje w żadnym innym kraju. To my wymyśliśmy »czarnucha«. Nie ja, lecz biali ludzie. Odkąd pamiętam, wiedziałem, że to, jak na mnie mówicie, to nie ja. To, czego się boicie, to nie ja. Kreacja obnaża kreatora. Ja nie potrzebuję »czarnucha«, ale dla was wydaje się on koniecznością. Oddaję wam więc wasz problem. To ty jesteś »czarnuchem«, kochanie, nie ja”. ● Cdn.

**„Rewolwer obok Biblii.
W co wierzy Ameryka”,
Maciej Jarkowicz, Agora, 2021**



Celniczki płakały, opowiadając o kobietach, które czuły się zawstydzone i upokorzone, ale nie potrafiły poprosić o świeżą bieliznę czy podpaskę

Dominika Wantuch

W zamkniętym ośrodku psychoneurologicznym w Kijowie przebywa 800 kobiet. Mają od 18 do 70 lat, cierpią na różne zaburzenia psychiczne. Większość miesiaćkuje. Ale zapas podpasek w ośrodku niedawno się skończył, a kolejny transport nie dotarł. Z powodu wojny produkcja firmy, która wygrała państwowy przetarg, została wstrzymana, część magazynów jest pusta, niektóre zostały zniszczone. Kobiety w ośrodku zostały bez podpasiek. W całej Ukrainie są ich dziesiątki tysięcy. Poza krajem kolejne tysiące.

INTYMNOŚĆ

Kiedy 24 lutego wybuchła wojna, Maria miała właśnie miesiaćkę. – Pomyślałam: żebym chociaż przez pierwsze dni okresu nie musiała siedzieć w schronie przeciwbombowym. Ale stało się inaczej. Już pierwszego dnia razem z mamą i siostrą musiałyśmy biec do schronu – opowiada Maria Tuskowa z Kijowa.

Na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy miały chwilę: bielizna, woda, koc, jedzenie, szczoteczka i pasta do zębów, sweter, czapka... Jedna z nich przed zejściem do schronu przypomniała sobie o podpaskach.

– Pobiegłyśmy do najbliższego schronu, który lata temu został przerobiony na kawiarnię. Było tam jakieś 80 osób. Głównie dzieci i kobiety, trochę starszych osób. Siedzieliśmy stłoczeni, nie było miejsca, żeby się położyć. Spaliśmy, siedząc przy stole, jak ktoś miał szczęście, to udawało mu się położyć na chwilę na podłodze. Było zimno, ciągle wiało – opowiada Maria. – Przerobiony na kawiarnię schron był w podziemiu, ale łazienka była na parterze. Tak więc każdy wypad do toalety był ryzykowny. Potrzebowała chodzić do łazienki częściej niż zazwyczaj, ale bałam się. Za każdym razem zastanawiałam się, czy na pewno już muszę iść, czy podpaska może wytrzymać jeszcze kilka godzin. Denerwowałam się, że przesiąknie. To było trudne – zero intymności, zero komfortu, ograniczony dostęp do łazienki i podpasek, bo wzięłyśmy z domu jedną paczkę, mokre chusteczki też się kończyły. Z jednej strony dociera więc do ciebie: mamy wojnę, a z drugiej nie możesz przestać myśleć, że za chwilę wszyscy zobaczą, jak krwawisz.

Lena Uszanowa, wolontariuszka, która od początku woj-

ny zajmuje się dostarczaniem ciepłych posiłków potrzebującym w Kijowie, mówi, że największy stres miały kobiety na początku wojny. – Przez pierwszy tydzień, dwa nie wiadomo było, jak będą działać sklepy. Zapasy wszystkiego się kończyły, nowe dostawy nie przychodziły, część sklepów była zamknięta albo otwarta jeden dzień w tygodniu. Nie wiadomo było, który to będzie dzień. Ludzie wychodzili więc ze schronów i chodzili po okolicy, szukając otwartych sklepów i najpotrzebniejszych rzeczy, a gdy coś znaleźli, kupowali na zapas.

W ciągu dnia wracali też do domów. – Wtedy dziewczyny się myły, zmieniały podpaski albo tampony i bieliznę. Na czas alarmu bombowego i godziny policyjnej znowu schodziły do schronów – opowiada Lena.

Mówi, że od początku wojny ma nieregularne miesiaćki. – Nagle wszystko wywróciło się do góry nogami, wiem, że mój organizm szaleje, że to pewnie przez stres. Okres jest dla mnie teraz ciągle zaskoczeniem, ale raczej nie zastanawiam się nad tym – zamyśla się. – To jest chyba jedno z takich doświadczeń, z których kobiety w czasie wojny zostają same i po prostu muszą sobie radzić. Nie rozmawiają o tym w swoim gronie, nawet jeśli ma-

ją problem, bo nie ma wody albo brakuje podpasiek, bo wydaje im się, że przecież są ważniejsze sprawy. Dlatego ja staram się po prostu mieć przy sobie zawsze podpaskę albo tampon.

Akcja społeczna Kulczyk Foundation, „Wysokich Obcasów” i Fundacji „Gazety Wyborczej”.

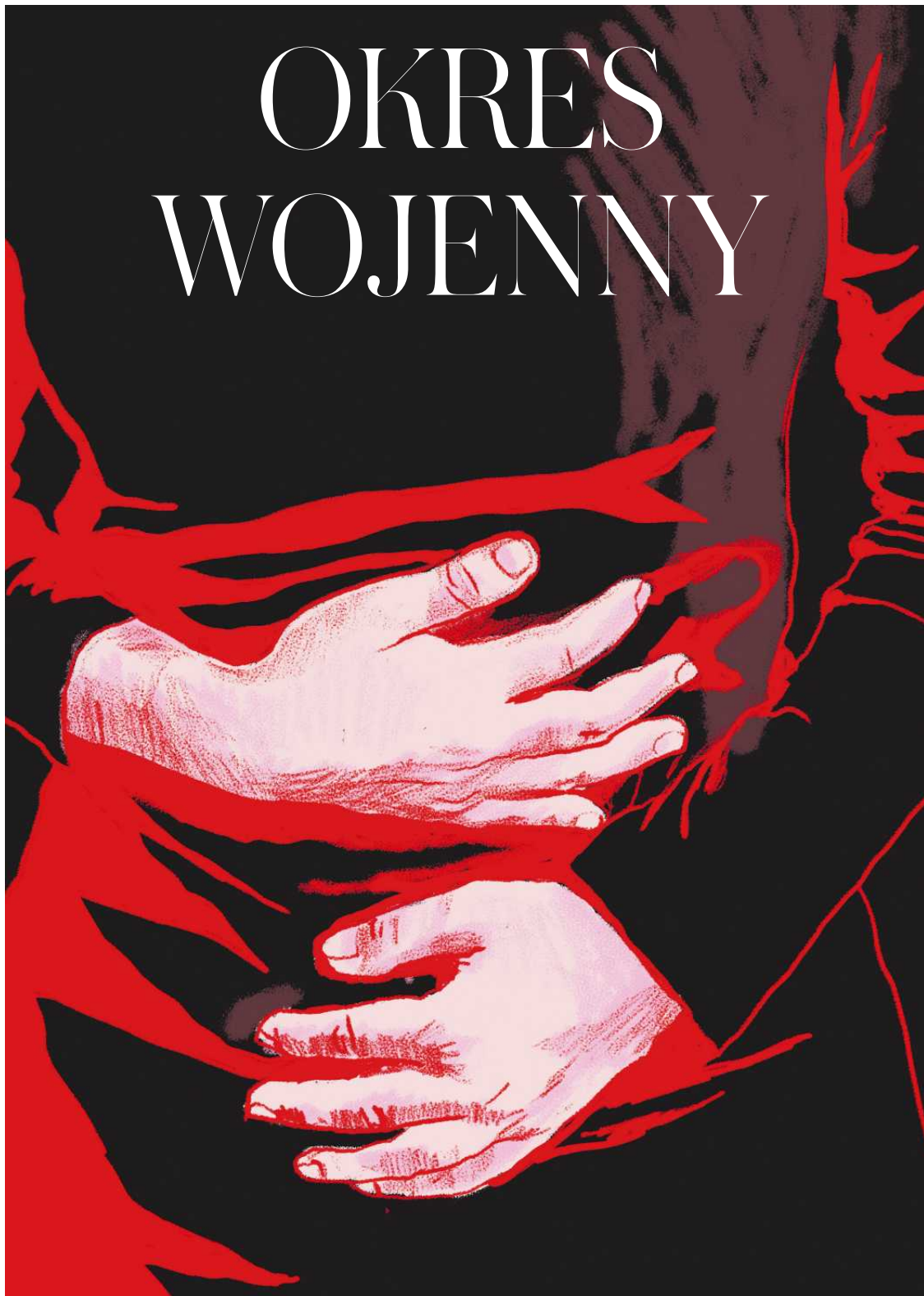
Z uwagą i czułością przyglądamy się naszym relacjom – tym rodzinnym i tym z nami samymi – aby je uporządkować i z nową energią tworzyć świat po pandemii. Chcemy rozmawiać o wolności kobiet w sferze świadomości, cielesności i bytu.

Więcej informacji o działaniach na rzecz normalizacji tematu menstruacji i walki z ubóstwem menstruacyjnym na stronie: [Kulczykfoundation.org.pl/menstruacja](https://kulczykfoundation.org.pl/menstruacja)

KULCZYK FOUNDATION

CZUŁOŚĆ WOLNOŚĆ
WIDZIMY RÓŻNORÓDNOŚĆ W RELACJACH

ILUSTRACJA MARTA FREJ



UPOKORZENIE

Ale nie każda kobieta je przy sobie zawsze ma. Opowiada Małgorzata Sztolf, wolontariuszka, która pomaga uchodźczynom na granicy: – Razem z celniczkami widziałyśmy kobiety, które docierały na granicę w poplamionych od krwi ubraniach, zasłaniając spodnie. Nie mówiły wiele, nie prosiły o podpaski, chusteczki, bieliznę czy mydło, ale widziałyśmy, jak czują się upokorzone.

To właśnie celniczki po wybuchu wojny najpierw rozdawały kobietom przekraczającym granicę własne środki higieny, a potem zaalarmowały o problemie wolontariuszki i organizacje pomocowe. W łazienkach na granicy starały się zostawiać podpaski ukraińskich firm, aby kobiety nie miały wątpliwości, co to jest. – Celniczki nieraz płakały, opowiadając o kobietach, które czuły się zawstydzone i upokorzone i nie potrafiły poprosić o świeżą bieliznę czy podpaskę – mówi Małgosia.

A Emilia Kaczmarczyk działająca w organizacji Akcja Menstruacja dopowiada: – Trudno jest prosić o podpaskę, gdy Google Translator tłumaczy to słowo z języka ukraińskiego na polski jako „uszczelka”. Kobiety docierają na granicę po wielu dniach podróży często w spartańskich warunkach,

niektóre przeżyły w Ukrainie piekło, są w szoku, zmęczone, trafiają do obcego kraju. Jeśli nie znają języka, trudno im zapytać o środki higieniczne. To jest sytuacja, w której człowiek po prostu się blokuje.

Akcja Menstruacja od początku wojny dostarcza do punktów pomocowych i recepcyjnych na granicę podpaski dla Ukrainek.

Emilia opowiada: – Gdy zaczęła się wojna, widziałyśmy wielką mobilizację ludzi, którzy chcieli pomagać. Ale wiedziałyśmy, że ten zryw nie potrwa wiecznie. Zresztą podpaski, wkładki czy inne środki higieniczne dla kobiet to nie są dary, które pakujemy do koszyka dla uchodźców w pierwszej kolejności. Owszem, one się zdarzały, ale niestety często były to najtańsze, najprostsze podpaski. Grube, bez skrzydełek, które szybko nasiąkają i trudno w nich czuć się komfortowo. Same punkty recepcyjne czy ośrodki pomocowe dla uchodźców, tworząc listy najpotrzebniejszych rzeczy, też zapomniały często o podpaskach. Jakby miesiaćka zatrzymała się na czas wojny.

Akcja Menstruacja od tej pory przekazała na granicę ponad 20 palet z podpaskami. Jedna paleta to 1080 paczek. Jedna paczka to średnio 10 podpasiek. Każda paleta kosztuje ok. 4 tys. zł. Dlaczego właśnie podpaski? Bo tampony wymagają większej higieny i są droższe. Podobnie kubeczki menstruacyjne – trzeba choć trochę wody, aby móc je przepłukać, a ona nie zawsze jest.

Jedna z marek majtek menstruacyjnych wysłała 100 par na Ukrainę, ale nie wiadomo, na ile są tam popularne.

Skala potrzeb jest ogromna, a w ludziach powoli widać wypalenie. Półki w sklepach, z których uchodźcy mogą zabierać to, czego potrzebują, świecą pustkami. – Pomoc maleje, potrzeby rosną. Społeczeństwo jest zmęczone, ludzi nie stać na to, żeby trwale pomagać, a do Polski przyjeżdżają teraz już osoby mniej zamożne, których nie stać było wcześniej na podróż i które potrzebują wsparcia w każdym wymiarze; zawsze gdy będą mieć wybór: jedzenie czy podpaski, wybiorą to pierwsze.

Tymczasem brak dostępu do środków higieny i czystości czy wody może być dla uchodźczyni niebezpieczny dla zdrowia. Badania przeprowadzone w 2017 r. przez organizację Global One (zajmuje się walką z ubóstwem i chorobami) w obozach dla uchodźców w Syrii i Libanie wykazały, że ponad 60 proc. uchodźczyń nie ma dostępu do bielizny, a większość nie ma żadnych środków higienicznych. Połowa kobiet cierpiała na infekcje dróg moczowych.

Badania United Nation Women w Kamerunie pokazały, że 99 proc. uchodźczyń nie ma dostępu do bezpiecznych miejsc, w których mają zapewnioną intymność i komfort, by zmienić produkty menstruacyjne. Muszą więc korzystać z miejsc publicznych, co z kolei powoduje, że są bardziej narażone na przemoc seksualną.

SKARPETKA

Jak sobie radzą uchodźczynie?

Anna: – Dostałam okresu w trakcie podróży do Polski. Nie

byłam na to przygotowana, bo miesiączkę miałam jakieś dwa tygodnie wcześniej. Najpierw układałam w majtkach chusteczki, ale to pomagało na chwilę. Potem wzięłam skarpetkę, wyłożyłam ją w majtki i na niej jeszcze położyłam papier. Tak przeszłam przez granicę. To było okropne uczucie.

Ukrainki radzą sobie dziś podobnie jak uchodźczynie z Syrii, a do dyspozycji mają niewiele więcej niż nasze babki i prababki podczas II wojny światowej 80 lat temu. Wtedy za środki menstruacyjne służył im często papier, brakowało nawet waty, bandaży czy opatrunków, które przeznaczone były dla rannych żołnierzy.

„Papier to, z czym przysyłano paczki, to się skrzętnie papier zbierało, żeby właśnie w celach higienicznych móc użyć. Przecież kobiety, wiadomo, ta starsza pani to już nie miała miesiączki, ale myśmy miały miesiączki, to była makabra” – wspomina Hanna Kumuniecka-Chelmińska, sanitariuszka biorąca udział w powstaniu warszawskim, w książce Anny Herbach „Dziełczyzny z powstania”. W Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego opowiadała też, jak wielkim problemem był dostęp do wody: „Myło się w zimnej wodzie z lodem niejednokrot-

nie przez większość czasu jest woda – mówi wolontariuszka z Kijowa Lena Uszanowa.

Ukrainki wierzą, że w tak ekstremalnej sytuacji, w której będą musiały używać mchu albo liści, nie będą. Ale ze wstydem przyznają, że za podpaski służą im czasami kawalki ubrań, chusteczki, papier toaletowy czy kawalki szmat. Czasami jednak wolą to, niż poprosić o środki menstruacyjne.

WSTYD

Do pensjonatu na północy Polski trafiła grupa kobiet z Ukrainy. Pewnego dnia właścicielka pensjonatu zauważyła, jak jedna z Ukrainek ciągle się wierci, przegląda w lustrze, jest niespokojna, kręci się koło łazienki. W końcu zapytała ją, czy coś się stało, czy dostała okresu. Dziewczyna przyznała, że tak, ale nie chciała w ogóle o tym rozmawiać. Po chwili okazało się, że chodzi o kobiety, które trafiły do pensjonatu, nie ma przy sobie podpasek czy tamponów, wszystkie wstydziły się o nie poprosić.

Wolontariuszka Lena Uszanowa: – Miesiączka to jest w Ukrainie wciąż temat tabu. W młodszych pokoleniach to się zmienia, kobiety powoli zaczynają rozmawiać z męża-

W Ukrainie miesiączka to wciąż temat tabu: „Nie daj Boże twój facet zobaczy podpaskę, co to będzie”

nie, dwa razy dziennie, czasem było trochę ciepłej wody, tośmy zrobiły w ten sposób, że nabierało się ciepłą wodę w miskę, po kolei według kolejności, raz się jedna myła, drugi raz druga, jak nam się udało, to nawet była miska na dwa razy tej wody. Oczywiście potem w tę miskę trzeba było siusiać czy nawet coś” – opowiadała Hanna Kumuniecka-Chelmińska.

Zresztą woda podczas drugiej wojny światowej była jednym z najbardziej deficytowych towarów. Genowefa Flak wspominała: „umyc się przyzwyczajenie” było ciężko. „Trzeba było szukać łazienki, w której jeszcze była woda. Tak że to nie było łatwe. O tym się myślało, nawet więcej niż o jedzeniu, dlatego że raz, że było gorąco, więc ciągle człowiek chciał się umyć, a poza tym jednak te sprawy higieny były konieczne” – wspominała na łamach Archiwum Historii Mówionej.

„Kobiety, póki mogły, myły się w mieszkaniach obcych ludzi, w fontannach miejskich, często w nocy, w zimnej wodzie. Czasami miały pół litra wody na dzień. A trzeba było się myć, pić i przygotować coś do jedzenia. Myłyśmy się chyba co drugi czy co trzeci dzień i zlewałyśmy wodę i potem jedna po drugiej się myła. Zawsze to było lepsze niż nic” – wspominała sanitariuszka Cecylia Górka.

– My chyba jednak mamy trochę lepiej, bo mimo wojny w Ukra-

mi czy partnerami o okresie, o tym, że np. źle się czują z tego powodu albo potrzebują kupić podpaski. Ale przed nami jeszcze daleka droga, aby ten temat stał się czymś naturalnym.

Olha Menko, która od pięciu lat mieszka w Polsce, wspomina: – Ja sama byłam wychowywana w taki sposób, że mężczyzna nie powinien widzieć podpaski. Ten temat był traktowany jak coś obrzydliwego, „nie daj Boże twój facet zobaczy podpaskę, co to będzie”. Gdy parę lat temu wyjechałam do Szwecji, zobaczyłam, jak ludzie otwarcie rozmawiają o okresie. Koledzy robili dziewczynom herbatę, podawali okłady, robili masaż. Na początku czułam oburzenie, ale dziś chciałabym, żebyśmy wszyscy zwracali uwagę na problem kobiet, uchodziły, Ukrainek, które w czasie kryzysu nie mają dostępu do środków menstruacyjnych. To bardzo wpływa na ich psychikę – mówi Olha. W Krakowie prowadzi portal dla osób przyjeżdżających z Ukrainy.

To właśnie do niej ośrodek neuropsychologiczny dla kobiet, w którym zabrakło podpasek, zgłosił się po pomoc. Udało się zdobyć zapas na cztery miesiące. – Mamy nadzieję, że to wystarczy, że ta wojna szybko się skończy. ●

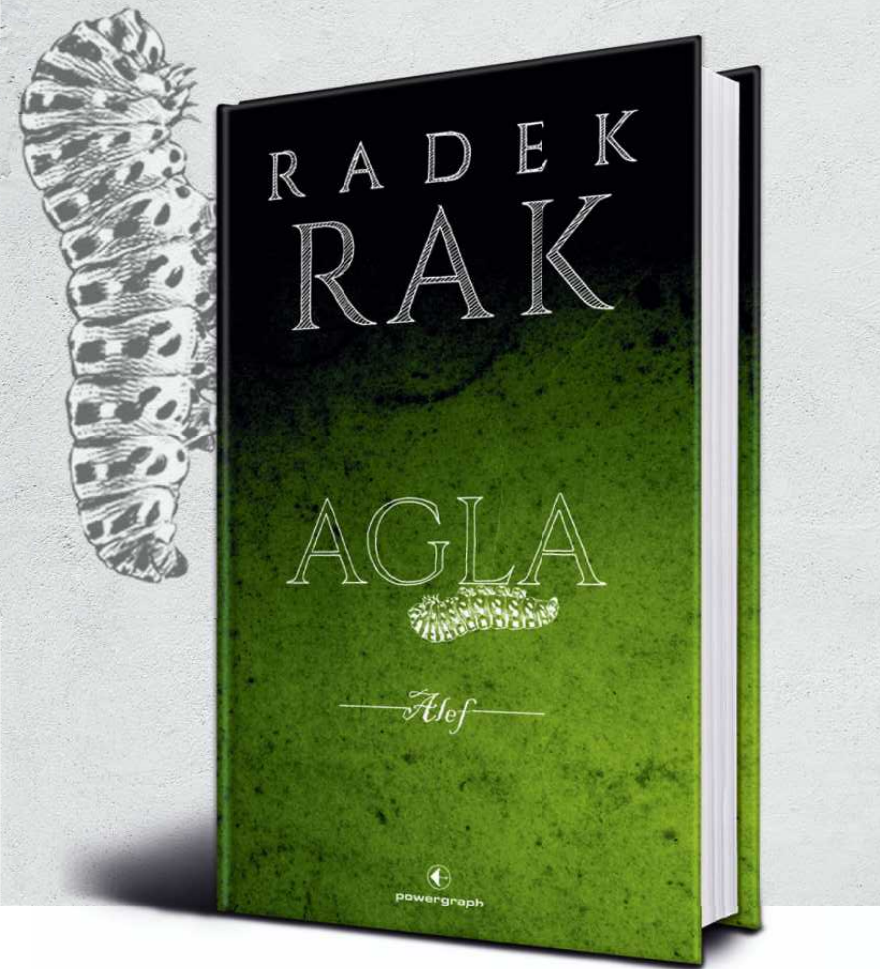
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki Radka Raka „Agla. Alef”



Długo wyczekiwana książka Radka Raka – laureata Nagrody Literackiej Nike Agla to brawurowa historia przygodowa, ale też wnikliwa i wzruszająca powieść psychologiczna o dojrzewaniu i przemianie, o miłości i odkrywaniu swej cielesności, o zawiedzionych przyjaźniach, wykluczeniu i samotności, o odnajdywaniu siebie i stawianiu się człowiekiem w pełni znaczenia tego słowa.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Radka Raka „Agla. Alef” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

RAF22AA

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywować dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytać na wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

M777 pozdrawia braci Moskali

Ukraińscy dowódcy zamawiają ostrzał artyleryjski tak, jak zamawia się ubiera czy pizzę.

Bartosz T. Wieliński

Idądziała przez Ukrainę. Droga nieutwardzona, siwo od pyłu, samochód podskakuje na weterpach. Może to Donbas, może Charkowszczyzna. Amerykańska haubica M777, długa na 10 m, waży zaledwie 3,7 t. Zaledwie, bo starsze haubice ważą dwa razy więcej, a M777 odlano nie ze stali, ale z tytanu. Dzięki temu haubicę przetrzuci mały samolot, bez problemu podniesie helikopter, a do holowania nie potrzeba specjalnego samochodu. Można gnać – jeśli wóz i droga pozwoli – nawet 80 km na godzinę.

Z transportem dział trzeba się śpieszyć, bo we wschodniej Ukrainie decydują się losy wojny.

Dwa miesiące temu cały świat mówił o ukraińskich dronach Bayraktar TB-2, które masakrowały ciągnące na Kijów rosyjskie czołgi i wyrzutnie przeciwlotnicze. Dziś Ukraińcy nie wrzucają do sieci filmów z akcjami dronów. Teraz ich drony filmują precyzyjne i niszczytel-skie ostrzały artylerii. Na polach zieleni się pszenica, kwitnie rzepak. Rosyjskie pojazdy pełzną po drogach. Gdy spada salwa haubic, po kolei pochłaniają je kule ognia. Doświadczeni żołnierze mogą oddać nawet pięć strzałów na minutę. Pierwsze M777 na front dotarły na początku maja. Oglądam zdjęcia, które dron wykonał pod Iziumem, strategicznie ważnym miastem na południe od Charkowa. Na fotografii widać idealnie okrągły krater i wraki. To rosyjski skład amunicji, na który spadł pocisk kalibru 155 mm. Eksplozja zniszczyła siedem zaparkowanych obok bojowych wozów piechoty i czołg.

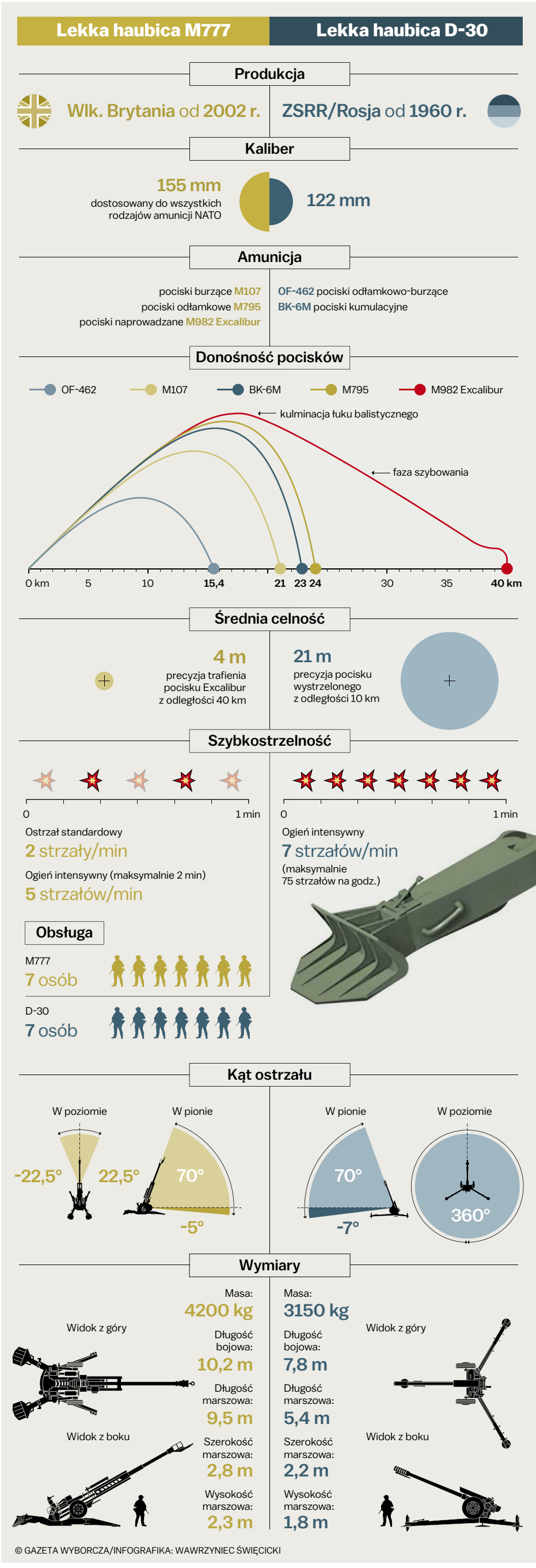
Są też fotografie pocisków, na których Ukraińcy markerami wypisują „dedykację”. Za Mariupol, za Melitopol, za Charków. Z Holandii przysłano pocisk podpisany „Za MH17”. Chodzi o malezyjskiego boeinga pełnego holenderskich turystów, który 17 lipca 2014 r. wystartował z Amsterdamu do Kuala Lumpur i został zestrzelony przez Rosjan nad wschodnią Ukrainą. Była też „dedykacja” „Za Katyń”.

Biden obiecał Ukraińcom dostawę M777 jeszcze w kwietniu. USA zobowiązały się przekazać 90 sztuk, po pięć wysłały Australia i Kanada. Dlaczego M777? Ze względu na wagę. W ładowniach wielkich transportowców C-17, które kursują między USA a Rzeszowem, głównym punktem przeładunkowym natowskiej pomocy, mieściło się po sześć haubic. Do tego M777 jest prosta w obsłudze. Wystarczy pięciu żołnierzy. Starsze amerykańskie haubice wymagają dziewięciu, a starą postsowiecką haubicę D-30, z której korzystają Rosjanie i Ukraińcy, obsługiwać musi osiem osób. Mała waga M777 pozwala też szybciej rozstawić sprzęt i szybciej go przemieścić po strzale, by uniknąć kontruderzenia. Inną ważną cechą M777 jest duża celność i zasięg. Standardowy pocisk trafia w cel na odległość 21 km, a jeśli załaduje się pocisk z napędem raketowym, można sięgnąć Rosjan oddalonych o 30 km. Wkrótce po obietnicy Bidena w domach w Pressath, trzydziestotysięcznym miasteczku we wschodniej Bawarii, 30 km od czeskiej granicy, zaczęły dzwo-

nić szyby. Za grzmotem przetaczał się grzmot. Załogi M777 zaczęły szkolenie na poligonie US Army w Grafenwöhr. Tyle że przy armatach pod okiem instruktorów nie uwijali się amerykańscy artylerzyści, tylko Ukraińcy. Kijów na szkolenie przysłał 300 żołnierzy. Niemiecki rząd wyraził zgodę, choć prawnicy Bundestagu przygotowali ekspertyzę, z której wynika, że Rosja może uznać Niemcy za kraj biorący udział w wojnie. Ale wróć... Przecież Rosja nie uznaje swoich działań w Ukrainie za wojnę, tylko za operację specjalną. Szkolenie artylerzysty w armii USA trwa 18 tygodni i 4 dni. Sama instrukcja obsługi technicznej działu to grubo ponad 100 stron, podręcznik procedur i taktyki – drugie tyle. Ukraińcy nie mieli czasu. Skupiali się na najważniejszym, w tym na funkcjonowaniu zintegrowanych z haubicami amerykańskich komputerów służących do namierzania celów i obliczania trajektorii pocisków. Tym bardziej że jeśli chodzi o strzelanie do Rosjan, wielu z nich było ekspertami.

Gdy świat zachwycał się filmami z ataków dronów, gdy Ukraińcy błogosławili pociski przeciwpancerne Javelin i NLAW, dostępu do Kijowa broniła artyleria. – Pociski przeciwpancerne spowalniały marsz Rosjan, nasza artyleria ich zabijała – mówił gen. Walerij Załużny, ukraiński naczelny dowódca. Jako pierwsi o skuteczności ukraińskich artylerzystów przekonali się komandosi, którzy w pierwszych godzinach wojny desantowali się na lotnisko w Hostomlu pod Kijowem. Baza, w której stacjonował An-225 Mrija, największy samolot świata, miała być przyczółkiem, z którego po przetrzuceniu samolotami transportowymi posiłków miał ruszyć rajd na Kijów. Ale gdy spadochroniarze wylądowali, spadł na nich grad ukraińskich pocisków. A potem ruszył ukraiński specnaz. W północnej Ukrainie artyleria skutecznie spowalniała ruchy rosyjskich kolumn. Cele dla haubic namierzali grasujący w lasach żołnierze ukraińskich służb specjalnych. Zadanie ułatwiało to, że Rosjanie posuwali się wyłącznie drogami. Odpowiedzieć na ogień dział nie mieli jak. Drogi zatkały się sprzętem, który utknął z powodu braku paliwa. Artyleria została daleko z tyłu, Ukraińcy byli poza jej zasięgiem. Gdy Rosjanie rozpoczęli odwrót spod Kijowa, ukraińscy artylerzyści ruszyli za nimi.

Ukraińcom pomaga system koordynacji działań artylerii GIS Arta. Jednostki zwiadu namierzają cele i wprowadzają ich pozycję do systemu. Dowódcy w czasie rzeczywistym zamawiają w znajdujących się w zasięgu bateriach artylerii ich ostrzał. Tak jak zamawia się taksówkę czy dowóz pizzy. Takie rozwiązanie pozwala na rozproszenie jednostek (system bierze pod uwagę różnice w odległości poszczególnych dział od celu, tak by pociski dolatywały w tym samym czasie), dzięki czemu ryzyko kontruderzenia maleje. Salwy pojedynczych haubic trudniej wykryć rosyjskim radarom artyleryjskim. A gdy to się uda i ukraińska załoga nie zdoła się wycofać, Rosjanie zniszczą tylko jedno dział. Rola M777 nie skończy się tylko na ostatecznym zatrzymaniu natarcia w Donbasie. Ukraińcy zapowiadają kontrofensywę i wyparcie Rosjan z całej Ukrainy. Zanim do ataku ruszą czołgi i transportery, na rosyjskie pozycje spadnie deszcz pocisków 155 mm. Cele haubicom M777 precyzyjnie wskażą drony. ●



Lekka haubica M777

Projekt ultralekkiej haubicy powstał w odpowiedzi na zmieniające się pod koniec lat 80. XX w. potrzeby armii amerykańskiej. Nowym priorytetem stał się w tym czasie rozwój lekkich sił szybkiego reagowania zdolnych do błyskawicznego przemieszczania się w dowolne miejsce na świecie. Jedną z wymagających rozwiązania kwestii było zapewnienie oddziałom desantowym wsparcia artyleryjskiego. Nowy rodzaj artylerii miała cechować duża mobilność przy zachowaniu wysokiej skuteczności bojowej. Nowa haubica musiała zapewnić odpowiednią donośność i szybkostrzelność, obsługiwać wszystkie rodzaje amunicji 155 mm w standardzie NATO, mieć masę poniżej 4000 kg oraz być holowana przez pojazdy o masie poniżej 3 ton.

Tytanowy transformer na alufelgach

Większość elementów konstrukcyjnych haubicy została wykonana ze stopu tytanu. Pozwoliło to obniżyć jej masę o 45 proc. w stosunku do podobnej konstrukcji stalowej przy zachowaniu porównywalnej wytrzymałości. Tytan jest jednak materiałem znacznie droższym od stali, dlatego przed rozpoczęciem produkcji seryjnej konieczne było opracowanie nowych procesów technologicznych pozwalających

Pocisk M982 Excalibur

M982 Excalibur to amunicja precyzyjnego rażenia kaliber 155 mm produkowana przez amerykański koncern Raytheon (system naprowadzania) we współpracy ze szwedzką firmą BAE Systems Bofors (kadłub, system balistyczny i ładunek). Jest ona kompatybilna z większością lufowych systemów artyleryjskich NATO kalibru 155 mm, w tym m.in. haubicami holowanymi M198 i M777A2. Excalibur trafia w cel dzięki systemowi naprowadzania opartemu na nawigacji bezwładnościowej i satelitarnej. Do oddania celnego strzału wystarczy znać współrzędne celu. Przy zasięgu 40 km zapewnia precyzję trafienia w promieniu do czterech metrów. Zwiększony zasięg pocisku osiągnięto przez zastosowanie

rozkładanych płetw umożliwiających swobodne szybowanie pocisku ze szczytu łuku balistycznego w kierunku celu. Excalibur posiada wielofunkcyjny zapalnik, który można zaprogramować tak, aby eksplodował nad celem po uderzeniu w twardą powierzchnię lub po przeniknięciu do wnętrza budynku. Najnowsza wersja, Excalibur EST, dzięki możliwości zaprogramowania kąta natarcia końcowej fazy lotu pozwala skutecznie atakować trudno dostępne cele, np. wybrane piętro wysokich budynków, pozycje nieprzyjaciela zlokalizowane za wzgórzem lub ukryte pod wiaduktem.



Długość:
1 m
Średnica:
155 mm
Masa całkowita:
48 kg
Masa głowicy:
22 kg

lających obniżyć koszty oraz zredukować ilość odpadów cennego surowca. Dzięki zastosowaniu tytanu udało się również uprościć konstrukcję, redukując liczbę elementów. Na przykład łoża górne, pierwotnie złożone ze 110 elementów, obecnie stanowi jeden odlew.

Lufa typu M284 kaliber 155 mm o długości 5 m (39 kalibrów). Żywotność lufy pozwala na oddanie 2650 strzałów. Żywotność zamka i oporopowrotnika jest dwukrotnie większa (do 5300 strzałów). Przy wylocie lufy znajduje się **hak holowniczy**.

Kołyśka – część łoża działa, na której spoczywa lufa. Wykonuje ruch wahadłowy razem z lufą w płaszczyźnie pionowej oraz umożliwia przemieszczanie się jej w czasie odrzutu i powrotu. Kołyśka wchodzi w skład mechanizmu podniesieniowego (zespołu wahlowego).

Układ jezdny składa się z dwóch kół o aluminiowych felgach i pełnych (bezpowietrznych) oponach. Każde z nich ma niezależne hydrauliczno-pneumatyczne zawieszenie. Przy każdym kole umieszczona jest ręczna pompa hydrauliczna służąca do podnoszenia i opuszczania koła na stanowisku ogniowym.

Łoże dolne wyposażone jest w składane na czas transportu **stabilizatory**.

Lekkie i mobilne

Haubica M777 może być holowana przez pojazdy o napędzie 4x4 i masie powyżej 2,5 t wyposażone w pneumatyczny układ hamulcowy. Do transportu drogą powietrzną można użyć śmigłowców średnich, np. UH-60A Black Hawk. Działa nadają się również do przenoszenia za pomocą poduszkowców desantowych.



ŹRÓDŁO: DEFENCE24.PL, DEAGEL.COM, WIKIPEDIA

Celownik optyczno-mechaniczny

KOŁYSKA

ŁOŻE GÓRNE

ŁOŻE DOLNE

Łoże górne posiada mechanizm zębaty pozwalający obracać haubicę w poziomie oraz mechanizm śrubowy z dwoma korbami do zmiany kąta nachylenia lufy w pionie.

Rozkładane ogony zakończono samookopującymi się **lemieszami**.

Haubica w ulepszonej wersji M777A2 jest wyposażona w **cyfrowy system kierowania ogniem** (DFCS), w skład którego wchodzi komputer misji z wyświetlaczami i komunikacją cyfrową oraz podwójny system nawigacji inercyjnej i satelitarnej (GPS) umożliwiający samodzielną lokalizację celu przez pocisk. System zapewnia możliwość programowania i strzelania amunicją precyzyjną Excalibur. Ta wersja haubicy posiada dodatkowe źródło zasilania.

Wit Szostak Szczelinami

założenie jest czysto powieściowe: spisać życie – autoportret poetki lecz zrobić to z założenia za pomocą form **niepowieściowych** krótkich i pełnych przemilczeń **a potem czytelnika** zaprosić do niezwyklej gry w sklejanie życia narratorki z okrucichów

jej najintymniejszych doświadczeń: dojrzewania, miłości i rozstań rozczarowań i macierzyństwa trudnych relacji rodzinnych długiego cienia przeszłości **losu** kobiety w świecie rządzonego przez mężczyzn

zmysłowa i cielesna niedopowiedziana i bezkompromisowa nieoczywista i prawdziwa

ta książka jest jak kobieta

Premiera powieści 20 maja.
Rabat 25%
z kodem: szczelinami25 na **powergraph.pl**



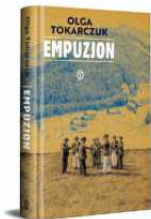
Zdaniem Szota



FOT. ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

LUSTRO W POSZUKIWANIU

Mój obraz podstawowy – ja sama, dorastająca, 13-, 14-letnia dziewczynka, która stoi przed biblioteką rodziców i sięga po kolejne dzieła literatury klasycznej. Aż dokonuje smutnego odkrycia – nie ma tu dla niej niczego, w czym mogłaby się przejrzeć lub odbić jako dorastająca kobieta.



„Empuzjon”
Olgi Tokarczuk
(Wydawnictwo
Literackie)
w księgarniach
już 1 czerwca



Z **OLGĄ TOKARCZUK**, PISARKĄ, LAUREATKĄ NAGRODY NOBLA W DZIEDZINIE LITERATURY ZA ROK 2018, ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Ukazujący się właśnie „Empuzjon. Horror przyrodoleczniczy” to twoja pierwsza powieść od czasu „Ksiąg Jakubowych”, za które otrzymałaś Nike, nominację do Międzynarodowego Bookera i o których w laudacji noblowskiej członek Akademii Szwedzkiej Per Wätsberg mówił, że to „tysiącstronnicowy cud”, do którego „następne pokolenia będą wracać”, by „odkrywać bogactwo, z którego dziś ledwo zdajemy sobie sprawę”. Jakie uczucia towarzyszą ci w związku z premierą najnowszej książki, tak bardzo oczekiwanej przez czytelników?
– Mieszane. Jest wojna. Większość tematów i idei, które mnie inspirowały, które mnie zajmowały, zniknęły teraz gdzieś na dalszym planie. Przeszliśmy mentalnie w tryb wojenny. Inaczej się myśli, bardziej czarno-biało, bardziej konkretnie. Niezbyt dobrze się z tym czuję, przeżywam każdą informację z Ukrainy. Do tego dochodzi lęk, czasami wręcz paraliżujący, bo towarzyszy mu niedowierzanie połączone z przerażeniem. Często mam poczucie winy, że nie potrafimy tej przemocy zatrzymać... A tu proszę – nowa książka „naszej kochanej noblistki”. Są to więc uczucia bardzo ambiwalentne, ale fakt jest taki, iż ogromnie się cieszę, że wróciłam do dawnego rytmu pisania.

Gdybym musiała jednak nazwać jakoś ten rodzaj przedpremierowych emocji, to z pewnością jest to bardziej spokojna ekscytacja niż napięcie. Lubię tę książkę.

Jasne, że pomogła mi pandemia. Dzięki niej mogłam wrócić do dawnego stylu pracy, w spokoju, w skupieniu. Świat się zatrzymał, ustały na długi czas międzynarodowe kontakty, wirus zmusił mnie – podobnie jak wielu z nas – do odwołania zaplanowanych wyjazdów i spotkań. I dało to – przy całym okrucieństwie sytuacji, której doświadczyliśmy – konkretne efekty. Stara dobra prawda – chcesz być pisarką, siedź na tyłku.

Pomysł na tę powieść przyszedł ci do głowy w czasie blisko dwuletniego zamknięcia?

– Nie, to jednak jest dłuższa historia. Gdyby dobrze poszukać, początek tej książki znaleźć można w magazynie „Odra”, bodaj w jednym z numerów z 2008 roku, czyli sprzed prawie 15 lat – jeszcze nie tylko przed „Księgami Jakubowymi”, ale nawet „Prowadź swój plug...”. Kiedy publikowałam fragment tego, co ostatecznie okazało się być napisanym po latach „Empuzjonem”, byłam przekonana, że całość ukaże się nawet przed opowieścią o Jakubie Franku, nad którą już wtedy pracowałam. Potem jednak wciągnął mnie wir historii, całkowicie skupiłam się na pracy nad „Księgami”, którą na dłuższą chwilę i tak zarzuciłam, bo zawiadnęła mną Janina Duszejko. Taka to pokrętna chronologia.

Dobry horror to taki, który daje poczucie niewygody egzystencjalnej budzącej czasami lęk, a czasami zostawiającej nas z refleksją, że świat jest dużo bardziej skomplikowany, niż się nam wydaje. No i działa leczniczo – ponieważ horrory mierzą się z tym, co wyparte i nieuświadomione. Są darmowym seansem psychoanalitycznym.

Wszystko wyjaśniło się w ciągu dwóch ostatnich lat. Sporo zmieniłam, dlatego nie umiem już dziś powiedzieć, czy to stara, czy może jednak zupełnie nowa książka. Wierzę głęboko w to, że przychodzą nam do głowy idee, które domagają się wyrażenia, ale potrzebują czasu, dojrzałości – w tym przypadku mojej własnej – by ubrać je w odpowiednie słowa. „Empuzjon”, powstając długo, dopełniał się przeróżnymi sensami, które dopiero teraz wybrzmiewają w tekście jak należy.

Mówisz: „Miałam zamiar napisać horror”. „Księgi Jakubowe” były wielką epopeją. „Prowadź swój plug przez kości umarłych” lubisz sama nazywać opowieścią kryminalną, teraz oferujesz czytelnikom jeszcze inną historię. Lubisz tę podróż między gatunkami i konwencjami?

– Isaiah Berlin wymyślił kiedyś, trochę w ramach żartu, który z czasem przerodził się – zapewne niezgodnie z jego intencjami – w koncepcję wykorzystywaną przez teorie managementu, że ludzie dzielą się na jeże i lisy ze względu na to, jak organizują informację. Jestem lisem w wersji ultra. Pracuję i myślę w taki sposób, by spróbować skomponować, zszyć, tetyzować różne punkty widzenia, łączyć je ze sobą, szukam relacji, odpowiedniości, „korespondencji”, jak to się kiedyś mówiło. Szybko się nudzę, jestem niecierpliwa. Jestem więc całkowitym przeciwieństwem jeża, który – zgodnie z tym, co twierdził Isaiah Berlin – zatrzymuje się na jakiejś teorii, zgłębia ją, utrwała, spokojnie rozwija, czeluje i doskonali.

Ta metafora, którą zawdzięczamy brytyjskiemu filozofowi, pasuje też chyba dobrze do świata literatury. Są pisarze, którzy nieustannie piszą taką samą książkę, prawda? Coraz doskonalszą, coraz precyzyjniej wyrażającą to, co chcą powiedzieć. Zwykle czytelnik wie, czego może się po nich spodziewać. Ja zaś na prawdę nie wiem, co uda mi się stworzyć następnym razem. Nie mam planu. Taki moment samozaskoczenia jest niesamowicie energetyczny, bo w ten sposób pisanie staje się rodzajem zabawy i wyzwania. Dokąd mnie to wszystko zaprowadzi? Jak to się skończy?

Zabawa z konwencjami jest koniecznością naszych płynnych czasów, które kwestionują wszelkie zastane formy. Przerabiałam to przy „Plugu”.

Skoro wspominasz o zabawie: „Empuzjon” to w jednej ze swoich warstw literacka gra z „Czarodziejską górą” Tomasza Manna, monumentalną powieścią przez wielu uznawaną za arcydzieło światowej literatury. Skąd ten pomysł?

– Myślę, że każda moja książka bierze się z czegoś,

Czasem naprawdę długo przychodzi mi czekać na moment, w którym usłyszę głos narratora

co nazywam obrazem podstawowym, skłaniającym do myślenia, a następnie do budowania fabuły. W przypadku nowej powieści była nim refleksja związana z „Czarodziejską górą” właśnie – bo przecież można „Empuzjon” traktować jako ironiczną parafrazę dzieła niemieckiego noblisty.

Jego – rozgrywająca się w szwajcarskim Davos – powieść była dla mojego pokolenia bardzo znacząca, traktowano ją w sposób nieomal inicjacyjny, jako wstęp, zaproszenie do prawdziwej, kulturotwórczej, istotnej literatury. Nie wiem, czy nadal tak jest. Dla mnie z pewnością „Czarodziejska góra” okazała się książką niezwykle ważną, czytałam ją wiele razy i za każdym razem dostrzegałam w niej inne rzeczy. To cicha arcydzieł literackich – przy okazji kolejnej lektury otwierają przed czytelnikiem nowe światy. A to, co było w niej konkretne, stanowiło jednocześnie przestrożę przed nadciągającym złem, było próbą projektowania tego, co się może wydarzyć, grą z przyszłością.

Mój obraz podstawowy – ja sama, dorastająca, 13-, 14-letnia dziewczynka, która stoi przed biblioteką



rodziców i sięga po kolejne dzieła literatury klasycznej. Wcześniej zdążyła ułożyć sobie w głowie porządek ich poznawania i konsekwentnie realizuje plan. Aż w końcu dokonuje smutnego odkrycia – otóż okazuje się, że w tej klasyce, którą czyta, w kanonie, który świat uznał za zbiór dzieł najwybitniejszych, nie ma dla niej żadnych luster, niczego, w czym mogłaby się przejrzeć lub odbić jako dorastająca kobieta. Że to świat, cywilizacja wyłącznie ojców, mężczyzn, w której kobiety występują zwykle w rolach społecznych nadanych im przez patriarchat. Kobiety pojawiają się jako smugi, etykiety, role. Ta trudność identyfikacji młodej czytelniczki – mnie samej – z postaciami i z tematami wielkiej literatury wtedy była jeszcze nie do końca uświadomiona. No i takich dziewczynek jak ja było mnóstwo.

U Manna w „Czarodziejskiej górze” właściwie nie ma kobiet, jego świat jest światem męskim, w którym głos mają tylko mężczyźni. Madame Chauchat jest w istocie memem, nie postacią. Podobnie jak kucharki czy kelnerki. Oś świata wyznaczają dyskursywni panowie, którzy próbują objąć intelektualnie świat, który chyli się ku upadkowi i za chwilę przestanie istnieć.

To był właśnie w przypadku „Empuzjonu” ten obraz podstawowy – nastoletnia ja sięgająca po „Czarodziejską górę” w rodzinnym domu. Literatura jako świat bez kobiet, w którym paradoksalnie trzeba sobie znaleźć miejsce.

I dlatego postanowiłaś...

– ...trochę w „Czarodziejskiej górze” pogrzebać. Z miłością, bez złośliwości. Ta myśl dawała mi zresztą odrobinę – przewrotnej, ale jednak – satysfakcji. Ona mnie bardzo długo podczas pisania „Empuzjonu” niosła.

Był też impuls do rozwiązania pewnej zagadki. W „Czarodziejskiej górze”, właściwie chyba tylko jeden raz, pojawia się postać kobieca o imieniu Emerencja – w scenie z tym nieszczęsnym Peeperkornem. To garbata kelnerka z kurhausu, traktowana przez wszystkich z politowaniem, pogardą lub zdziwieniem. Jak każda z kobiet w tej książce jest właściwie bez znaczenia, na usługach mężczyzn, przezroczysta. Ale to imię nie dawało mi spokoju i w końcu zaczęłam sprawdzać, szukać – dlaczego właśnie Emerencja? Wreszcie znalazłam – tak miała na imię prababka Jezusa Chrystusa, matka Anny, babka Maryi, postać raczej zapomniana w świecie mitologii chrześcijańskiej. Można ją znaleźć na obrazach przedstawiających przede wszystkim świętą Annę Samotrzecią w towarzystwie córki i jej syna, stojącą z tyłu, rozpościerającą płaszcz nad córką, wnuczką i prawnukiem. Tak też pojawia się na prawosławnych ikonach. Być może to pozostałość po najstarszych formach boginicznych, pewnie została zaczerpnięta z wierzeń pogańskich. Chroni dwie kobiety, które są naczyniami, z których i w których przychodzi na świat Zbawiciel. Zwykle reszta przedstawiana jest nadzwyczaj ciekawie – ma ciemną, pomarszczoną twarz, nieco przerażającą. Nie jest postacią ani piękną, ani wzniosłą, być może dlatego tak rzadką w chrześcijańskiej ikonografii. Ten trop wydaje mi się fascynujący. Czy Mann to zrobił świadomie, czy celowo wybrał to imię starej bogini dla kelnerki-karlicy, która w przerażeniu serwuje wódkę okropnemu, bełkotliwemu Peeperkornowi? Czy musiał w ten sposób zderzyć to, co kobiece, z tym, co patriarchalne? A może to wyłącznie przypadek, dziwny zbieg okoliczności? A może między wierszami tekstu przeciekły któreś treści archetypowe, które zbudowały tak dziwaczne sceny?

Odkrycie Emerencji było kluczowe dla powstania „Empuzjonu”, nawet jeśli ona sama zajmuje w niej niewiele miejsca.

Widnieje na ikonie w cerkwi. Pielgrzymują do niej kuracjusze.

– Po to, by zobaczyć coś dziwnego. By był to jeszcze jeden temat do dyskusji – niekończących się, do niczego nieprowadzących, pozbawionych jakiegokolwiek rezultatu, finalnie produkujących sensory, które po prostu wspierają wszechobecny patriarchalizm.

Długo szukałaś własnego Davos, w którym mogłabyś umieścić akcję „Empuzjonu”?

– Nasze dolnośląskie Sokolowsko – dawniej Görbersdorf – było pierwszym na mapie świata miejscem, gdzie wprowadzono w życie ideę leczenia gruźlicy powietrzem, przyrodą. Czyli w sposób przyrodoleczniczy. Bardzo lubię to piękne, dziś mocno już zapomniane słowo kojarzące się z czasami wczasów FWP.

Do Görbersdorfu, do doktora Brehmera, pod koniec XIX wieku przyjeżdżały z budowanego właśnie Davos całe wycieczki, żeby pobierać nauki na temat leczenia przyszłych kuracjuszy opracowaną przez

niego metodą klimatyczno-dietetyczną. Spotykała się tutaj cała Europa Środkowa. Chętnymi gośćmi byli nawet Szwedzi.

Dziwi mnie zresztą, że do dziś nie powstała porządna naukowa monografia poświęcona Sokołowski, z której dowiedzielibyśmy się, jak dokładnie wyglądało to miasteczko, kto się tam leczył, jak przeprowadzano zabiegi. Zadowalamy się dziś często cieniami dawnego świata.

Nie umiem nawet zliczyć moich własnych wizyt w dawnym Görbersdorfie, było ich tak wiele; podobnie zresztą jak rozmów, jakie odbyłam na temat sanatorium. Pomogli mi bardzo Jerzy Marek, który podzielił się ze mną swoimi zbiorami dotyczącymi Sokołowska, i Ula Ososko, która przełożyła wiele dokumentów z języka niemieckiego. Staralam się nie przeładować książki informacjami, które udało mi się dzięki tej dwójce uzyskać, tyle fascynujących rzeczy mieli mi do przekazania. Wyciągnęłam więc do „Empuzjonu” jedynie drobnostki, niewielkie rzeczy, które pozwoliły mi zbudować atmosferę tego miejsca, jak mogło ono wyglądać jesienią 1913 roku, gdy toczy się akcja powieści.

I w tych okolicznościach kazałaś spotkać się w Görbersdorfie... chorym na gruźlicę mężczyznom, którzy zamieszkali w Pensjonacie dla Panów prowadzonym przez Wilhelma Opitza, bo zabrakło dla nich miejsca w kurhausie, i w chwilach wolnych od zabiegów prowadziła dyskusje. Wśród nich, w przepelnionym mizoginią świecie, próbuje się odnaleźć główny bohater „Empuzjonu” Mieczysław Wojnicz, student inżynierii wodno-kanalizacyjnej ze Lwowa.

– Okazało się, że do dolnośląskiego Davos przyjeżdżało bardzo wielu Polaków. Chciałam, by w powieści ważną rolę odgrywał wątek kulturowo polski, by bohaterem przewodnim był ktoś, kto łączyłby oba te światy. Pasowało mi to do koncepcji książki, bo pozwoliło odtworzyć tygiel sprzed ponad 100 lat. Każda z postaci, która trafia do Pensjonatu dla Panów, jest skądinąd – Longin Lukas to katolik z Królewca, August August to socjalista z Pragi, Walter Frommer to teozof z Breslau, Thilo von Hahn to student pejzażu z Berlina. Ich tożsamości są zupełnie pozanarodowe – są wymieszani, z różnych kręgów, wyznają różne religie.

Jest w „Empuzjonie” nieco nostalgii za tamtym światem, przecież oni toczą dysputy jeszcze za rządów Franciszka Józefa I, jeszcze Gavrilo Princip nie strzelił w Sarajewie do Franciszka Ferdynanda i jego żony, jeszcze nikt na poważnie nie myśli o Wielkiej Wojnie. A stary i, jak mawiają, pocziwy Fran-



FOT. ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dobry horror jest darmowym seansem psychoanalitycznym – mierzy się z tym, co wyparte i nieuświadomione

ciszek uważał, że istnieją nie narody, lecz ludy, a on czuł się ojcem ich wszystkich, dał im poczucie zjednoczenia. Cudownie patriarchalna idea. Wymyślona przez Habsburgów idea Europy Środkowej funkcjonowała bardzo długo i zapewne był w niej nie mały sens. Wiadomo, że część Polaków, tych z Galicji, czuła się w niej całkiem znośnie, a wielu naprawdę dobrze. Przykładem może być choćby ojciec mojego powieściowego Wojnicza, który jest zwolennikiem wieloludowej wspólnoty, ale jednocześnie robi wszystko, by jego syn nie utracił świadomości własnej polskości.

Mieczysław, po przybyciu na leczenie do Görbersdorfu, bardzo szybko się orientuje, że Pensjonat dla Panów, w którym musi przebywać – bo nie stać go na lepsze warunki – to prawdziwie demoniczne miejsce. Duszne, przepelnione mizoginiczną atmosferą, w którym pogardza się kobietami.

– Właśnie, nie jest tu tak jak w „Czarodziejskiej górze”, gdzie wszyscy mieszkają w eleganckim, drogim kurorcie. Görbersdorf – mimo że starszy – wydaje się dalekim ubogim krewnym Davos. Kwestie finansowe

są tutaj także ważne. Zawsze zresztą zastanawiałam się, jak to w ogóle możliwe, by Hans Castorp mógł spędzić w tak luksusowym miejscu jak Davos aż siedem lat. To musiało kosztować majątek! Ilu obywateli ówczesnej Europy mogło pozwolić sobie na coś takiego? Wojnicz i inni bohaterowie „Empuzjonu” na pewno nie. Większość z nich nieustannie liczy pieniądze i ma nadzieję, że już na Boże Narodzenie będzie w domu – zwyczajnie nie stać ich na dalsze leczenie. Pensjonat dla Panów wydaje mi się krzywym zwierciadłem dla niezwykle wytwornego kurhausu w Davos opisanego przez Manna. Jest spuszczeniem powietrza z mieszczańskiego zadęcia i zwróceniem uwagi na klasowość prowadzonej wówczas terapii.

Mało kogo było stać na korzystanie z pełni udogodnień proponowanych przez zakład w Görbersdorfie, sanatorium było miejscem bardzo ekskluzywnym. I przyznam, że nie do końca wiem, jak się w tej sytuacji odnajdywał sam jego twórca, czyli doktor Brehmer, bo odkryłam, że z przekonania był w zasadzie socjalistą, żeby nie powiedzieć: komunistą. Jeździł na seminaria prowadzone przez Karola Marksa do Londynu, zależało mu na tym, by leczyć na gruźlicę także osoby bardzo biedne.

Czyli przedsiębiorca, filantrop i komunista w jednym.

– Istniał tu cały system tanich kwater dla niższych klas, ale wydaje się, że jedyne, co w takim uzdrowisku mogło być naprawdę tanie, to powietrze.

Klienci Opitza przy stole podczas kolacji, w czasie górskich wycieczek, spacerując po uzdrowisku, prowadzą długie rozmowy. Dyskutują o świecie i w zasadzie w całkowitej zgodzie ze sobą deprecjonują rolę i znaczenie kobiet w społeczeństwie. Odzierają je z godności, są przekąźnikami idei głoszonych przez religie i system patriarchy. Chwilami aż trudno uwierzyć w to, co wygadują.

– Ten zapis mizoginii jest, niestety, całkowicie uwiarygodniony. Te teksty funkcjonowały wtedy w dyskursie publicznym, w kulturze. Niektóre zachowały się do dzisiaj. Niczego nie zmyśliłam. Raczej nie zdajemy sobie sprawy, do jakiego stopnia nasza kultura jest przesiąknięta mizoginią.

Burroughs, Conrad, Freud, Kerouac, Pound, Shakespeare, Strinberg, Yeats i wielu, wielu innych...

– Nie wydaje mi się, bym wykazała się jakąkolwiek zjadliwością. Przypomniałam jedynie to, co pojawiało się w przestrzeni publicznej 100 i więcej lat temu.

Bardzo mi zależało podczas pracy nad „Empuzjonem”, by pokazać, jak wszystko to, co ma ścisły związek z mizoginią i trwa praktycznie od początku istnienia naszej cywilizacji, było i jest – przyszło mi do głowy akurat takie słowo – zwaporyzowane. Obecne wszędzie, w małych częsteczkach, rozbite tak, że trudno się czeplić czegoś konkretnego; zawsze przecież ktoś może powiedzieć, że jedynie żartował.

Właściwie nie wiadomo, skąd się wzięła mizoginia. Antropologowie odnajdują ją prawie we wszystkich kulturach. Jest sporo wyjaśnień – głównie psychoanalitycznych – od lęku przed mocą rodzenia kobiet aż po bizarne teorie zapachu – że zapach menstruującej matki jest dla małego dziecka zagrożeniem jej następnej ciąży. Badania społeczeństw pierwotnych napotykają na różne jej przejawy. Nie istnieje też symetria – trudno znaleźć społeczeństwa mizoandryczne. Gdyby ktoś szukał symetrycznej mizoandrii, nie znajdzie jej w postaci jakiegos systemu.

Przykład często idzie z samej góry. Donald Trump poniżał kobiety publicznie, na oczach całego świata, że przypomnę pierwszy z brzegu przykład.

– To prawda. Jednocześnie przejawy mizoginii są już dzisiaj wstydlive, nikt o zdrowych zmysłach do niej się nie przyzna. Mizoginia jest czymś, co zaledwie może się komuś wymknąć. I za co musi potem przeproszać. Ale jeszcze dekadę temu nasłuchiwałabym się pewnie jak przy okazji wydania „E.E.”. Cóż to był za wysyp mizoginii, jakież ogromne niebezpieczeństwo ze strony nadciągającego feminizmu dostrzegali niektórzy krytycy.

Nie ma już sensu cofać się do lat 90. i znęcać się nad tymi osobami. Ale wciąż pobrzmiwa mi tytuł jakiegoś artykułu, który recenzując książki koleżanek z mojego pokolenia, wołał niby ironicznie, ale w gruncie rzeczy patetycznie: „Ludzie, chowajcie się, nadchodzą baby!”. Wszystkie chwytły deprecjonujące, pomniejszające, ośmieszające były wówczas całkowicie dozwolone.

W „Empuzjonie” sięgasz też po inne – poza powstaniem i funkcjonowaniem uzdrowiska w Görbersdorfie – historie z Dolnego Śląska. Ważną rolę odgrywają w powieści – nie po raz pierwszy zresztą w twojej prozie – siły natury, wszystko to, co związane z tradycją i ludowymi wierzeniami.

– Właściwie nie ma chyba na Ziemi miejsca, w którym nie pobrzmiwałyby jakieś opowieści o czarownikach, wiedźmach. Kiedy pogrzebie się w dokumentach, można je znaleźć wszędzie, także tutaj, na Dolnym Śląsku. Są to jednak najczęściej historie rozproszone, nieciągłe, niejasne; wciąż trudno je traktować jako wydarzenia historyczne. Ofiary są wprawdzie najczęściej anonimowe, ale nawet jeśli mają jakieś nazwiska, to się ich zwyczajnie nie pamięta. To taka wyparta, zepchnięta między bajki historia ludzkości. Nie chodzi mi o sakralizowanie ofiar, ale raczej o to, czy możemy wyjść poza zaklęty krąg przemocy, która ciągle się odnawia. Wraca do starych form, do najprostszych podziałów: oni – my, kobiety – mężczyźni, czarni – biali, słabsi – silniejsi.

Ta przemoc jest ufundowana na patriarchalnej wizji świata, w której panuje siła, a władza jest oparta na przemocy. Przez ostatnie lata wiele o tym się mówiło i próbowało zmieniać, ucząc takich wartości jak równość, praworządność, tolerancja, dialog i róż-

norodność. Próbowaliśmy wydobyć się z opresji biało-czarnego świata męskiego heroizmu, w którym każdy, kto nie myśli tak jak ja, jest wrogiem. Wroga się zwyczajnie depersonalizuje. Zdaje się, że i ta wojna, która właśnie trwa i która nas wszystkich przeraża i oburza, cofnęła nas w historii. Być może znaleźliśmy się właśnie gdzieś mniej więcej w 1913 roku. I teraz trzeba wszystko zaczynać od początku. Brrrr....

Dla wielu czytelników zagadką jest już sam tytuł powieści. „Empuzjon” – co to właściwie znaczy? – Empuzjon byłby umieszczoną w diametralnie innym kontekście odmianą sympozjonu – czyli swego rodzaju ucztą, dobrze znaną starożytnym Grekom, której biesiadnikami byli wyłącznie mężczyźni z wyższej klasy społecznej. Znamy to pojęcie głównie z Platona. Na sympozjonie spotykali się filozofowie. Obsługiwali ich młodzi niewolnicy obojga płci. Zapraszano czasami hetery, kurtyzany, które zabawiały mężczyzn śpiewem i seksem. Wolne kobiety nie miały nań wstępu, ponieważ w starożytnej Grecji kobiety były odsunięte od wszelkiej działalności społecznej czy politycznej. Kobiety, jak wiadomo, nie filozofują. Empuzjon jest więc jakimś wariantem sympozjonu... nazwa pochodzi od empuz.

Czyli, posiłkując się grecką mitologią, bogiń strachu, widm rodem z Hadesowego królestwa, bardziej współcześnie – żeńskich wampirów... – Coś w tym rodzaju.

Miałaś pokusę, by – mając wpływ na losy swoich zmyślonych bohaterów – choć w małym stopniu zemścić się na nich za wygłaszane poglądy, za stosunek do kobiet?

– Nie, naprawdę obca mi jest chęć zemsty. Polubiłam ich, a nawet w jakimś sensie zaczęłam rozumieć i to pomimo tych wszystkich okropnych rzeczy, które nakazałam im mówić. Wiem, że oni także są ofiarami – świata, w którym przyszło im żyć, rodzin, w których ich wychowano, tego, że wbijano im od rana do wieczora do głów, że muszą zrobić wszystko, by nigdy nie stracić władzy, bo to najważniejszy atrybut męskości. A przecież, gdy dokładnie się im przyjrzeć, większość z nich okazuje się nieudacznikami próbującymi utrzymać się na powierzchni i za wszelką cenę zachować dobre mniemanie o sobie. Do tego zresztą służy im to nieustanne gadanie, rozpychanie się „teoriami”, przez które w rzeczywistości niczego mądrego i trafnego nie są w stanie powiedzieć. To smutny, bezzębny bełkot, nic więcej.

Są co najmniej dwa rodzaje męskości – jest hegemoniczna męskość, taka, jaką dziś reprezentuje Putin, agresywna, dążąca do dominacji, niebezpieczna dla świata, i ta nowa, świadoma tych wszystkich kulturowych konstrukcji, nie autorytarna, lecz współpracująca – której może (mam przynajmniej taką nadzieję) jest dziś przedstawicielem prezydent Zeleński. Trudno nie nawiązać do tego, co dzisiaj dzieje się ze światem.

A jednak twój główny bohater, student ze Lwowa Wojnicz, opiera się wszelkim schematom i stereotypom. Choć ułokowany w Pensjonacie dla Panów, skazany na męski świat, nie do końca do niego pasuje. Nie tylko mentalnie. – Mieczysław wymyka się ze struktur, na których osadzona jest otaczająca go rzeczywistość. Szybciej niż inni – bo i boleśnie tego doświadcza – orientuje się, że świat jest w rzeczywistości tworem mocno rozchwianym, w którym tożsamość jest kwestią otwartą. Ale lęk, który mu towarzyszy przy okazji tego odkrycia, jest doskonale znany również osobom całkowicie nam współczesnym, często osamotnionym i błądzącym – jak Wojnicz w görberdorfskiej mgłę – w poszukiwaniu najlepszego wyjścia, miejsca dla własnego ja. To być może najtrudniejsze z pytań, jakie sami możemy sobie zadać: Na ile jesteśmy tym, czym inni nam powiedzieli, że jesteśmy, a na ile tym, czym sami odczuwamy? Pod tym względem „Empuzjon” jest, mimo że nawiązuje do klasyki, powieścią absolutnie współczesną. To w zasadzie Bildungsroman, bo opowiada o procesie nabywania przez głównego bohatera świadomości, kim naprawdę jest i co może z tym zrobić.

Jest też, nie po raz pierwszy w przypadku twojej prozy, eksperymentem. Historię Wojnicza, innych pensjonariuszy gruzlików, Görbersdorfu, Emerencji, czarownic opowiada narrator zbiorowy. Skąd ten pomysł? – Czasem naprawdę długo przychodzi mi czekać na moment, w którym usłyszę głos narratora. To ten głos musi zacząć snuć historię. Czyli wiem już, kto, gdzie, z kim i w jaki sposób, co będzie potem, gdzie przyczyna, a gdzie skutek, ale nie wiem, kto dokładnie będzie opowiadał. Kwestia miejsca, z którego wydobywa się głos, jest dla mnie zawsze najważniejsza. I tak było też w przypadku „Empuzjonu”, jeszcze podczas pierwszej sceny rozgrywającej się na dworcu kolejowym nie miałam pewności, kto dokładnie opowiada. Narrator „Empuzjonu” jest absolutnie ekscentryczny. Świetnie mi się nim pisało.

Masz poczucie, że udało ci się już – po Noblu, który Wisława Szymborska nazywała „tragedią sztokholmską”, i po pandemii, która zatrzymała świat, a ciebie w domu na blisko dwa lata – odzyskać kontrolę nad własnym życiem i pisaniem?

– Mam nadzieję, że tak. Ta książka udowodniła mi, że potrafię wrócić do reżimu pisania, że sprawia mi to wciąż przyjemność. Choć równocześnie po raz kolejny uzmysłowiłam sobie, że może być ono bardzo męczącym procesem. Jak to dobrze określić? Brakuje nam w języku słowa, które łączyłoby w sobie przekleństwo i błogosławieństwo. Pisanie powieści jednak bardzo oddziela od świata. Wszyscy dookoła zajmują się jakimś życiem, coś robią, gdzieś chodzą, a mnie przychodzi siedzieć w skupieniu, odłączeniu od rzeczywistości. To potrafi pochłaniać ogromną ilość energii.

Masz poczucie, że udało ci się już – po Noblu, który Wisława Szymborska nazywała „tragedią sztokholmską”, i po pandemii, która zatrzymała świat, a ciebie w domu na blisko dwa lata – odzyskać kontrolę nad własnym życiem i pisaniem?

– Mam nadzieję, że tak. Ta książka udowodniła mi, że potrafię wrócić do reżimu pisania, że sprawia mi to wciąż przyjemność. Choć równocześnie po raz kolejny uzmysłowiłam sobie, że może być ono bardzo męczącym procesem. Jak to dobrze określić? Brakuje nam w języku słowa, które łączyłoby w sobie przekleństwo i błogosławieństwo. Pisanie powieści jednak bardzo oddziela od świata. Wszyscy dookoła zajmują się jakimś życiem, coś robią, gdzieś chodzą, a mnie przychodzi siedzieć w skupieniu, odłączeniu od rzeczywistości. To potrafi pochłaniać ogromną ilość energii.

Jestem trochę zmęczona i patrzę z podziwem na pana Wiesława Myślińskiego, który wciąż ma tak wiele sił twórczych, wciąż, przez dziewięć dekad, jest aktywny i zaangażowany. A ja powoli dochodzę do wniosku, że będę angażować się jedynie w to, do czego będę absolutnie przekonana.

A co byś dziś, po napisaniu „Empuzjonu”, powiedziała, gdybyś mogła stanąć obok tamtej Olgi, nastoletniej, patrzącej na bibliotekę rodziców i zdejmującej z półki „Czarodziejską górę” Tomasa Manna?

– Obawiam się, że coś nieeleganckiego... Powiedziałabym, myśląc o tych wszystkich mizoginach, którzy od wieków próbowali wmawiać kobietom, jakie są i jak mają żyć: „Spadajcie na drzewo!”. ●

WIERSZ POLECA
ANDRZEJ ZAGOZDA

Antoni Pawlak*

Zrobimy to

*to będzie pogodny dzień albo to będzie
dzień skąpany w deszczu – nieważne –
to będzie dzień w którym skończysz się
nasza cierpliwość i wyjdziemy na ulice
skończyły się żarty – powiemy
nie ma już miejsca na pieśczoły – powiemy
nie tym razem – powiemy*

*staniemy twarzą w twarz z kordonami
policji z odebranych im palek ułożymy
stos ofiarny a gdy wystrzelą pierwsze
płomienie krążyć nad nim będą
oszalale ptaki w niebo wzbije się
nierówny puls dzwonów a my korytami ulic
pójdziemy przed siebie zmiatając
wszystko po drodze
przeganiając was z gabinetów
biur
sal obrad
i kościołów*

*a potem
jak zawsze po ciężkiej pracy
usiądziemy wyciągniemy
papierosy i zapytamy; właściwie
dlaczego nie zrobiliśmy tego wcześniej*



***Antoni Pawlak** – ur. w 1952 r., poeta, publicysta. W latach 1989–93 dziennikarz „Wyborczej”, 2007–17 – rzecznik prasowy prezydenta Gdańska. W PRL-u działacz opozycji demokratycznej, m.in. współpracownik KOR-u i członek redakcji kwartalnika „Puls”

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

2021

Spotkanie w Klubie „Wyborczej”

CZWARTEK, 26 maja, godz. 20

Premiera książki
„Nigdy nie odpuszczę”

Spotkanie poprowadzi Bartosz T. Wieliński

Dołącz do Klubu „Wyborczej” na [Wyborcza.pl/prenumerata](https://wyborcza.pl/prenumerata)

Obejrzyj na:  wyborcza.pl



Adam Bodnar

Mariusz Swarczak/Agencja Wyborcza.pl

NASZA EUROPA

Dlaczego dla Putina użycie broni jądrowej może mieć sens?

SZYKUJMY SIĘ NA
SCENARIUSZ KOREAŃSKI

Ludzie w UE będą coraz mniej uważnie śledzić losy wojny w Ukrainie, a presja opinii publicznej na polityków zmniejszy się. Rosja wykorzysta ten efekt zmęczenia i będzie dużo mówić o pokoju i o tym, że to Ukraina nie chce negocjować – uważa Ivan Krastev.

FOT. ALEXEJ NIKOLSKY/AP



Tobias Kaiser

WELT

Bulgarski politolog Ivan Krastev, szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii i wykładowca w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu, jeden z najprężniejszych obserwatorów polityki europejskiej, należy do analityków, którzy mają taką pewność siebie, że pozwalają sobie na traktowanie siebie nieprzesadnie poważnie. Od chwili wybuchu wojny w Ukrainie jest w różnych światowych mediach przedstawiany jako ekspert od Putina – między innymi dlatego, że kiedyś jadł kolację z szefem Kremla. „Inni ludzie muszą płacić za swój obiad, ja mogę zrobić na jednym darmowym obiedzie karierę” – śmieje się Krastev podczas rozmowy, którą przeprowadzamy podczas seminarium Global Europe w Salzburgu.

...

Wojna w Ukrainie trwa już prawie kwartał. Jak i kiedy może się skończyć?

IVAN KRASTEV: Nie spodziewam się szybkiego jej finału. I obawiam się, że skończy się to tak jak wojna koreańska. Dojdzie do zawieszenia broni, ale nie do pokoju.

Dlaczego?

– Ponieważ obu stronom trudno będzie dojść do porozumienia. Władimir Putin nie może po prostu wycofać swoich wojsk, to

oznaczałoby klęskę, na którą nie może sobie pozwolić. Bo jeśli Putin przegra wojnę, straci wszystko.

Widać to już po tym, jak bardzo stał się represyjny wobec własnej ludności. Putin zawsze był „wegetariańskim tyranem”, stosunkowo łagodnym autokratą. W ciągu ostatnich trzech miesięcy to się radykalnie zmieniło. Teraz ludzie w Rosji idą do więzienia, jeśli publicznie mówią, że są przeciwni wojnie. Dlatego właśnie elity emigrują, ponieważ widzą, że ich kraj się zmienia. Putin niszczy kraj i system, który sam stworzył, ponieważ przerażają go domniemane konsekwencje przegranej w wojnie ze zdeterminowanymi Ukraińcami. Walczy o zwycięstwo jak o życie.

Ale prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski też nie może pójść na ustępstwa.

– Otóż to. Ukraińcy masowo popierają Zełenskiego, ponieważ podkreśla on, że Ukraina nie pójdzie na żadne ustępstwa i nie odda Rosji ani skrawka swojego terytorium. To jest jego polityczna racja bytu. W takiej sytuacji obie strony mogą ogłosić zawieszenie broni, ale nikt nie może dojść do porozumienia w sprawie trwałego traktatu pokojowego, nawet jeśli negocjacje będą kontynuowane.

Jeśli wyklucza pan porozumienie pokojowe, to co to oznacza dla sankcji gospodarczych nałożonych przez Zachód na Rosję?

– Nie wyobrażam sobie, by zawieszenie broni wystarczyło, by Zachód zniósł sankcje. Do tego potrzebny jest trwały pokój. Przynajmniej dotyczy to sankcji amerykańskich. Nie należy zapominać, że sankcje w znacznie mniejszym stopniu szkodzą Ameryce

niż nam, Europejczykom. Wyobrażam sobie, że aby sankcje Waszyngtonu wobec Rosji zostały zniesione, Zełenski musiałby osobiście wystąpić z taką prośbą do amerykańskiego Kongresu.

Czy dotyczy to również sankcji unijnych? Tutaj ludzie znacznie silniej odczuwają ich skutki, obecnie przede wszystkim z powodu gwałtownego wzrostu cen energii.

– W pewnym stopniu to, co się stanie z sankcjami, będzie zależało od Ukraińców i ich decyzji. Ale i tak jest za wcześnie, by o tym mówić. Konflikt ten będzie w tej ostrej postaci, niestety, trwał jeszcze przez jakiś czas.

Wielu ludzi w Niemczech obawia się, że Putin może użyć broni jądrowej, jeśli poniesie kolejne porażki na froncie.

– Zachód powinien obawiać się przede wszystkim dwóch rzeczy. Po pierwsze, oczywiście, tego że armii Putina uda się pokonać Ukraińców. Ale paradoksalnie również czegoś zgoła przeciwnego: że sprawy przybiorą dla Rosjan bardzo zły obrót.

Jest dla mnie oczywiste, że wtedy Putin byłby gotów przekroczyć pewne granice. Z punktu widzenia obecnej elity Kremla użycie taktycznej broni jądrowej w Ukrainie może mieć sens. Nie mówię tu o wojnie nuklearnej, która oznaczałaby koniec świata. Ale punktowy atak z użyciem broni jądrowej, aby pokazać, że Rosja jest gotowa przekroczyć każdą czerwoną linię w obronie swojego reżimu, jest możliwy. W tym konflikcie chodzi również o wysyłanie właśnie takich sygnałów. Kreml jest zdesperowany, by nie stracić swojego potencjału odstraszania „wrażego Zachodu”.

I naprawdę uważa pan, że Putin byłby do tego zdolny?

– Mogę tylko spekulować na ten temat. Wojskowi z pewnością potrafią to lepiej ocenić, zwłaszcza Amerykanie. Niewiarygodne, jak precyzyjne są ich analizy wojskowe w ostatnich miesiącach, niezależnie od zastrzeżeń, które moglibyśmy mieć co do ich oceny zdolności armii i narodu ukraińskiego, jeszcze zanim wybuchła wojna.

Jednak dla Amerykanów rozmowa o broni jądrowej jest również ryzykowna. Na Zachodzie, w demokracjach liberalnych, wojna toczy się także za pośrednictwem opinii publicznej. I są tam dwie strony, które stoją naprzeciw siebie: ci, którzy chcą pokoju za wszelką cenę, i ci, którzy chcą sprawiedliwości dla Ukrainy.

Ostatnio o pokoju zrobiło się głośniejsze, na przykład za sprawą wypowiedzi Alice Schwarzer. Znana publicystka i aktywistka feministyczna wyraziła ubolewanie, że „Zełenski nie przestaje prowokować Putina”, wcześniej opublikowała list otwarty do kanclerza Scholza z apelem o zaprzestanie dozbrajania Ukrainy, bo to może doprowadzić do eskalacji w kierunku wojny światowej. To z kolei spotkało się z kontrapelem, podpisanym m.in. przez noblistkę Hertę Müller czy prezesa niemieckiego PEN Center Deniza Yücela, według których ta wojna Ukrainy z najeźdźcą jest sprawiedliwa i należy Kijowowi bezwzględnie pomóc, także w naszym interesie.

– To dopiero początek. Debata na temat Ukrainy w Niemczech stanie się jeszcze bardziej gorąca. I nie tylko w Niemczech, dotyczy to całej Europy. Mieszkańcy krajów UE

NASZA EUROPA

Wydarzenie literackie roku we Francji

Odnalezione rękopisy Céline’a

Ta powieść zaginęła, gdy wielki pisarz, który okazał się także zapiekłym antysemitą, uciekł pod koniec wojny z Francji do nazistowskich Niemiec. Teraz wydawnictwo Gallimard ją publikuje, wzbudzając spreczne opinie.

Marc Bassets

EL PAÍS

Iakie rzeczy zdarzają się bardzo rzadko. To cud – kwituje krótko dziennik „Le Monde”. Zaginione rękopisy Louisa-Ferdinanda Céline’a (1894-1961), być może najbardziej błyskotliwego i zarazem odrażającego pisarza francuskiego XX wieku, ujrzały światło dzienne po prawie 80 latach, w czasie których uważano je za bezpowrotnie stracone. Gallimard publikuje właśnie pierwszy z tekstów wydobytych z tych rękopisów. To „Wojna”, surowa i wstrząsająca relacja z miesięcy, podczas których Céline został ranny we Flandrii na początku I wojny światowej. W ten sposób autor „Podróży do kresu nocy” stał się we Francji jeszcze raz literacką sensacją sezonu.

„Całe ucho po lewej stronie było zalane krwią, usta też. Pomiędzy nimi rozlegał się ogromny hałas. Zasnąłem w tym hałasie i wtedy spadł deszcz, gęsty deszcz” – takim zdaniem rozpoczyna się 150-stronicowy tekst napisany w 1934 r., dwadzieścia lat po wydarzeniach, które opisuje. „Od grudnia 1914 r. co noc zasypiałem w okropnym hałasie. Uwięziłem wojnę w mojej głowie”. Jest to opowieść o bólu głowy i zgiełku, który nigdy jej nie opuści. Oraz o jednej z ostatnich tajemnic współczesnej literatury francuskiej i o obsesji dotyczącej jej rozwiązania. „Nie wierzyłem już, że kiedykolwiek zobaczymy jeszcze te rękopisy” – przyznaje François Gibault, aktualny wykonawca testamentu Céline’a (wraz z Véronique Chovin).

Ta historia zaczyna się w czerwcu 1944 r. Alianci właśnie wylądowali w Normandii. Céline, twórca „Podróży do kresu nocy” uznanej za absolutnie nowatorski zapis egzystencjalnego horroru człowieka XX wieku, jest już także autorem wielu antysemitkich broszur i przyjacielem nazistowskich okupantów. Wraz z żoną Lucette i kotem Bébertem w pośpiechu opuścił swoje mieszkanie na Montmartrze i pociągiem udał się do Rzeszy. Zostawił w swoim pokoju tysiące zapisanych stron. Ktoś wykorzystał jego nieobecność i je szybko stamtąd zabrał. I Céline do końca życia będzie tego żałował – nigdy więcej nie zobaczył tych papierów.

Jest jeden główny podejrzany. François Gibault nie ma wątpliwości: „To był Oskar Rosembly” – mówi. Rosembly, Korsykanin o żydowskich korzeniach, był postacią wyjątkową: reporterem, w czasie wojny bojownikiem ruchu oporu. Po wyzwoleniu został jednak na krótko uwięziony – właśnie za ograbianie mieszkań kolaborantów. Jérôme Dupuis, dziennikarz, który w ubiegłym roku jako pierwszy napisał o odnalezieniu rękopisów, przytoczył „legendę”, według której Rosembly później stał się przez jakiś czas „guru w Kalifornii”, a życie zakończył na Korsyce, medytując boso w górach i kąpiąc się nago w strumieniu w swojej rodzinnej wiosce.

Sam Céline oskarżył Rosembly’ego, z którym utrzymywali stosunki w okupowanym Paryżu. Nic nigdy nie zostało udowodnione. O rękopisach też słuch zaginęła. Aż do czerwca 2020, kiedy to

Ta historia zaczyna się w czerwcu 1944 r. Alianci właśnie wylądowali w Normandii. Céline w pośpiechu opuścił swoje mieszkanie na Montmartrze i pociągiem udał się do Rzeszy. Zostawił w swoim pokoju tysiące zapisanych stron. Ktoś wykorzystał jego nieobecność i je szybko stamtąd zabrał. I Céline do końca życia będzie tego żałował – nigdy więcej nie zobaczył tych papierów

Jean-Pierre Thibaudat, reporter „Libération”, skontaktował się za pośrednictwem prawnika z wykonawcami testamentu pisarza. Wdowa po nim, Lucette, zmarła rok wcześniej. Thibaudat wyjaśnił, że jest w posiadaniu 5324 stron, które wyszły spod ręki Céline’a. Skarb. Pod koniec lat 80. „ktoś mu je dał”. Kto? „Nie mogę zdradzić, jestem zobowiązany do zachowania poufności” – tłumaczył dziennikarz. Nie wiadomo, czy był to potomek Rosembly’ego, czy ktoś zupełnie inny (co oczywiście otworzyłoby nowe tropy w tej zagadce).

Po krótkim sporze sądowym wykonawcy odzyskali rękopis. „Kiedy zobaczyłem te dokumenty, poczułem więcej niż satysfakcję, raczej wzruszenie. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co w nich jest, czy są literaturą, czy też należą do obsesyjnych rasistowskich pamfletów Céline’a” – wspomina Gibault.

Obecnie w siedzibie Gallimarda w Paryżu prezentowane są niektóre z tych odręcznie zapisanych stron. Można zapoznać się z fragmentami trzech znalezionych książek. Oprócz „Wojny” jest tam także „Londyn”, który opowiada o pobycie autora w brytyjskiej stolicy w ramach rekonwalescencji i który ma się ukazać w październiku, oraz „Testament króla Krogolda”, rodzaj średniowiecznej fantasy, którą Céline częściowo wykorzystał w powieści „Śmierć na kredyt” wydanej w 1936 r. Pismo (czarny atrament) jest dość czytelne, z adnotacjami i poprawkami naniesionymi ołówkiem.

„Wojna” jest powieścią bardzo Céline’owską, jeśli chodzi o dosadność języka, użycie slangu, brutalność scen i wulgarność tematów. „To w końcu są główne tematy Céline’a: wojna i śmierć” – podsumowuje pisarz Pierre Assouline. Z kolei zwięzłość tej powieści nie jest typowa dla Céline’a. Może dlatego, że odnaleziony tekst stanowi jedynie zarys większej całości, ale nie ma w nim owego nadmiaru i dygresji, które występują w innych książkach. „Jestem przekonany, że gdyby Céline miał czas lub możliwość powrotu do tego tekstu, to znając jego przemianę pod koniec życia, byłby on dłuższy i straciłby swój do dziś rewelacyjny charakter” – mówi Assouline. „Ta wada nieukończenia jest korzystna dla dzisiejszego czytelnika” – dodaje.

„Wojna” to esencja „firmy Céline”. Jest rozpacz: „Wiemy, że potrzeba snu, aby znów stać się człowiekiem takim jak inni ludzie. Jesteśmy zbyt zmęczeni, by mieć siłę do zabicia się. Wszystko jest zmęczeniem”. Jest tam seks i mizoginia, język koszarowy. „Pornografia” – mówiono nawet w ubiegłą niedzielę w legendarnym programie literackim „Le masque et la plume” w stacji France Inter. Jest w niej także życie i pamięć przekształcone w literaturę: „Jakim głównym jest przeszłość, rozpada się we wspomnieniu. Podaje drobne melodie, o które nikt nie prosił. Wraca cała wymyślona, wśród lez i żalu. To nie jest nic poważnego”.

Zdania krytyków są podzielone. Nikt nie wątpi w znaczenie tego tekstu, ale podczas gdy niektórzy nazywają go z miejsca „arcydziełem” i jak dotąd fundamentalną książką w dorobku Céline’a, inni mają wątpliwości: jest to tekst niepoprawiony i niekompletny, zaledwie szkic. „Ma swoją wartość i nadal silnie działa, ale nie jest to »prawdziwy Céline«, skoro on sam tego tekstu nie ukończył” – mówi Henri Godard, czołowy francuski specjalista od Céline’a. „Są to w ogóle teksty, które z własnego wyboru odłożył na bok i nie zamierzał ich publikować”.

Podobnie jak w przypadku Marcela Prousta i niepublikowanych fragmentów dzieł tego francuskiego geniusza XX wieku, które co pewien czas wypływają na powierzchnię, Gallimard decyduje się na upowszechnienie dzieła pisanego kilkadziesiąt lat temu, ale niedokończonego. „Dom Gallimarda przyjął Céline’a w najtrudniejszym okresie, kiedy był on autorem budzącym odrazę” – mówi wydawca Antoine Gallimard. Chodzi o okres tużpowojenny, kiedy pisarz był więziony w Danii, skazany zaocznie we Francji za kolaborację, a następnie, niejako w akcie łaski, objęty amnestią. „Kiedy czyta się go dzisiaj, jest bardzo aktualny, jeśli chodzi o wojnę i jej konsekwencje dla światopoglądu człowieka” – dodaje. „Jest pisarzem niezwykle nowoczesnym. Potrafił nadać rzeczom najstraszniejszym promyk nadziei: nigdy nie jest po prostu z założenia i systematycznie straszny”.

Innym wyjątkowym tomem, oprócz pozostałych rękopisów, są zjadliwe antysemickie pamflety, które Céline publikował przed okupacją hitlerowską i w jej trakcie. Na życzenie pisarza, a później wdowy po nim, nie zostały one ponownie opublikowane we Francji, choć są dostępne w internecie. Pod koniec 2017 r. Gallimard ogłosił zamiar opublikowania ich w wydaniu krytycznym, czyli poprzedzone wstępem i ubrane w kontekst autorstwa Assouline’a, autora m.in. biografii Cartiera-Bressona, Marcela Dassaulta, Hergégo czy Georges’a Simenona. Wiadomość ta wywołała falę protestów. Gallimard zawiesił te plany, ale całkowicie z nich nie zrezygnował.

W 2032 r. wszystkie dzieła Céline’a znajdują się w domenie publicznej, co umożliwi każdemu chętnemu ich publikację. „Dlatego będziemy musieli zastanowić się nad możliwością wydania stosownie opracowanych pamfletów Céline’a wcześniej. To ważne dla lepszego zrozumienia naszej kultury i jej niekoniecznie jasnych stron – mówi wydawca. – Zostało mi na to jeszcze dziesięć lat życia”. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

są w przeważającej mierze starzy, a starsi ludzie znacznie bardziej obawiają się wojny. Przez dziesięciolecia nikt nie mówił o broni jądrowej, ludzie wręcz zapomnieli o jej istnieniu, a tu nagle znów to zagrożenie wraca do świadomości.

Do tego Putin jest o wiele bardziej skłonny do grożenia bronią jądrową, niż kiedykolwiek byli Sowieci. Oni byli w tym bardzo powściągliwi. Było to trochę tak jak w religiach, w których nie wolno wypowiadać imienia Boga – w czasie zimnej wojny nie mówiło się o broni jądrowej. Teraz mówi się codziennie o broni jądrowej, a w Europie szerzy się nastroj, który można nazwać „widmem zagłady”. Pandemia i obawy związane z postępującymi zmianami klimatu również wpłynęły negatywnie na wielu młodych ludzi, niejako przygotowały ich na to poczucie schyłku, który jest nieuchronny.

Czy spodziewa się pan, że poglądy takie jak te wyrażane przez Alice Schwarzer w pewnym momencie zdobędą przewagę?

– To będzie w dużej mierze zależało od tego, co się stanie w najbliższych tygodniach w Ukrainie, ponieważ ludzie wyposażeni w smartfony i social media są pod dużym wpływem bieżących wydarzeń.

Ale spodziewam się, że tym, którzy opowiadają się za walką Ukraińców aż do zwycięstwa, będzie coraz trudniej, ponieważ mamy tendencję do trywializowania spraw w naszym życiu – nawet tak strasznych jak ta wojna. Wystarczy pomyśleć, jak postrzegaliśmy zagrożenie koronawirusem w pierwszych trzech miesiącach pandemii, a jak w jej drugim roku. Dlatego obywatele UE będą coraz mniej uważnie śledzić losy wojny w Ukrainie, a presja opinii publicznej na polityków zmniejszy się. Rosja wykorzysta ten efekt zmęczenia i będzie dużo mówić na arenie międzynarodowej o pokoju i o tym, że to Ukraina, rzekomo zapiekła i irracjonalna, nie chce negocjować.

Zasadnicze pytanie brzmi, jak zareagują politycy. Zwłaszcza jeśli ceny energii pozostaną na tak wysokim poziomie.

– Dlatego kanclerz Olaf Scholz również stara się być bardzo powściągliwy, niemal programowo chłodny, gdy mówi o wojnie w Ukrainie. Przynajmniej taka jest moja interpre-

Spodziewam się, że tym, którzy opowiadają się za walką Ukraińców aż do zwycięstwa, będzie coraz trudniej, ponieważ mamy tendencję do trywializowania spraw w naszym życiu – nawet tak strasznych jak ta wojna

tacja. Bardzo ważne jest, aby pokazać, że jego decyzje są strategicznie przemyślane, a nie podyktowane emocjami. Scholz doskonale pamięta, jak bardzo Angela Merkel była krytykowana za uznane za emocjonalne decyzje, gdy w 2015 r. otworzyła granice dla uchodźców syryjskich. Scholz stawia na to, że opinia publiczna zmieni się w ciągu dwóch lub trzech miesięcy. Nie w sensie opowiedzenia się za Rosją lub uznania jej racji – tu nie będzie już zmiany z powrotem. Ale w sensie odpuszczenia konfrontacji za wszelką cenę – już tak. ●

STO LAT NIEUFNOŚCI

Rosjanie nas nie najechali, a Amerykanie tak
– uważają przywódcy w Ameryce Łacińskiej

Z CARLOSEM MALAMUEDEM* ROZMAWIA MACIEJ STASIŃSKI

Wojna w Ukrainie zmusza do opowiedzenia się: Rosja albo Zachód. Jak reaguje Ameryka Łacińska?

– Jednolite stanowisko całej Ameryki Łacińskiej jest w tej sprawie niemożliwe. Nie tylko w tej, bo niemal w żadnej innej kwestii, także regionalnej, nie udaje się takiego wypracować, ani w sprawie integracji gospodarczej, ani układów z USA czy z Unią Europejską, ani łamania demokracji w Wenezeli. Niedługo będzie szczyt państw amerykańskich w USA i nawet nie wiadomo, które kraje wezmą w nim udział.

Na wojnę poszczególne kraje odpowiadają indywidualnie i doraźnie, nie myśląc o dalszej przyszłości, tylko co najwyżej na rok, dwa naprzód. W dodatku na ich decyzjach ciąży balast przeszłości, często ideologiczny. Papież Franciszek, w głębi serca peronista, mówi o „szczekaniu NATO pod bramą Rosji”. A Lula da Silva, były prezydent Brazylii, który znowu jest nadzieją brazylijskiej demokracji na powstrzymanie reelekcji Jaira Bolsonaro za kilka miesięcy, mówi, że „Zelenski jest tak samo odpowiedzialny jak Putin”.

Można mieć wątpliwości, co to za wojna, skąd się wzięła i kto ją rozpętał?

– Pan i ja nie mamy. Rządy latynoskie – jak najbardziej. Pierwsza grupa to sojusznicy Putina: Kuba, Nikaragua. Od dawna dostają pomoc militarną i gospodarczą od Rosji. Druga to „neutralni i bezstronni”: Meksyk, Brazylia, Argentyna, Boliwia, Salwador, Honduras czy Peru. Trzecia to ci, którzy Rosję potępiają: Kolumbia, która ma nawet status stowarzyszonej z NATO, Paragwaj, Kostaryka, Ekwador, Gwatemala, Urugwaj, Panama, Dominikana i Chile.

Ten podział odzwierciedla się w głosowaniach w ONZ, OPA (Organizacji Państw Amerykańskich) czy nawet w Światowej Organizacji Turystyki, gdzie większość krajów regionu wstrzymała się od głosu w sprawie wykluczenia Rosji.

Nawet w łonie rządów nie ma zgody. Prezydent Argentyny Alberto Fernández potępił Rosję, ale jego wice Cristina Kirchner nie i się chwali, że jest od lat przyjaciółką Putina. W Boliwii były prezydent Evo Morales chętnie wierzy w „denazyfikację Ukrainy”, ale prezydent Arce Rosję potępił!

Ta wojna i jej skutki przerastają przywódców, którzy nie umieją się uwolnić od ideologicznych klisz przeszłości.

Czy trzeba tak wielkiej wyobraźni, żeby dostrzec, że Rosja, która dotąd wspierała broń, inwestycjami i kredytami Kubę czy Wenezuelę, teraz, niezależnie, jak bardzo chciałaby mieszać pod bokiem USA, nie będzie w stanie, bo zostanie zrujnowana?

– Na razie silniejsze są uprzedzenia antyamerykańskie. Trzeba pamiętać, że w Ameryce Łacińskiej diabłem wcielonym, szatanem, pozostają Stany Zjed-



• Caracas, Rosjanie mieszkający w Wenezueli świętują Dzień Zwycięstwa FOT. MATIAS DELACROIX/AP

noczone, a nie daleka Rosja. Dlatego za Rosją, rzekomo osaczoną przez USA i Europę, trzeba się wstać. Nawet jeśli widać, że nie będzie w stanie wspierać tutaj zaprzyjaźnionych rządów, jest ofiarą Zachodu. Nawet szczególnie profesjonalna dyplomacja brazylijska najwyraźniej uważa, że w tej wojnie musi być „niezależna”.

W najlepszym razie inni przywódcy myślą sobie: – A niby dlaczego mam zajmować stanowisko? Poczekajmy. Znamy to z historii. Już obie wojny światowe były daleko, były problemami Europy i USA, nie dotyczyły Ameryki Łacińskiej.

Dzisiejsze wojny są co prawda inne, można je śledzić w telefonach i to z pewnością wpływa na ich postrzeganie. Ale skutki dla świata umykają na razie opinii publicznej.

Czyli w Ameryce Łacińskiej nie wiadomo, kto napadł na kogo i kto jest ofiarą?

– To nie jest wymysł Luli czy Maduro, to jest zbiorowy stan umysłów, mentalność latynoska, nacjonalizm lokalny. Skąd grozi nam niebezpieczeństwo? Z Moskwy? Ale gdzie tam! Z Waszyngtonu. I tak jest już od ponad 100 lat.

Doświadczeń z imperializmem amerykańskim interweniujących w obronie „naszych sukinsynów” – dyktatorów lub wielkich koncernów – Ameryka Łacińska miała dość w XX wieku. Ale od zakończenia zimnej wojny, np. za Clintona czy

Obamy, było inaczej. Czy ten zły kompleks jest nie do przezwyciężenia?

– Antyamerykanizm i antyimperializm w Ameryce Łacińskiej wywodzą się jeszcze z wojny o Kubę w 1898 r., kiedy USA pokonały Hiszpanię i zaprowadziły protektorat na wyspie. Późniejsze tylko umocniły hegemonię Stanów Zjednoczonych.

Antyamerykanizm i antyimperializm to jest uczucie, a nie racjonalna idea. Nie jest własnością lewicy, lecz w równym stopniu prawicy i całej palety politycznych opinii. Doświadczenia z czasów Clintona czy Obamy go nie łagodzą, bo to były rządy Demokratów. A Demokraci bardziej wymagają przestrzegania demokracji, praw człowieka czy praw związkowych niż Republikanie, którzy się nie wtrącają.

Prezydent Meksyku broni zawzięcie dyktatur na Kubie i w Nikaragui i ich obecności na szczycie państw amerykańskich w USA. Biden nie chce ich tam. A za Trumpa prezydent López Obrador nie miałby problemu, bo Trumpowi było wszystko jedno.

Nie umiem powiedzieć, czy ten kompleks amerykański będzie ustępował. Widzę za to, że miłość do rewolucji na Kubie, która jest jego częścią, jest w starszym pokoleniu Latynosów wciąż wielka. Nowy prezydent Chile Gabriel Boric, choć lewicowy, ma 35 lat i on nie podziela już tej miłości, ale jest dość samotny wśród przywódców Ameryki Łacińskiej, nie tylko wśród populistycznej lewicy.

A jak to się ma do napaści Rosji na Ukrainę?

– To jest myślenie czy uczucie niemal religijne, magiczne, nieracjonalne. I dlatego przeszkadza widzieć, że w tej wojnie Rosji przeciw Ukrainie jak rzadko sprawy są czarno-białe.

W Ameryce Łacińskiej dogmatem nacjonalizmu narodowego i kontynentalnego jest obrona suwerenności i niepodległości. Kiedy w 2008 r. w trakcie wojny domowej w Kolumbii armia zbombardowała bazę partyzantów FARC położoną w dżungli kilka kilometrów od granicy z Ekwadorem, po stronie ekwadorskiej, wybuchła niebывawa awantura. Prezydent Rafael Correa nie posiadał się z oburzenia za pogwałcenie suwerenności jego kraju. A jego sojusznik Hugo Chávez z Wenezueli wysłał wojsko na granicę z Kolumbią.

Ale jak Rosja napadła na Ukrainę, to żadnej awantury nie ma. Nic nie jest ani białe, ani czarne, tylko szare.

Czy tej panoramy nie uprościliby upadek dyktatur na Kubie i w Nikaragui czy reżimu autorytarnego Wenezueli?

– Owszem, ale jak długo na to czekamy?

W najbliższych dwóch latach będziemy mieli wybory w większości krajów Ameryki Łacińskiej. Prawdopodobnie czeka nas skręt w lewo. Jeśli w Brazylii wygra Lula, a w Kolumbii Gustavo Petro, ta postawa równego dystansu wobec Zachodu i Wschodu – Chin i Rosji – się umocni.

Te ideologiczne klisze to wieczne przekleństwo, na które nie ma rady? Niektórzy wieszczą, że Rosja popelnia historyczne samobójstwo i stoczy się z pozycji mocarstwa do ubogiego klienta u kłamki Chin.

– Na krótką metę jestem pesymistą. W dłuższej perspektywie – zobaczymy, bo kraje Ameryki Łacińskiej będą się musiały odnaleźć w na nowo ustalanych strefach wpływów wielkich mocarstw. Będą musiały się opowiedzieć, czy są po stronie demokratycznego Zachodu, czy rosnących Chin.

Chiny już rywalizują z USA o Amerykę Łacińską. Poza Meksykiem są głównym partnerem gospodarczym wszystkich prawie krajów kontynentu.

Jeśli Europa skończy z zależnością od surowców rosyjskich, to uderzy rykoszetem w Amerykę Łacińską, bo wówczas rosyjskie surowce: gaz, ropa, metale czy żywność, popłyną do Chin, które nie będą ich potrzebować z Ameryki Łacińskiej. To będzie dramatyczna zmiana. Jeśli Rosja wpadnie wprost w orbitę Chin, to dla Ameryki Łacińskiej będzie to tragiczne. Cały jej potencjał eksportowy będzie musiał się przekierować ku USA i Europie.

Jak uważa Fabian Bosoer, Ameryka Łacińska wpada w pułapkę Tukidydesa: wobec zbliżającego się starcia dwóch wielkich mocarstw, ten trzeci z jednej strony nie chce dać się wciągnąć w rywalizację, której nie sprowokował, ale z drugiej nie może się nie opowiedzieć, bo to starcie będzie miało dla wszystkich krajów i społeczeństw dalekośćne skutki.

Byłoby roztropnie wyprzedzić wypadki i zająć stanowisko szybko, żeby potem podbić cenę swojego wyboru, ale zapewne tak się nie stanie.

Pytanie brzmi: Czy przywódcy Ameryki Łacińskiej zdadzą sobie sprawę, że mają wielką szansę wykorzystać obecną koniunkturę geopolityczną i gospodarczą? Czy też będzie to kolejny pociąg, który im ucieknie?

Czemu to takie trudne, skoro tak oczywiste?

– Bo Ameryka Łacińska dalej nie potrafi zdecydować, czy należy do Zachodu. Wielu wciąż uważa, że jest światem osobnym, wielonarodowym, wieloetnicznym światem ludów tubylczych i pierwotnych. Wciąż tasują się tutaj odwieczne kwestie tożsamości narodowej czy kulturalnej, dziedzictwa kolonialnego.

Ale co to ma wspólnego z orientacją polityczną na demokrację albo z interesem ekonomicznym: z kim lepiej współpracować, z Zachodem czy z Chinami? Czy to nie jasne, że Chiny, jak wcześniej USA, mają w ekspansji ekonomicznej interes imperialny, kupując na pniu całe złoza i inwestując wielkie kapitały?

– Na krótką metę Chiny pozwalają zmniejszyć zależność od USA. Chiny są jak ten rycerz, co wyzwała dziewicę z łap szatana. Nikt się nie zastanawia, że na dłuższą metę to grozi wpadnięciem w łapy kolejnego imperializmu. Na razie nowy geopolityczny porządek świata nie zajmuje latynoskich polityków. Dla krajów Ameryki Łacińskiej liczy się jutro, najbliższe wybory. Długofalowymi strukturalnymi reformami nikt się nie zajmuje.



*Carlos Malamud

• Analityk Real Instituto Elcano w Madrycie, profesor historii na madryckim Uniwersytecie UNED, członek korespondent St. Antony's College w Oxfordzie.

FOT. FLICKR.COM/CASAMERICA

A może demokracja liberalna, tak jak ją Zachód pojmuje, wciąż w ogóle nie jest pierwszym wyborem przywódców i partii latynoskich? Może ważniejsza jest skuteczność i dlatego Chiny imponują jako dyktatura, ale skuteczna, potężna, i wielki rynek?

– Badania socjologiczne pokazują, że poparcie dla demokracji w Ameryce Łacińskiej jest większością. Ale co to znaczy? W Wenezueli za Cháveza też większość popierała demokrację – i głosowała na Cháveza. A czy bronił demokracji?

Demokracja liberalna nie jest zapewne pierwszym wyborem. Wielu ludzi w Ameryce Łacińskiej ma pilne potrzeby i żądania, wierzy w drogę na skróty, w przywódców charyzmatycznych, którzy rozumieją lud i rozwiążą jego problemy.

Ilu jeszcze wodzów i populistycznych przywódców, z prawa czy lewa, trzeba, żeby się opamiętać?

– W latach 70., 80. i jeszcze 90. dyktatury były albo doświadczeniem współczesnym, albo pamięć o nich była bardzo świeża. Demokracja była ceniona z powodu pamięci o zbrodniach i prześladowaniach. Mijały lata i obecne pokolenia nie boją się już powrotu dyktatur.

W Hiszpanii i Chile silna była pamięć demokratycznych transformacji. W Hiszpanii np. przyświecało jej, że za żadne skarby nie wolno było powtórzyć wojny domowej i tego, co do niej doprowadziło.

Ale w XXI wieku to się zmieniło. Nowe pokolenie kwestionuje pokojową i wynegocjowaną transformację demokratyczną i jej zalety, piętnuje się rzekomy pakt milczenia o wojnie i dyktaturze, mimo że nigdy go nie było.

W Chile jest podobnie. To tłumaczy zjawisko partii Podemos w Hiszpanii i karierę Gabriela Borica w Chile.

Ład światowy to jedno, ale wykorzystanie własnego potencjału i koniunktury gospodarczej nie wymaga chyba aż takiej wyobraźni?

– To także debata między metafizyką i pragmatyzmem. Sprawy gospodarcze są ściśle związane z kwestiami tożsamości, suwerenności czy z nacjonalizmem.

Bogactwa naturalne, mineralne, żywność to kwestie ideologiczne, kluczowe w Ameryce Łacińskiej. Bo nacjonalizacja bogactw narodowych jako najlepsze wyjście i rzekoma recepta na rozwój jest odwiecznym przekleństwem tych krajów.

Peru i Chile mają ogromne zasoby miedzi. Jak i kto je eksploatuje i czerpie zyski, jest nieobojętne. Projekt nowej konstytucji Chile określa miedź jako

bogactwo narodowe. Co to będzie oznaczać, zobaczymy.

Prezydent Meksyku właśnie ogłosił, że złoza litu, strategicznego minerału, potencjalnie potężne, „należą do całego narodu”, jak wcześniej ropy, znacjonalizowanej w 1938 r. Ale państwo nie umie efektywnie eksploatować surowców naturalnych przez swoje monopole państwowe.

W Argentynie eksport żywności jest od pół wieku głównym źródłem dochodów państwa. Za każdym razem, kiedy jest kryzys, rząd nakłada na eksporterów podatki, żeby zasilić budżet. Państwo dotuje ceny wewnętrzne, żeby zjednać sobie społeczeństwo, ale uderza w prywatnych producentów i ogranicza ich potencjał. Agropremysł jest wrogiem rządu Argentyny od lat.

Argentyna ma ogromne zasoby łupków gazu i ropy – Vaca Muerta w prowincji Neuquen – ale ich eksploatację komplikuje brak gazociągów oraz problemy współpracy państwa z prywatnymi koncernami.

Doświadczenia dyktatur, jak na Kubie czy w Wenezueli, gdzie wielkie molochy w rodzaju Pemexu albo PdVSA zrodziły korupcję i marnotrawstwo, są fatalne. Czy kraje nie uczą się na własnych błędach?

– W Europie godzenie rynku i interwencji państwa przyniosło państwu opiekuńcze i społeczną gospodarkę rynkową. W Ameryce Łacińskiej rządy prawicowe i liberalne były równie złe, co lewicowe populistyczne i nieliberalne. Dyktatur wojskowych było więcej niż demokratycznych rządów liberalnych. Liberalizm ekonomiczny zawsze myłono tu z liberalizmem jako obroną wolności jednostki i obywatela.

Jak bardzo na rynku jako sposobie działania gospodarki skorzystały społeczeństwa Ameryki Łacińskiej? Słabo.

A może źródłem amerykańskiego delirium jest syndrom ofiary i jej rewers, czyli przekonanie o własnej niewinności. Obcy nas krzywdzili, a my niczemu nie jesteśmy winni. Biegunami tej debaty są: „Otwarte żyły Ameryki Łacińskiej” Eduardo Galeano i „Podręcznik doskonałego idioty latynoamerykańskiego” Alvara Vargasa Llosy, Carlosa Alberto Montanera i Plinio Apuleyo Mendoza.

– Ani jedna, ani druga książka nie jest dobra. Obie są uproszczeniami i uciekają w białoczarne banały. Syndrom niewinnej ofiary obcej przemocy oczywiście istnieje i przenika całą literaturę piękną i historyczną, socjologiczną czy politologiczną Ameryki Łacińskiej. Ale to bardziej złożony problem. ●



• Putin i lider wenezuelskiej rewolucji Hugo Chavez – świeżo odsłonięty mural w kompleksie sportowym dla dzieci i młodzieży w Caracas

FOT. YURI CORTEZ / AFP

Kraje Ameryki Łacińskiej będą się musiały opowiedzieć, czy są po stronie demokratycznego Zachodu, czy rosnących Chin

CZUŁE SŁÓWKA

Metanoia

Morawiecki śmiało wchodzi na teren poezji lingwistycznej, o której Sępowi-Szarzyńskiemu nawet się nie śniło.

Michał Rusinek*



Nieco zapomnianą figurę retoryczną przypomina nam od dłuższego czasu premier Mateusz Morawiecki. Dla nauczycieli retoryki taki premier to skarb, mogą się bowiem odwoływać już nie tylko do barokowej poezji, na przykład Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego („Dzielnosc, statecznosc, rozum, obyczaje/ Twoje, co zacnośc (choć wielką) przechodzą, // Wiersza mojego ustawną zabawą/ Będą. Co mówię? Będą sławą prawą”), lecz do współczesnego języka polityki. Ta figura nazywa się metanoia, a po łacinie – correctio.

Zaliczana jest do figur myśli, a nie słów, budują ją bowiem nie szczególne układy wyrazów, lecz polega ona na poprawieniu wygłoszonej przed chwilą opinii. Zaczyna się zdaniem, w którym wyrażone zostaje określenie wadliwe lub po prostu błędne. Błąd musi zabrzmieć i przekonać do siebie słuchacza, ale tylko na chwilę, gdyż istotą metanoi jest obalenie owej chwilowej pewności. Publiusz Rutyliusz Lupus, rzymski wojownik, konsul i retor z I wieku, pisze, że „figura ta zachodzi wówczas, gdy sam autor wypowiedzi sobie zaprzecza, i to, co powiedział wcześniej, zmienia na następnym zdaniu, np. jak to czyni Demostenes: »ten człowiek szlachetnego rodu późno, co mówię, dopiero wczoraj...«”.

Morawiecki stosuje o wiele nowocześniejszą wersję metanoi, nie bawi się bowiem w sztucznie brzmiące pytania do samego siebie, czyli dubitatio, oznaczające udawaną wątpliwość („co ja mówię?”). Premier przecież nie może mieć żadnych wątpliwości, a tym bardziej udawać, że je ma. W lutym 2022 r. powiedział: „Za parę dni, właściwie jutro”, w marcu: „Odbylem kilkanaście, dwadzieścia kilka rozmów”, a w kwietniu: „Niedawno (...) – dosłownie parę dni temu, dosłownie wczoraj — na Radzie Ministrów przyjęliśmy ustawę o emeryturach rolniczych” (wszystkie cytaty z wypowiedzi premiera zaczerpnąłem z fejsbukowego profilu „Wiersze Mateusza Morawieckiego pisane w Excelu”). Nie chodzi tu o brak precyzji, o który przecież nie możemy podejrzewać prezesa Rady Ministrów, byłego dyrektora banku. Chodzi o socjotechniczną sztuczkę, która powoduje, że postrzegamy go jako zwykłego człowieka, który – tak jak i my – może popełniać błędy, może nie pamiętać wszystkiego dokładnie; najważniejsze, że się tego nie wstydzi, nie idzie w zaparte, lecz z podniesioną przylbicą przyznaje się do błędów tylko po to, by je natychmiast skorygować. Największym problemem mówców, zwłaszcza tych, którzy mają władzę, jest bowiem dystans, jaki tworzy się między nimi a ich odbiorcami. Ten dystans pozwala zmniejszyć właśnie sztuczka metanoi: niby premier, ale człowiek. Errare humanum est.

Morawiecki chętnie operuje liczbami i procentami, wówczas metanoia słu-

żyć może do chwalenia się sukcesami: „Zwiększyliśmy o ponad sto procent, grubo ponad sto procent, właściwie około sto pięćdziesiąt procent, liczbę miejsc w takich właśnie klubach dla dzieci, w żłobkach także” (maj 2022). To niewątpliwy sukces, nawet jeśli niepokoi nas nieco, co to mogą być „kluby dla dzieci”. Wiemy na szczęście, czym są żłobki. Metanoia może też służyć do przyznania się do porażki: „Nadał nasze magazyny są napelniane. Codziennie będziemy je napelniać do poziomu stu procent. Dzisiaj to jest siedemdziesiąt osiem procent” (kwiecień 2022).

Metanoia może być także – jak pokazuje premier – figurą skromności. Zamiast od razu użyć precyzyjnego i dumnego określenia, mówca zostawia je na koniec: „Nie tylko ta waloryzacja w cyklu całorocznym będzie przewyższająca koszty inflacji, ale jak doliczymy do tego dodatek osłonowy, ale także trzynastą i czternastą emeryturę, to myślę, że można dodać do tego słowo »znacznie«” (lutym 2022). Widać w tym fragmencie nie tylko skromność, ale i niebawłą ostrożność w posługiwaniu się językiem. Po kilku miesiącach od tej wypowiedzi, a dokładnie trzech, a jeszcze dokładniej: trzech miesiącach i czterech dniach, kiedy piszę te słowa, skromność i ostrożność premiera wydaje się nader uzasadniona. Jak w anegdocie o Churchillu, który – zapytany o swojego następcę na fotelu premiera, lorda Attlee – odpowiedział, że to bardzo skromny człowiek i ma po temu wiele powodów.

Figurę metanoi uruchamiają też określenia nieprecyzyjne dotyczące czasu, na przykład – „wkrótce”: „Już wkrótce, za tydzień, dwa, trzy, raport, bardzo dokładny raport zostanie przedstawiony opinii publicznej” (kwiecień 2022). Mamy jednak prawo się zaniepokoić, czy aby raport nie będzie równie dokładny, jak czas jego przedstawienia. Morawiecki zdaje sobie sprawę, że opinia publiczna wymaga od niego precyzji, więc jeśli nie zna dokładnej daty jakiegos wydarzenia, dopuszcza się nawet nagięcia zasad gramatyki i stopniuje przysłówki niestopniowalne: „To nastąpi bardzo wkrótce” (kwiecień 2022). Tym samym przekracza granicę retoryki i śmiało wchodzi na teren poezji lingwistycznej, o której Sępowi-Szarzyńskiemu nawet się nie śniło.

Niesłusznie wyśmiewano się z premiera, gdy powiedział: „Nasz południowy sąsiad – przez kilka państw, nie graniczymy z nim bezpośrednio – Turcja” (kwiecień 2022). Użył on bowiem znów metanoi, w dodatku o iście brawurowej strukturze: mało który mówca potrafiłby poprawić błędne zdanie, zanim zostanie ono dopowiedziane. Niesłusznie szydzono też, gdy mówił: „Ja mam dla ministrów zdrowia tylko jedno słowo: bardzo dziękuję” (kwiecień 2022). Nie chodzi o to, że Mateusz Morawiecki nie umie liczyć – kto jak kto, ale on umie – tylko o to, że metanoię pozostawia nam, odbiorcom. Być może sprawdzając, czy umiemy liczyć, przynajmniej do dwóch.

Bez obaw. Liczyć – umiemy. Kilka dni temu premier umieścił na Twitterze zdjęcie z małżeńskiej kolacji (dzieci wyjechały na obóz harcerski). Na stole przed uśmiechniętym premierem i jego żoną stoi wazonik z bzem i świeczki. Świeczek jest osiem. Jak szybko obliczyli wyćwiczeni przez premiera internauci, osiem to pięć plus trzy. I wygląda na to, że tej ukrytej wiadomości żadna metanoia nie poprawi. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

PiS ciągnie Polskę na dno kieliszka

Pieniądze z Planu Odbudowy zamiast interesowi kraju będą służyły interesowi PiS. A te dwa już dawno się rozjechały.

Marcin Matczak*



Sprawa pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy jest pułapką psychologiczną, w którą wszyscy wpadamy: i obywatele, i opozycja. Jesteśmy rozdarci – z jednej strony wiemy, że te pieniądze są Polsce bardzo potrzebne, z drugiej ich wypłata bez rzeczywistych zmian w polskiej praworządności skończy się źle. Zachęci do dalszego łamania zasad i rozzuchwali łamaczy. A ponieważ dawno wyłączono wszystkie bezpieczniki, które mogłyby kontrolować zagospodarowanie tych pieniędzy, zamiast interesowi Polski będą służyły interesowi PiS. A te dwa interesy już dawno się rozjechały.

Co więc zrobić? Aby wyrwać się z tej pułapki, trzeba zrozumieć, co tak naprawdę się dzieje. To niełatwe, bo polityka jest skomplikowana, dlatego warto sprowadzić ją do czegoś bardziej namacalnego. W tym pomaga zawsze metafora – narzędzie nieidealne, bo upraszczające, ale pozwala zrozumieć wstępnie, a potem można pogłębić.

Otóż PiS jest poważnie uzależniony od władzy. Jest ona dla niego absolutnie najważniejsza i odurzająca, jak wódka dla alkoholika. Nie jest środkiem (do czynienia dobra), ale celem samym w sobie, tak jak napicie się nie jest dla uzależnionego środkiem do zrelaksowania się, tylko sensem jego życia. Widać to po skutkach „reform” w sądach, które nie dały nic (oprócz zwiększenia władzy Ziobry), a zniszczyły prawie wszystko.

To i inne sprawy (np. inflacja i galopujące zadłużenie) pokazuje, że tak jak w poważnych stadiach uzależnienia alkoholik jest w stanie zniszczyć życie sobie i innym, zadłużyć się i sprzedać wszystko, co ma, tak PiS, aby móc dalej upajać się władzą, jest w stanie zrobić dokładnie to samo, tylko nie ze swoim życiem, ale naszym.

Sytuacja z KPO jest sytuacją alkoholika, który uważa, że powinien dostać pieniądze, i obiecuje, że wyda je na chleb i ubranka dla dzieci. Podobnie PiS mami, że miliardy z KPO pójda na zbożny cel. Wiara, że tak się stanie, jest naiwnością. Tak jak aktywny alkoholik wyda każde pieniądze na wódkę, tak aktywnie uzależniony od władzy rząd wyda każde pieniądze, by ją umocnić, by dalej demontować system, który ma jego władzę ograniczać. Przecież w środku dyskusji o KPO PiS powołał nową starą KRS, w skład której wchodzi ludzie, którzy tam już byli, choć nigdy nie powinni do niej trafić, a która jest źródłem całego bałaganu. Przecież to tak, jakby alkoholik, który mówi, że jest trzeźwy i nie będzie pił, jednocześnie walił setkę.

Uzależnienie dotyka nie tylko uzależnionego, ale i jego rodzinę, która może po-

paść we współuzależnienie – alkoholik jest uzależniony od alkoholu, bliscy uzależniają się od alkoholika. To pułapka psychologiczna, podobna do tej, w jakiej znaleźliśmy się dzięki PiS, nawet jeśli większość z nas nie uznaje Jarka i Zbyszka za bliskich, a nawet wprost przeciwnie. Współuzależniony zaprzecza, że jest źle, jest wewnętrznie rozdarty między potrzebą surowości dla uzależnionego a chęcią pomocy. Żyje także fałszywą nadzieją, że będzie lepiej, wystarczy tylko poczekać. Wszystkie te objawy ma nasze społeczeństwo.

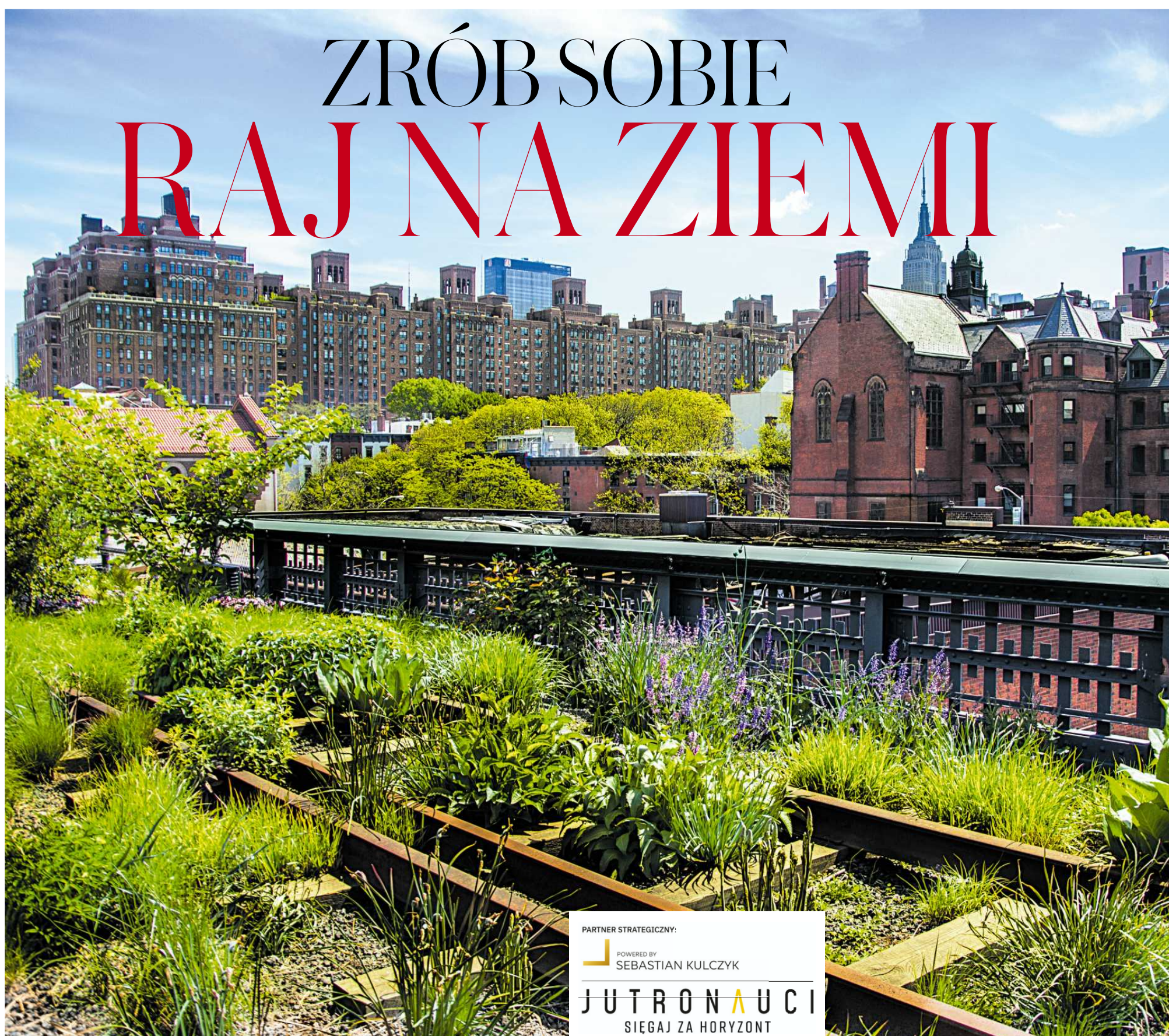
Zaprzeczania, że PiS ciągnie nas w przepaść, jest wokół mnóstwo. Nie jest tak źle, mówią symetryści. Prokuraturę tak upolityczniono, że władza jest całkowicie bezkarna – oni mówią „nic to”. W naszym najwyższym trybunale siedzi kobieta, która chce zniszczenia Unii Europejskiej i publicznie wyzywa ambasadatorów i posłów od bydłaków i dziadów kalwaryjskich. „Ona tak po prostu ma” – usprawiedliwiają. Szef banku centralnego, który ma być niezależny od polityków, jedzie na dywanik do prezesa partii rządzącej. Niektórzy wierzą, że będzie twarą ręką bronił naszego dobrobytu przed politycznym zamachem. Otóż nie będzie – ci ludzie zrobią wszystko, o czym zamarzy prezes, bez względu na to, jaki będzie skutek dla Polski. A jaki będzie, już widać: wystarczy pójść do sklepu, zrobić zakupy i nie zejść na zawal, jak się zobaczy paragon.

Jak współuzależnieni chcemy ofierze uzależnienia pomóc. W rodzinach alkoholików też są osoby, które wierzą, że jak dadzą pieniądze, to alkoholik przestanie pić, bo taką siłę ma miłość. Uzależniony zresztą aktywnie wpędza bliskich w to rozdarcie, apelując do ich emocji, tak jak PiS apeluje do patriotyzmu. Poza tym uzależniony ciągle kłamie i sam wierzy w swoje bujdy, wpadając w mechanizm iluzji i zaprzeczenia. Dziwicie się siedemnastemu kłamstwu, że KPO jest już zatwierdzone? Przeczytajcie, jak często alkoholik używa kłamstwa jako „środka imitującego kontrolę nad sytuacją”, którą dawno stracił.

Jedyny sposób na uzależnionego to miłość twarda – albo zaczynasz proces naprawczy i konsekwentnie go re-alizujesz, i wtedy możemy rozmawiać o wsparciu, albo nie dostajesz nic. Takie postawienie sprawy nie jest łatwe, ale konieczne. Twardy patriotyzm, prawdziwa miłość do kraju wymaga czegoś podobnego – pieniądze z KPO są zależne od tego, czy PiS wejdzie na drogę rzeczywistego, a nie udawanego przywracania praworządności, która jest rodzajem instytucjonalnej trzeźwości. Jeśli tego nie zrobi, pomoc nie ma sensu, ponieważ to pomoc w stoczeniu się na dno. Bez twardego patriotyzmu pozostanie nam, jak współuzależnionym, jedynie fałszywa nadzieja, że oni się zmieniają. To jest nadzieja kobiety, która wychodzi za mąż za gością i wierzy, że on po ślubie stanie się inny. Wiemy, jak z takimi nadziejami jest.

Dlatego trzeba postawić sprawę jasno – dla dobra Polski i nas wszystkich pieniądze z KPO tylko wtedy, gdy wróci praworządność. Bo praworządność to nie wymysł prawników, ale sprawdzony mechanizm zapewniający, że władza nie robi głupot, nie zadłuża się i nie czuje się w tym wszystkim bezkarna. Bez praworządności państwo instytucjonalnie umiera i biednieje (mamy na to dowody naukowe). A społeczeństwo, jak współuzależniony, wpada w mieszaninę lęku, samoobwiniania się i misji ratowania świata, która kończy się głęboką frustracją. Albo czymś o wiele gorszym. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW



Z PROJEKTANTEM OGRODÓW
PIETERM OUDOLFEM* ROZMAWIA
TOMASZ ULANOWSKI

Nauka dostarczyła już wielu badań dotyczących zbawionego wpływu, jaki wywiera na nas kontakt z przyrodą. Jak pan się czuje w swoich ogrodach?

– Jestem nimi zafascynowany, więc zwykle świetnie. Przyjemność sprawia mi też, kiedy korzystający z moich projektów ludzie są zadowoleni. Choć czasem, gdy właściciele zaniedbują moje ogrody, trochę mi smutno.

Nie wpadło mi do głowy, że to możliwe.

– O tak, choć nieodpowiednia opieka raczej nie dotyczy projektowanych przeze mnie publicznych ogrodów i parków. One zawsze potrzebują pracy, nie są przecież dziką przyrodą. Dzik to z definicji coś, czego nie kontrolujemy.

Według psychologów ewolucyjnych ogrody to jakiś rodzaj raju, biblijnego Edenu – opanowanego przez człowieka niebezpiecznego chaosu przyrody.

– Wszystko zależy od tego, jak dobrze ich właściciele nimi się opiekują.

Są też nazywane trzecią przyrodą. Ta pierwsza jest dzika, a druga to uprawy. Teraz zaczyna się też mówić o szacunku dla czwartej przyrody – dzicy, która rekolonizuje tereny przez nas przekształcone, np. miasta.

– Każda z tych idei może znaleźć miejsce w dzisiejszym świecie. Ekolodzy nie bez powodu ostrzegają przed niebezpieczną utratą bioróżnorodności, szczególnie na terenach uprawnych.

Ale ile osób naprawdę rozumie, co zrobiliśmy przyrodzie, i doceni dzikie zarosła w mieście? Zwykle takie pozostawione sobie tereny są mocno zaśmiecone. Oddanie miast dzikiej przyrodzie to na pewno romantyczna idea i świetnie ją rozumiem. Ale czy ma sens, kiedy nie rozumie jej 99 procent ludzi?

Oczywiście nie zajmuję się odtwarzaniem naturalnych krajobrazów. Zajmuję się tworzeniem ogrodów – czyli intensywnie zmienionej przestrzeni, stworzonej na użytek człowieka z roślin, których w sąsiedniej dzicy raczej nie znajdziemy.

Im bardziej estetyczny dla oka ogród, tym więcej daje ludziom do myślenia – o świecie poza ich miejscem zamieszkania.

Czyli dobry ogród to prawdziwie inteligentny projekt.

– A pan potrafiłby zaprojektować ogród i potem ten projekt zrealizować?

Nie śmiałbym! Moja żona tym się zajmuje, ja tylko robię to, co mi każe.

– Ogrodnik i projektant ogrodu musi przede wszystkim postępować świadomie. Musi rozumieć rośliny, które wprowadza do ograniczonej przestrzeni. Wiedzieć, jak i kiedy rosną, co z nimi zrobić, kiedy już urosną. Czy żyją krótko, czy długo. Czy są agresywne, czy nie. Czy lubią tereny nasłonecznione, czy zacienione. Ile wody potrzebują, czy potrzebują podlewania. To ogromna wiedza. Bez świadomego ogrodnika ogród nie będzie dobrze funkcjonował. A nabranie doświadczenia zabiera trochę czasu – na eksperymenty.

Jak to nabieranie doświadczenia wyglądało w pańskim przypadku?

– Wszystko zaczęło się od mojej miłości do roślin i ich piękna. W połowie lat 70., kiedy jeszcze prowadziliśmy rodzinną restaurację, dojrzałem do ucieczki ze świata czterech ścian. Zaczęłem pracować w ogrodach i zrozumiałem, że rośliny dają mi radość, że dzięki nim mogę jakoś wyrazić swoje uczucia. Założyłem więc firmę.

Na początku – jak wielu – fascynowało mnie ogrodnictwo w stylu angielskim – kon-

centrujące się na zjawiskowych kwiatach i całorocznej pracy przy przekształcaniu ogrodu. Ale potem uznałem, że jest zbyt dekoratywne.

W latach 80. pracowałem z ludźmi, którzy jeszcze dekadę wcześniej byli zafiksowani na idei dzikich ogrodów. Ten pomysł nie wypalił, bo najczęściej kończył się wypuszczeniem agresywnych gatunków, które szybko opanowywały całą przestrzeń. Ale pomógł mi zrozumieć, że podobają mi się ogrody, którym pozwala się na więcej spontaniczności. Chciałem, by moje realizacje nie były tylko dzikie, ale żeby wyglądały dziko.

Zaczęłem więc stosować rośliny, które świetnie nadawały się do ogrodów, bo nie były agresywne, a były piękne – na przykład różne trawy – lecz ich nie wykorzystywano. Jednocześnie zafascynowała i zainspirowała mnie preriowa roślinność Ameryki Północnej.

Zresztą w europejskich ogrodach stosuje się sporo północnoamerykańskich gatunków wieloletnich. Kwitną później od naszych, więc sadząc je – a także azjatyckie – możemy wydłużyć sezon kwitnienia nawet do października. Z czego korzystają owady zapylające.

Nie ma pan obaw przed wprowadzaniem obcych gatunków?

FOT. GETTY IMAGES

Dobrze prowadzone ogrody są o wiele bardziej bioróżnorodne od sąsiednich terenów naturalnych



„Tworzę ogród naturalny”
Piet Oudolf, Henk Gerritsen,
tłum. Violetta Dobosz,
wydawnictwo Wytwórnia

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo. W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy i podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

1 RP

– Nie, jeśli to nie są gatunki agresywne, od których należy się trzymać z daleka, bo mogą stać się inwazyjne. Oczywiście nie wprowadzałbym obcych gatunków do dzikiej przyrody. Ale wprowadzam je do ogrodów. Dobrze prowadzone ogrody są zresztą o wiele bardziej bioróżnorodne nie tylko od upraw, ale też od sąsiednich terenów naturalnych.

A poza tym człowiek tak zmienił świat, że zupełnie nie przypomina już tego naturalnego, który zamieszkiwali nasi przodkowie. Może więc zasadne byłoby zadanie pytania o ludzi – czy ci mieszkający w Polsce albo Holandii należą do gatunku inwazyjnego?

Rzadko wykorzystuje pan drzewa.

– Jeśli tak pan myśli, to znaczy, że nie zrozumiał pan moich projektów. Za każdym razem mnie to wścieka – kiedy ktoś umawia się ze mną na wywiad i ocenia moje projekty tylko na podstawie kwiecistych zdjęć.

Widział pan High Line na Manhattanie?

Nawet tam kilkakrotnie byłem.

– Widział pan drzewa?

Widziałem.

– To o czym pan mówi?

To chyba jasne, że nie mogłem być we wszystkich pana ogrodach i opieram się na ich zdjęciach.

– Te zdjęcia zazwyczaj koncentrują się na trawach i innych niskich roślinach, a pomijają drzewa, pomiędzy którymi te spektakularnie kwitnące lany są umieszczone. Każdy projekt zaczynam od drzew, a potem wymyślam bardziej dynamiczne fragmenty krajobrazu. Kiedy dostaję do zaprojektowania kilkaset hektarów, muszę dbać o zróżnicowanie, w tym o uwzględnienie choćby ścieżek.

Zapytałem o drzewa, bo mam wrażenie, że jesteście na nich przesadnie skoncentrowani. Jakby inne rośliny nie były ważne i piękne. A ja uwielbiam otwarty krajobraz, w tym surowy, minimalistyczny krajobraz Arktyki – porośnięty tundrą i przykryty lodowcami.

– Też go uwielbiam. Podobnie jak poruszają mnie inne krajobrazy, których za żadne skarby nie chciałbym zmienić. Dlatego nie projektuję krajobrazów, tylko ogrody.

Czyli pańskie pytanie o rzekomy brak drzew to miał być komplement?

Oczywiście, że komplement. Uważam, że pańskie projekty są piękne. Mimo że pochodzimy z różnych kultur, a nawet z innych pokoleń. Czy to znaczy, że piękno to uniwersalny koncept, związany z biologią człowieka?

– Na pewno każdy z nas ma poczucie piękna w DNA. Niektórzy ludzie widzą piękno w niczym. Innym trzeba je podsunąć pod nos, żeby je zauważyli, jeśli w ogóle je zauważą. Jeszcze inni koncentrują się na pięknie swoich bliskich. Jest tyle wymiarów piękna.

Ale wiele zależy od czynników zewnętrznych. Ludzie bywają tak zajęci walką o przetrwanie, że mogą nie mieć czasu na podziwianie piękna. ●



*Piet Oudolf

• ur. w 1944 r., jest holenderskim projektantem ogrodów. W swoich pracach stosuje rośliny wieloletnie i trawy, korzystając z piękna nie tylko ich kwiatostanów, ale też całych roślin. Jego najśłynniejszy projekt to nasadzenia na High Line – w miejskim parku w Nowym Jorku ulokowanym na dawnym wiadukcie linii kolejowej na Manhattanie

Za 356 tys. dni gasimy światło

Kierują nami odruchy sprzed dwóch milionów lat.

Tomasz Ulanowski

Czemu to zrobileś, przecież teraz razem utoniemy? – spytała żaba skorpion, który ukłął ją, gdy na własnym grzbiecie przewoziła go przez rzekę. – Nie mogłem się opanować – odpowiedział skorpion.

Taka jego natura.

Podobnie zachował się Putin. Choć dla jego Rosji atak na Ukrainę to decyzja samobójcza, nie potrafił się opanować.

W biologii mówi się o naturze nie tylko poszczególnych osobników, ale też całych gatunków.

Natura człowieka kształtowała się przez co 315 tys. lat istnienia naszego gatunku, dwa-trzy miliony lat ewolucji rodzaju Homo i kilkadziesiąt milionów lat ssaków naczelnych. To dziedzictwo stanowi bagaż, którego dość nowe, ewolucyjnie racjonalne myślenie nie jest w stanie przezwyciężyć.

Człowiek ma naturę rabusia.

Nie jest to jakieś wielkie obciążenie. Osobniki każdego gatunku dążą do maksymalnej ekspansji w swoim ekosystemie. W szachu trzymają je jednak inne gatunki.

**Masa technosfery – wszystkich rzeczy
wytworzonych przez człowieka
– przekroczyła biomasę wszystkich
żywych organizmów**

Człowiek był jednak w stanie przekroczyć granice swojego ekosystemu. Blisko 60 tys. lat temu nasi przodkowie opuścili Afrykę. A potem dzięki pomysłowości – już w Eurazji 11,5 tys. lat temu – udomowili gatunki jadalnych roślin i zwierząt. Z przyrody wziętej we władanie człowiek mógł zaczerpnąć dużo więcej energii niż z dzikiej. Hektar uprawianej ziemi jest w stanie wyżywić 10-100 razy więcej pasterzy i rolników niż łowców-zbieraczy utrzyma hektar dziczy.

Efekty znamy. To kolejne przełomy, w tym rewolucja przemysłowa sprzed 272 lat, która pozwoliła nam skorzystać z jeszcze większej ilości energii (ukrytej w węglu, ropy i gazie). A także wzrost liczby ludzi z kilkunastu milionów do blisko ośmiu miliardów oraz zagospodarowanie jednej trzeciej powierzchni lądów pod uprawy i hodowlę zwierząt.

Pod koniec 2020 roku masa technosfery – wszystkich rzeczy wytworzonych przez człowieka – przekroczyła biomasę wszystkich żywych organizmów.

Racjonalnie, tempo antropocenu – epoki człowieka, w której żyjemy od połowy XX wieku – jest nie do utrzymania. Żyjąc w syste-

mie zamkniętym, jakim jest pędząca przez Kosmos Ziemia, nie możemy bez końca przerabiać biomasę w technomasę. Gdzieś napotkamy granicę wzrostu – tak jak napotyka ją bakterie żyjące na laboratoryjnej szalce Petriego.

W jednej z ciekawszych publikacji ostatnich lat uczeni obliczyli, że jeśli będziemy dalej w obecnym tempie przejeżdżać ziemski biokapitał, zostanie nam go na ledwie tysiąc lat – nierealistycznie zakładając, że będziemy w stanie zjeść wszystko, co żyje.

Te fakty słabo jednak się przebijają. Dlaczego?

Bo nasza natura nastawiona jest na krótkowzroczne zyski, osiągane dzięki zaciąganiu długoterminowych długów, które zostawiamy do spłaty kolejnym pokoleniom.

Racjonalne hamulce nie są w stanie zatrzymać „Titanica”.

Pierwszy z brzegu przykład – wszelkie próby ograniczenia ruchu samochodowego napotyka ją szalenie opór. Ludziom wydaje się, że mają święte prawo do zatruwania powietrza spalinami i hałasem, drobkami gumy z opon i opiłkami metali z klocków hamulcowych, a także do podgrzewania klimatu dwutlenkiem węgla. Do tego auto, a najlepiej dwa, to wyznacznik statusu. Szlachcic mógł patrzeć na chłopów z góry także dlatego, że siedział w siodle. Dziś szlachetnie urodzeni są kierowcy – im większych samochodów, tym lepiej się czują. Kto chciałby poczuć się chłopem?

Stąd wydarcie każdego kawałka przestrzeni miejskiej pod tereny zielone graniczy z cudem.

Choć znowu – racjonalnie rzecz biorąc, warto nasze miasta spieścić i zazielenić. Te, które się nie zmieniają, zmiany klimatu uciążliwie trudnymi do wytrzymywania.

Tam, gdzie rozum zawiedzie, mogą jednak pomóc uczucia. Bo ludzka natura nie składa się tylko z chciwości. Jest w niej także miejsce na poczucie piękna.

Polska zdaje się temu zaprzeczać – choć mamy piękną przyrodę, zagospodarowujemy nasz kraj obrzydliwie. Cóż, znajdujemy się w innej przestrzeni historycznej niż Wielka Brytania, która nie przeżyła porządnej inwazji od tysiąca lat, czy nawet Niemcy i Francja. Nasza kultura jest więc inna.

Ale poczucie piękna to cecha uniwersalnie ludzka i biologiczna, ukształtowana przez ewolucję. Przykładem nasze zamilowanie do symetrii i proporcji – w tym ludzkich twarzy i ciał.

A jeśli tak, to warto tę część człowieczej natury wykorzystać.

Zielone miasta są przecież piękniejsze niż te jak ponure kamieniołomy. Zresztą podświadomie wie o tym także nasza chciwa strona – domy w pobliżu zieleni są droższe od tych na betonowym ugorze.

No i ludzki zmysł wzroku jest szczególnie wrażliwy właśnie na zieleni. Sama ewolucja tak to urządziła. ●

FOT. GETTY IMAGES

W Lizbonie usiądziesz z kawą i ciastkiem
– za 1,5 euro, w Warszawie za 30 zł

DOLCE VITA DLA KAŻDEGO

Z **MARTĄ TRAKUL-MASŁOWSKĄ**
Z FUNDACJI NA MIEJSCU ROZMAWIA
EDYTA BRYŁA

U schyłku pandemii potrzebujemy wyjść znowu do ludzi. Włosi i Hiszpanie mają place, knajpki na każdym rogu. A my gdzie się instynktownie kierujemy?

– Tam, gdzie jest przestrzeń, która zamiast wykluczać, wklucza wszystkich. Bez względu na wiek, zamożność czy płeć.

Naturalnie takie miejsca dla nas to tereny rekreacyjne. Tłumnie jeździmy do lasów, parków. W tych stołecznych parkach są atrakcje, sporo się dzieje. Można tam się czuć dobrze, nawet idąc w pojedynkę. Samotna wyprawa do restauracji może być bardziej krępująca.

A Bulwary Wiślane?

– Oczywiście, choć osoby starsze czują się tam gorzej, choćby przez wymieszanie ruchu pieszego i rowerowego. Nie ma też sklepów, nie ma miejsc, gdzie można coś tanio zjeść. Ale można usiąść z własnym posiłkiem na schodkach.

Młodzi mają też infrastrukturę do ćwiczeń pod mostem Świętokrzyskim.

– To modelowe wykorzystanie przestrzeni, bo jest osłonięta przed deszczem, może być wykorzystywana do rekreacji cały rok. Można ćwiczyć za darmo, spotkać się. Dlatego to miejsce jest taką żywą przestrzenią.

Moim ulubionym rozwiązaniem są też arkady. Osłonięte dachem, są odpowiedzią na wiele potrzeb i warunki pogodowe. Świetne miejsce, by przysiąść, odpocząć. We Włoszech i Hiszpanii to drugi, po placach, najczęściej wykorzystywany typ miejsca.

Nie trzeba siedzieć godzinami, czasem wystarczy, że można przysiąść na murku, odpocząć. Właśnie takie przysiadalne miasta są sprzyjające wspólnemu przebywaniu. W Warszawie mamy arkady między pl. Konstytucji a Zbawiciela, ale mało się tam dzieje.

Wykluczone często czują się osoby starsze. Nie tylko ze względu na bariery architektoniczne, ale także np. dostępność toalet, z których korzystać muszą częściej. Z badań wynika, że wiele osób nie wychodzi z domu, jeśli wie, że na trasie nie będzie toalet.

Jak sobie radzą ci ludzie, jeśli muszą wyjść?

– Wypracowali sobie strategie, niestety szkodliwe dla zdrowia. Na przykład na kilka godzin przed wyjściem nie jedzą albo nie piją.

Bierzemy udział w projekcie Toilet4me, którego liderem jest politechnika w Wiedniu. Projektowana jest toaleta dla osób z ograniczoną mobilnością, z której łatwo jest wstać dzięki specjalnym mechanizmom, ma wmontowany bidet i jest samoczyszcząca.

To pomoże?

– Gęste usianie toalet byłoby bardzo drogie, więc zachęcamy do udostępniania już istniejącej infrastruktury w ramach akcji #załatwtonamieście. Chodzi o toalety w knajpach, urzędach czy bibliotekach. Można się do nas zgłosić, a wyślemy naklejkę do oznaczenia miejsc, w których można bezpłatnie skorzystać. To odpowie na potrzeby nie tylko osób starszych, ale też rodzin z dziećmi czy dla kobiet. Choćby dlatego, że częściej mają problemy z nietrzymaniem moczu.

Ale wyklucza też status materialny.

To znaczy?

– Przybywa przestrzeni, które są niby wspólne, ale poczuć się tam można dobrze tylko wtedy, gdy planujemy wydawać pieniądze. To miejsca nieraz powstałe w wyniku rewitalizacji, w Warszawie np. Centrum Praskie Koneser, Browary Warszawskie, Hala Koszyki czy Fabryka Norblina. Niby każdy może przyjść, ale to przestrzenie wykluczające dla tych, których nie stać na drogie sklepy i kawiarnie. I trudno się tam poczuć dobrze, jeśli nie jest się elegancko ubranym.

Wysokie ceny w kawiarniach są dość znamienne dla Polski.

– W Lizbonie mogę iść na kawę i ciastko za 1,5 euro. W Polsce zapłaciłabym kilkakrotnie drożej. To jedna z przyczyn, dla której nie ma u nas zwyczaju przesadywania w kawiarniach z sąsiadami. W krajach południowych drogie restauracje też są, ale obok nich stoją stragany czy stoiska z kurydzą z grilla, lodami. Dzięki temu ulice przyciągają ludzi bez względu na status społeczny.

W Polsce te przestrzenie niby-wspólne powstają często w biedniejszych częściach miasta i wykluczają sąsiadów, których nie stać, by tam przebywać. Nie pasują do otoczenia.

Są też takie, które są prywatne, a udają publiczne. „Guardian” opisał ten problem w Londynie. Prywatne firmy, zwykle potężni inwestorzy inwestycyjni, przejmują place, przestrzenie publiczne i niby udostępniają je dla wszystkich, a de facto istnieje lista zakazów, których nie byłoby w prawdziwej przestrzeni wspólnej. Na przykład z jednego z placów na Canary Wharf wy-

proszono uczestników protestu antykapitalistycznego.

Na co dzień to teoretycznie przestrzeń, w której każdy może usiąść na ławce, zjeść lunch. Ale w niektórych miejscach zabronione jest nawet robienie zdjęć. Co ciekawe, listy zakazów są utajnione i o przepisach dowiemy się dopiero, gdy go złamiemy. Na przykład gdy zaśniemy na trawniku.

Dlaczego zakaz spania na trawniku jest szkodliwy?

– Bo to niedemokratyczne. Może się okazać, że większość miasta nie należy już do mieszkańców, a do prywatnych właścicieli.

A my musimy mieć prawdziwe miejsca spotkań. Kryzysy idą z wielu stron, a samotność staje się chorobą cywilizacyjną. To ważne, żebyśmy mieli miejsca, gdzie jest nam dobrze razem, bo miasta będą się zapełniać. Będzie migrować coraz więcej ludzi ze względów klimatycznych, przez wojnę.

Jak moglibyśmy się integrować we wspólnej przestrzeni?

– Na pewno pytanie, co robić w przestrzeni publicznej w obcym kraju, nie jest pierwszym osobą, która ucieka przed wojną. Ale za jakiś czas potrzebne będą pomysły, jak włączyć nowych sąsiadów do wspólnoty.

Patrząc właśnie na zdjęcia przepięknej szkoły w Czechach, gdzie dzieci dostały ogrody do wspólnej uprawy warzyw i owoców. To piękny pomysł na działanie skupiające. I nie tylko w ramach zabawy, bo przecież będą z tego plony, pożywienie.

Dlatego powstawanie ogrodów społecznościowych na każdym osiedlu powinno być szeroko zakrojoną akcją. Miałaby taką zaletę, że do ich wspólnej uprawy nie jest potrzebna dobra znajomość języków, więc obcokrajowcy mogliby się łatwo włączyć.

Do klasy moich dzieci dołączają ukraińscy koledzy i koleżanki, którzy są świetni z matematyki. Okazała się wspólnym językiem, który wszyscy rozumieją. Uprawa warzyw też byłaby takim wspólnym językiem.

Jak się zabrać za taki ogród?

– W Warszawie kilka już jest, więc można się wymieniać wiedzą. Miasto prowadzi fajny projekt Miejsc Aktywności Lokalnej (MAL) i niektóre organizują ogródki społecznościowe. To miejsca sąsiedzkich spotkań: można wypożyczyć narzędzia, poradzić się fachowego ogrodnika. Sadzi się głównie warzywa, potem można się dzielić plonami.

Wspaniały jest ogród na warszawskim Jazdowie, gdzie społeczność wspólnie uprawia warzywa, jest kuchnia, gdzie moż-

na razem ugotować kolację. Byłam zaskoczona, jak okazały się plony. Nie jest tak, że po roku pracy dostaje się dwa pomidory.

Jest nawet piec do pizzy, są duże, biesiadne stoły, do których można zaprosić przyjaciół. To otwarte miejsce, jak w parku.

Sposobem na przetrwanie dla tych, którzy nie mogą uciec do domu z ogrodem za miastem, jest ogród w mieście.

– Żywność drożeje, pieniądze mamy mniej. Chcemy mieć zdrowe jedzenie i potrzebujemy być z innymi.

Jazdów może być wzorem i laboratorium tworzenia wspólnot. Gdyby miasta miały program, podeszły do ogrodów systemowo, oddało nieużytki pod uprawy, zmiana byłaby realna, na stałe. Potrzeba nam w samorządach ogrodnika wizjonera.

Wspominała pani o naturalnych placach zabaw.

– Tworzyli je z nami i z warszawskim Zarządem Zieleni mieszkańcy osiedli, na przykład z drzewa z przycinek drzew po wichurach. Miasto ma magazyny takich odpadów.

Najpierw były warsztaty dla dzieci, na których powstały projekty, potem realizowali je dorośli. To bardzo proste rzeczy: pieńki do chodzenia, kryjówki z gałęzi, norki, poczta na sznurku jak w Bullerbyn z książki Astrid Lindgren.

Zaangażowanie mieszkańców było niebywałe. Ogrody powstały w kilka dni, ludzie poznawali się tam i chętnie spotykali. To przykład, jak działać wspólnotowo i to przy bardzo niskich kosztach.

To kluczowe, by zaangażowało się miasto.

– Kopenhaga, pogodowo nie najciekawsza, nie stała się rowerowa z naturalnego pociągu Duńczyków do jazdy rowerem. Samorząd podjął decyzję o budowie infrastruktury rowerowej na wielką skalę, więc wszyscy jeżdżą rowerami. Bardzo wiele zależy od naszych decydentów, urbanistów. ●



341/76989

1 RP

Cyfrowym okiem. Tylko dla orłów

NIE MA BEZPAŃSKICH BITCOINÓW

Blockchain? Klucz? Kopanie? My też nie rozumiemy.
Krótki przewodnik po najciekawszej walucie świata

Wojciech Cellary*

Bitcoin, ponadnarodowa cyfrowa kryptowaluta, jest fenomenem naszych czasów, prawdziwym czarnym lądziem rynków finansowych, którego nikt nie przewidział. Wartość bitcoina od zera doszła do 60 tys. dol., by aktualnie spaść do ok. 31 tys. Ponieważ liczba bitcoinów jest ograniczona do 21 mln, to przy tej cenie ich sumaryczna wartość wynosi około 650 mld dol. To mniej więcej sześć razy tyle, ile wynoszą roczne dochody budżetu państwa polskiego. Szacuje się, że 28 mln ludzi posiada bitcoiny.

Jednak jak to się dzieje, że za bitcoinem nie stoi żadna instytucja, nie podlega żadnemu państwu, bankowi ani korporacji, jest rozproszony na ok. 13 tys. komputerów na całym świecie, nie ma centralnego serwera zarządzającego i jest praktycznie niemożliwy do zhakowania?

Bitcoin ma za fundament łańcuch bloków (ang. blockchain), w których są zapisane transakcje płatności bitcoinami. Z kolei łańcuch bloków wykorzystuje dwie techniki kryptograficzne: funkcję skrótu i cyfrowy podpis.

Funkcja skrótu zamienia dowolny dokument cyfrowy na 256-bitową liczbę zwaną „skróttem”. Ma ona taką właściwość, że jeśli zmieni się choćby jeden bit w dokumencie, to wygeneruje zupełnie inny skrót. Można dzięki temu wykryć, czy ktoś sfalszował ten dokument.



Cyfrowy podpis wiąże się ze szczególnym rodzajem szyfrowania. Wyobraźmy sobie drzwi z zamkiem, do którego są dwa różne klucze – zupełnie niepodobne do siebie. Ten zamek jest taki dziwny, że jeśli zamknie się go jednym kluczem, można go otworzyć tylko tym drugim. Nie można go otworzyć tym kluczem, którym się go zamknęło.

Każdy, kto chce się cyfrowo podpisać, ma takie dwa klucze kryptograficzne. Jeden z nich jest jawny i publiczny – można go podać całemu światu. Drugi jest prywatny i tajny – właściciel nikomu nie może go udostępnić, jeśli nie chce dopuścić do fałszerstwa lub kradzieży.

Cyfrowy podpis polega na tym, że z podpisywanego dokumentu tworzy się skrót, szyfruje go przy użyciu swojego klucza prywatnego i dołącza do dokumentu. Każdy może teraz sprawdzić, czy dokument nie został sfalszowany. W tym celu należy odszyfrować załączony skrót kluczem publicznym osoby podpisanej, który jest jawny, utworzyć własny skrót z dokumentu i je porównać. Jeśli są takie same, to dokument nie został sfalszowany.

Bitcoin uważa się za cyfrową gotówkę, ale tak naprawdę to jest system księgowy.

Każdy bitcoin i każda jego część jest przypisana do właściciela – nie ma bezpiecznych bitcoinów. Płatność bitcoinami polega na zarejestrowaniu transakcji, w której obecny właściciel bitcoina lub jego części, identyfikowany pseudonimem zawierającym jego klucz publiczny, przekazuje prawo ich własności komuś innemu, również identyfikowanemu pseudonimem z jego kluczem publicznym. W transakcji jest podane, skąd obecny właściciel bitcoinów je wziął, czyli są podane identyfikatory transakcji, w których ktoś mu je przekazał.

Dzięki temu można prześledzić drogę każdego bitcoina i jego części od powstania do obecnego właściciela, przy czym właściciele nie są identyfikowani imieniem i nazwiskiem, tylko pseudonimami. Mamy więc do czynienia z pełną transparentnością operacji finansowych bitcoinami, ale na poziomie pseudonimów.

Każda transakcja jest podpisana cyfrowo przez aktualnego właściciela bitcoinów, więc nie można jej zmienić. Po zarejestrowaniu transakcji tylko wskazany w niej odbiorca bitcoinów identyfikowany pseudonimem ze swoim kluczem publicznym może je wydać, bo tylko on ma klucz prywatny od pary, którym może podpisać cyfrowo

Jeśli ktoś ma wyspecjalizowany komputer wykonujący 1 bilion (10^{12}) skrótów na sekundę, to jest w stanie znaleźć rozwiązanie średnio co 59 dni. Dla porównania: dobry komputer osobisty może obliczyć ok. 10 mln (10^7) skrótów na sekundę. Ale jeśli ktoś ma dużo szczęścia, to może odpowiedni niuans znaleźć od razu. Tę czynność poszukiwania właściwego niuansu nazywa się kopaniem, a ludzi, którzy się tym zajmują – kopaczami.



Kopacze rozproszeni po całym świecie nie pracują za darmo. Za dołączenie bloku do łańcucha otrzymują nagrodę w bitcoinach, która pochodzi z dwóch źródeł. Po pierwsze, z opłat za transakcje – w każdej transakcji jest zawarta opłata dla kopacza. Po drugie, z nowych bitcoinów tworzonych z niczego w każdym bloku dołączonym do łańcucha.

Liczba nowo tworzonych bitcoinów w każdym bloku zmniejsza się o połowę co 210 tys. bloków. Zaczęło się od 50 bitcoinów, a obecnie jest 6,25 bitcoina. Nagroda kopacza jest całkiem spora. Przy cenie

Właściciel bitcoinów jest tak bezpieczny jak jego klucz prywatny. Jeśli go zgubi lub zapomni, nigdy nie wyda swoich bitcoinów

następną transakcję przekazania własności bitcoina lub jego części komuś innemu.



Transakcje są grupowane w bloki. W jednym bloku może być od kilku do kilku tysięcy transakcji. Bloki są ze sobą połączone w łańcuch. To znaczy, że każdy blok ma swojego rodzica, który ma swojego rodzica itd., aż do pierwszego bloku utworzonego na samym początku. Bloki mają nagłówki i są identyfikowane skróttem nagłówka.

Jednym z elementów nagłówka jest skrót rodzica. To jest bardzo mocne zabezpieczenie, bo gdyby ktoś zmienił cokolwiek w jakimś bloku w środku łańcucha, np. sfalszował transakcję, to zmieniłby się skrót nagłówka tego bloku, co wymagałoby zmiany skrótu nagłówka bloku dziecka, bo w nagłówku bloku dziecka jest zapisany skrót rodzica, co z w konsekwencji wymagałoby zmiany skrótu bloku wnuka itd.

Obliczenie skrótu nagłówka jest jednak bardzo trudne, bo musi on spełniać określone warunki. Wymaga się np., aby taki skrót miał 60 zerowych bitów na początku. Aby to osiągnąć, modyfikuje się w nagłówku bloku element zwany „niuanssem”, oblicza skrót nagłówka i sprawdza, czy ma 60 zer na początku. Jeśli nie, to znowu modyfikuje się niuans itd.

31 tys. dol. za bitcoin 6,25 bitcoina jest wartość prawie 200 tys. dol. Do tego dochodzą opłaty za transakcje, więc nagroda za blok może sięgnąć 250 tys. dol.

Oczywiście z tych pieniędzy trzeba pokryć koszty energii elektrycznej i wyspecjalizowanych komputerów, ale i tak nagroda jest pokaźna. Kopacze zaciekle rywalizują więc ze sobą, zatem nowy blok jest średnio wykopywany co 10 minut, czyli co taki okres ktoś staje się bogatszy o 300 tys. dol., które dla niego zarabia jego komputer.

Łańcuch bloków bitcoina jest powielony na 13 tys. komputerów nazywanych „pełnymi węzłami”, rozsiadanych po całym świecie. Dlatego jest tak bardzo odporny na różnego rodzaju możliwe ataki. Istotna jest jednak synchronizacja danych na tych komputerach, aby każdy zawierał dokładną kopię łańcucha bloków.

Każda nowa transakcja, która pojawi się w sieci, jest rozsyłana do kolejnych pełnych węzłów na zasadzie podaj dalej. Każdy węzeł niezależnie weryfikuje ją, w szczególności sprawdza, skąd właściciel bitcoinów je wziął. Następnie grupuje otrzymane transakcje w blok, wpisuje do jego nagłówka skrót ostatniego bloku w łańcuchu i zaczyna kopać, czyli szukać odpowiedniego niuansu. Jeśli z trakcie kopania przyjdzie do niego nowy blok wskazujący na tego samego rodzica, pochodzący od innego kopacza, to znaczy, że przegrał rywalizację i nie dostanie nagrody. Niezrażony sprawdza, których transakcji nie ma jeszcze w blokach, znowu tworzy z nich blok, wskazując na aktualny



Tajemniczy Satoshi Nakamoto, który podobno jest twórcą bitcoina, wystosował wezwanie: – Hakerzy z całego świata, nawet nie próbujcie zhakować bitcoina, bo to się wam nie uda. Zamiast tego zapraszam was do zabezpieczania go przez kopanie, a ja wam zapłacę pobieranymi opłatami i bitcoinami emitowanymi w każdym bloku bez jakiegokolwiek banku centralnego. Połączenie emisji pieniądza z bezpieczeństwem jest wielką innowacją bitcoina.

Często pada pytanie: czy bitcoin jest bezpieczny? Jak wynika z powyższego – tak, bardzo. Ale właściciel bitcoinów jest tak bezpieczny jak jego klucz prywatny. Jeśli go zgubi lub zapomni, nigdy nie wyda swoich bitcoinów, które pozostaną w łańcuchu do końca świata. Jeśli pozwoli go sobie ukraść, to złodziej może wydać jego bitcoiny, a on nie będzie się miał nawet komu poskarżyć. Komputer łyż nie uroni. ●

***prof. Wojciech Cellary**

• Specjalista w dziedzinie nowych technologii, pracuje w Wyższej Szkole Bankowej w Poznaniu.

WIOSŁUJ, IGA!

**Czy rzeczywiście dominacja polskiej tenisistki
potrwa na kortach lata?**

Radosław Leniarski

Widok zwinętej na ziemi w precelek, szlochającej Igi Świątek po zwycięstwie w turnieju w Rzymie przypomniał mi jej reakcję po triumfie w Rolandzie Garrosie w 2020 r. Była wtedy znacznie bardziej stonowana, a przecież, jak sędzę, powinno być odwrotnie.

Dwa lata temu w Paryżu po zwycięskim forhendzie w róg kortu Świątek przyklękała na chwilę, oparła się o rakietę, pokręciła głową z niedowierzaniem i już po sekundzie, dwóch podskoczyła do rywalki z uśmiechem, kręcąc głową na znak niedowierzania. Czy nie powinna zwijać się w spazmach euforii, szaleć ze szczęścia, płakać dziękczynnymi łzami? Wygrała pierwszy turniej w karierze i od razu wielkoszlemowy. Stała się triumfatorką o najniższym rankingu od czasu wprowadzenia klasyfikacji WTA w 1975 r. Była najmłodszą zwyciężczynią kobiecego singla od 1992 r., gdy turniej w Paryżu wygrała 18-letnia Monica Seles. Od czasów Steffi Graf, triumfatorki w 1988 r., żadna zwyciężczyni w Paryżu nie oddała po drodze mniej gemów. I jeszcze te zawrotne pieśniadze – nastolatka z Raszyna (uwielbiają media podkreślać, że Iga pochodzi z miasteczka pod Warszawą) zarobiła we Francji 1,6 mln euro. Powinna być w dzikiej ekstazie, ale nie była.

SZTUKA POWTARZALNOŚCI

Tymczasem w Rzymie? Co w Rzymie? Powtórzyła po prostu sukces sprzed roku. Ba, wtedy był znacznie bardziej imponujący. W 2021 r. rozegrała w finale mecz ideal. Karolína Plíšková, czeska zawodniczka ze ścisłej czołówki, w czasie 46 minut była jak nieruchoma rzeźba bezradności. Świątek oddała rywalce tylko 13 punktów. Wygrała 6:0, 6:0. A teraz? W niedzielę zakończyła zwycięstwem 6:2, 6:2 w finale piąty turniej serii WTA Tour w tym roku i zarazem wygrała 28. mecz z rzędu. Owszem, zagrała kilka cudownych pitek, zwłaszcza w drugim secie, kiedy Ons Jabeur stawiała większy opór. Owszem, jest to wynik imponujący – te 28 zwycięstw. Ale zarazem spodziewany akurat w tym meczu. Skąd więc lzy? Dlaczego potrzebowała dobrych kilku minut, aby się uspokoić po ostatniej piłce, dlaczego płakała na korcie, na ławeczce dla zawodniczek, gdzie zakryła twarz ręcznikiem, lzy spod niego wypływały, i uroczystość wręczenia nagród się chwilę opóźniła. W wywiadzie na gorąco, jeszcze na korcie, mówiła: – Pierwszy raz miałam taką reakcję po zwycięstwie. Mam nadzieję,

że zdjęcia wyszły dobrze, bo byłam bardzo zapłakana.

Pytanie o różnicę w zachowaniu i w emocjach wydaje się błahe, ale nie jest, to złudzenie. Prowadzi bowiem, moim zdaniem, do odkrycia sposobu myślenia wybitnego sportowca, sposobu całkowicie różnego od tego, co zwykły obywatel ma w głowie na swój temat oraz na te-

dla portalu Sport.pl, w którym szykowała się do startów w sezonie 2019, po zwycięstwach w juniorskim Wimbledonie w singlu, na Rolandzie i młodzieżowych igrzyskach olimpijskich w deblu. – Rzym to jest dla mnie takie: wow! – powiedziała z charakterystycznym gestem dłoni, jakby ten Rzym jej głowę wysadzał w powietrze.

CZŁOWIEK JAK HUSKY

Sportowcy mniej doceniają jednorazowe wyskoki, bo mogą być funkcją przypadku. We Francji w 2020 r. toczył się turniej dziwny, w pandemii, przesunięty o kilka miesięcy, bez kilku czołowych zawodniczek, kilka innych – w tym Serena Williams – zaskakująco odpadło już w pierwszej fazie turnieju i do trzeciej rundy awansowało zaledwie 13 z 32 rozstawionych tenisistek. W sporcie nie jest najważniejsze, aby coś wygrać i zniknąć z zasięgu wzroku rywali. Cieszą się oczywiście, gdy osiągną nieoczekiwany sukces, w końcu triumfem w Rolandzie Garrosie Świątek na zawsze zapisała się w historii tenisa, ale bardziej imponują im osiągnięcia o trwałym charakterze, powtarzalne. Być może właśnie dlatego różnica w reakcji na finałowy triumf w turnieju wielkoszlemowym w Paryżu i dużym, ale jednak pobocznym turnieju w Rzymie była kontrintuicyjna. Ale dla Świątek – naturalna.

Gdy o tym dłużej pomyśleć, można dojść do wniosku, że w tego rodzaju postawie Igi względem sukcesu musi być ślad ojca – sportowca, olimpijczyka. Nawet nie chodzi o to, że z domo-

wych opowieści Iga na zawsze zapamiętała wspomnienie, jak w Seulu stał w kolejce na stolówce między Steffi Graf a Gabriellą Sabatini, wielkimi tenisistkami lat 80. i 90. Chodzi o przekazanie dziecku podejścia do sportu, które co prawda nie gwarantuje sukcesu – sport pod tym względem jest najbardziej bezwzględny obszarem życia – ale znacznie zwiększa szansę.

Tomasz Świątek był wiosłarzem. Mało jest sportów wymagających większej pracy i konsekwencji niegwarantującej sukcesu. Widziałem to, widziałem Świątkę i jego kolegów harujących w Walcu na wodzie. Kajakarze (jakim i ja wtedy byłem) i wiosłarze korzystali z tego samego akwenu, toru, czasem utyskiwali na siebie, zwłaszcza kajakarze zlorzeczyli, bo zawsze musieli wiosłarzom ustępować („Jak można nie widzieć, gdzie się płynie!”).

Wiosłarze to sportowcy o największym VO₂ max w sporcie – to wskaźnik używany w fizjologii wysiłku, pokazujący obiektywnie harówkę, jaką muszą codziennie wykonać, aby go uzyskać (a tego wymaga rywalizacja w wiosłarstwie). Źródła mówią o rekordowych w sporcie wartościach ponad 90 ml, czyli tyle mililitrów tlenu jest w stanie przyswoić organizm w czasie minuty maksymalnego wysiłku w przelicyzowaniu na kilogram masy ciała. Zbliżone wartości osiągają kolarze i biegacze narciarscy.

To wynik, który najbardziej zbliża organizm człowieka do psów husky, tych harpaganów z wielodniowych wyścigów zaprzęgów.

Chodzi mi o to, że w wiosłarstwie nie możesz iść na imprezę przed treningiem, bo nie masz nastroju. Nie odpuszczasz sprawdzianu, po którym wiesz, że się zrzygasz z wysiłku, a i to może nie dać ci najlepszego wyniku w grupie. Nie możesz tego zrobić, bo twój organizm nie przebaczy ci zawodu, jaki mu sprawiłeś, i zemści się w wyścigu w krytycznej chwili.

W osadzie Świątkę coś poszło nie tak na igrzyskach w Seulu, zawiódł jeden lub kilka elementów, o czym żaden członek załogi nie chce teraz mówić. Czwórka miała uzasadnione nadzieje na medal, ale w przedbiegach była czwarta, przegrywając z Węgrami, choć miała sekundę przewagi po 1500 m wyścigu (wiosłarze ścigają się na dystansie 2000 m). W repesażu prowadziła, ale na ostatnich metrach spadła na drugie miejsce. W półfinale znów zawiódła w krytycznym momencie finiszu. Nie weszła do finału. Wygrała finał B w czasie, który dałby jej brązowy medal.

Iga nie wiedziała tego wszystkiego, kojarzyła tylko, że start nie zakończył się sukcesem, a ojciec przekazał jej coś

mat tego, co się wokół niego dzieje. Kiedyś zapytałem maratończyka o jego rekord życiowy. – 2 godz. 21 min – odpowiedział niezadowolony z tych liczb i zignorował moje cmoknięcie z zachwyty. Zapytał o mój. – 3 godz. 41 min. – O cholera, szacunek, stary, nie dałbym rady tak długo biec – stwierdził poważnie.

My, zwykli, myślimy inaczej niż oni. Na przykład dla Świątek – numeru 1 na świecie, odkąd ze sportu wycofała się Ashleigh Barty – ranking, o którym głośno trąbiły media w całej Polsce, liczy się o tyle, że potwierdza stałą wysoką formę. Sam w sobie jest do zignorowania i w żadnym wypadku nie jest osobnym celem do osiągnięcia. W sporcie są ważne inne sprawy. Wśród nich konsekwencja. Powtarzalność. W Rzymie Świątek powiedziała, że emocje o bardzo wysokiej intensywności wzięły się stąd, że po raz pierwszy obroniła jakiś tytuł. W symboliczny sposób zamknęło się koło kariery i teraz – jak koło zamachowe – napędza się do mocniejszego obrotu. Stało się to akurat w Rzymie. Pamiętam wywiad sprzed czterech lat



Ojciec czasami siłą zabierał Igę Świątek na korty. Ale przekazał jej pewną myśl, którą przekazać może tylko wioślarz

ważniejszego niż historię o niespełnionej nadziei. Wygląda na to, że skupił się na przekazaniu podstawowych przykazań sportu, wyniesionych z trudnego i niewdzięcznego kręgu wioślarstwa. Że trzeba być konsekwentnym do końca, do mety, do ostatniej piłki. No i że lepiej postawić na sport indywidualny, gdzie ma się największy wpływ na swoje życie sportowe i nie jest się zależnym od partnerów (a również, że lepiej postawić na taki sport, w którym są duże pieniądze, a nie stypendium od ministra sportu).

ROBIMY PO SVOJEMU

Nie obyło się bez protestów, na które rodzice pchający dzieci do sportu są przygotowani. Iga wspominała, że czasem ojciec siłą zabierał ją i siostrę Agatę na korty. Jak często bywa w rodzinach tenisowych – choć nie zawsze – starsza siostra była po prostu rodzajem poligonu doświadczalnego, a sprawdzone w jej przypadku metody ojciec zastosował w sportowym wychowaniu młodszej. Aga skończyła z tenisem w wieku 16 lat. Świątek jako tenisowy ojciec przecierał szlak sam, zupełnie jak inni tenisowi ojcowie w Polsce. – Radwańscy też nie mieli wzoru. Gdybyśmy mieli u nas w Polsce jakąś szkołę mistrzów, wiedzielibyśmy, jak prowadzić dzieci. A tak nie wiemy i robimy po swojemu – mówił w wywiadzie dla Eurosportu w 2019 r.

Dodałbym tu, że robili po swojemu z wioślarskim podejściem, protestanckim w swojej surowości do pracy. Być może z tego podejścia wynika tenisowy styl Igi Świątek i sposób, w jaki się rozwija.

Ale nie dokonuje się tu jakiś wiekopomny przełom. Już cztery lata temu były tenisista, teraz trener i komentator Lech Sidor zauważył, że Iga ma „ciężki” tenis, czyli dorosły, i dzięki temu górowała potencjałem nad subtelną z konieczności, wyrefinowaną z konieczności, bo drobniejszą Agnieszką Radwańską. Że jej siła i szybkość spowodują, że – po udoskonaleniu techniki, złapaniu doświadczenia – będzie potrafiła narzucić warunki gry z głębi kortu. Ona sama nie miała wątpliwości. – Jestem świadoma tego, że dobrze gram. Jedno, co mi może przeszkodzić [w odniesieniu sukcesu], to że będę się bała nowych wyzwań. Ale na razie nie zapowiada się na to – powiedziała w wywiadzie w 2018 r.

Kiedy po triumfie w Rolandzie Garrosie, po awansie w rankingu WTA, po innych sukcesach 2020 i 2021 r. postanowiła zmienić trenera – i faktycznie został

nim były trener Agnieszki Radwańskiej Tomasz Wiktorowski – kibice, dziennikarze i eksperci doszukiwali się, co też nowy szkoleniowiec zmienił w grze Świątek, że zaczęła seryjnie wygrywać. Jedną z osób, które uważały, że zmienił wszystko i zarazem nic, był Wojciech Fibak, wspaniały tenisista lat 70. i 80. Jego opinia jest znacząca, bo Fibak widział niejedną nastoletnią tenisistkę i nastoletniego tenisistę pnących się na szczyt. Kiedyś powiedział mi, że przy oglądaniu gry młodego Johna McEnroe’a czuł się jak Salieri przy Mozarcie.

Postęp polega na drobnych zmianach, które się kumulują – twierdził Fibak. – Są niewielkie i dokonują się powoli. Sama ich dokonuje, ale jednak przy udziale ekipy, trenera. Widzę, jak zmienia się jej bekhend [forhend to uznana broń Świątek, co do której rywalki mają olbrzymi respekt]. Stał się zachwycający, jak u mojego rywala i postaci nr 1 moich czasów Jimmy’ego Connorsa. Pewność bekhandu stała się największą zmianą techniczną. Iga gra tak jak wcześniej. Kiedyś nawet bardziej ryzykowała. Wypominano jej, że gra na jedno uderzenie. Przy czym trzeba tu uściślić, że w kobiecym tenisie ofensywna gra nie oznacza, że ktoś biega do siatki. Iga grała ofensywnie z głębi kortu i na szalonych papierach – mówił mi Fibak.

I faktycznie, w ostatnim wywiadzie dla magazynu „The Racquet” mówiła: „Za-

wsze chciałam być zawodniczką, która gra solidnie top spinami z głębi kortu i tam [na końcowej linii] pozostaje. Nigdy nie chciałam uderzać i obserwować, czy piłka trafi w kort, czy poza kort. Wygrywałam ci, którzy atakują i prowadzą grę. Ekipa przekonała mnie, abym to rozwijała, przy czym było mi łatwiej ze względu na to, że lubię tak grać”.

Krótko mówiąc, Świątek trochę mocniej i precyzyjniej uderza niż przed dwoma laty i przed rokiem, trochę solidniej i dokładniej serwuje, trochę aktywniej i z większym wyczuciem reaguje na to, co robi rywalka, odrobinę lepiej returnuje. Podczas finału w Rzymie komentatorki i komentatorzy Canal+ słusznie stwierdzali, że Iga ma teraz najlepszy return na świecie. Ale 60 procent wygranych piłek returnowych – kapitalny wynik! – miała już w tamtym wygranym finale z Sofią Kenin w Paryżu w 2020 r. Wciąż utrzymuje ten niebotyczny poziom.

„A NIBY ZROBIŁAM WSZYSTKO...”

I w sumie wszystkie małe zmiany na wielu polach inicjują reakcję łańcuchową, gra Świątek przyspiesza jak w akceleratorze cząstek elementarnych. Polka wywiera presję na rywalce, a przeciwniczka kruszy się i pęka. Stąd, moim zdaniem, ostatnich kilka zwycięskich meczów przy porządnym oporze rywalki w pierwszym secie i zdecydowanym załamaniu oporu w drugim. Ten efekt był doskonale widoczny w niedzielnym finale w Rzymie, gdy w siódmym gemie drugiego seta Polka przy własnym serwisie przegrywała 0:40, ale go obroniła. Obie grały swój najlepszy tenis, na najwyższym poziomie, obie używały swoich najlepszych broni, biegając jak oszalałe tam, gdzie rywalka rzuciła piłkę – najczęściej zaskakującą. – Był to najważniejszy gem meczu, szczerze mówię – stwierdziła potem Ons Jabeur. – Wydawało mi się, że zrobiłam wszystko, żeby Iga odwiedziła każdy róg kortu, ale ona cały czas już tam była.

W następnym gemie Polka przełamała rywalkę i skończyła mecz.

Trzeba mieć do tego talent, pewność siebie. Wiarę we własne możliwości i piekielną wolę wygrania, nawet nie meczu, ale każdej, każdziutkiej piłki, każdego starcia. Potrzeba uważnego spojrzenia na rywalkę, ocenienia jej możliwości i uderzenia. Magazyn „Tennis” dostrzegł, że rywalka w Rzymie miała plan, i to całkiem dobry. Tylko – jak zauważa reporter fachowego magazynu – z Igą jako rywalką jest tak jak w walce bokserskiej z mistrzem wagi ciężkiej: każdy ma plan, dopóki nie dostanie w szczękę.

Gdy teraz Iga dochrapała się numeru 1 w rankingu WTA, o wiarę we własne siły, w umiejętności jest łatwiej, no, ale trzeba było się jakoś na ten szczyt dostać.

Z pewnością do takiego obrotu sprawy przyczyniła się praca psycholożki Darii Abramowicz, która od lat jest w ekipie zawodniczki. Jak duży udział ma psycholożka w rozwoju i sukcesie Świątek, trudno ocenić. Z własnego doświadczenia wiem, że gdy sportowiec ma dobrą formę fizyczną, to i psychiczna forma jest wysoka, oraz że formą psychiczną meczu się nie wygra – to stare sportowe prawdy. Tenis jest jednak sportem, w którym rywalki stają naprzeciwko siebie w bezpośredniej walce i nikt z zewnątrz nie może im pomóc. Gra jest techniczna, precyzyjna odgrywa w niej najważniejszą rolę, w czasie meczu jest sporo zmian akcji, wahań nastroju, psychicznych zjazdów i euforii i w przeszłości, w takich złych momentach meczów, widać było kryzysy psychiczne Igi.

Abramowicz to kolejny dowód na niechęć do przełomowych zmian w ekipie, do rewolucji, gwałtownych zwrotów. Kiedyś trener Muhammada Alego, nieżyjący już dziś Angelo Dundee, powiedział mi, że trenowanie go było jak sterowanie myśliwcem. Muhammad w jednej chwili łapał wskazówkę i dostosowywał się. Cały wic polegał na tym – mówił Dundee – by Muhammad uwierzył w sens, a najlepiej, by nie tylko uwierzył w sens, ale i był przekonany, że jest współautorem pomysłu. Był piekielnie zmotywowany, chciał się rozwijać i być mistrzem. Tylko nie lubił być dyrygowanym.

O tym, że Iga za tym nie przepada, wiadomo dzięki kilku wywiadam. O tym, że jest piekielnie zmotywowana, widać nawet w jej mowie ciała. Spójrzcie na jej sylwetkę, gdy szykuje się do returnu – lekko pochylona, ugięte nogi, ręce szeroko wysunięte ciut do przodu – przypomina mi to sylwetkę zapaśnika szykującego się do założenia chwytu na rywala.

Fibak jest przekonany, że jej dominacja w kobiecym tenisie potrwa lata. Iga też jakby była co do tego przekonana. Oto wypowiedź z 2018 r.: – Chciałabym wygrać wszystkie Wielkie Szlemy i medal na olimpiadzie. Ranking nie jest dla mnie tak ważny.

Trzeba z uwagą podejść do tych słów. Z tego samego wywiadu: – Są 19-latk, które wygrywały w Wielkim Szlemie. To będzie mój cel.

Wygrała Rolanda Garrosa, mając 19 lat i cztery miesiące. ●



• **Boję się wrócić do filmu, który mnie poruszył najbardziej – „Pikniku pod Wiszącą Skalą” Petera Weira**
FOT. AFP/EAST NEWS



W cyklu „**Co mnie urzekło?**” opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

PIEŚŃ URZECZONEGO

Urzekła mnie dziewczyna odwrócona tyłem, bosa. Miałem wtedy 26 lat

Jarosław Mikołajewski

Urzeczenie rozumiem tak, jak każe mi moja dziecięca, prywatna etymologia: nadać kształt rzeki temu, co już we mnie jest. Nadać formę płynną temu, co we mnie wydaje się stałe, wzruszyć, co niewzruszone, rozpuścić, co lodowate...

Urzeczenie jest szczęściem i losem, szczęśliwym przekleństwem. Normy świata, w którym żyjemy, postulują stałość, trwałość. Co ma więc zrobić człowiek, który odkrywa, że prawdy, wartości płyną w nim, uciekając od nazw, z których próbowano zrobić nam kaganiec? Alda Merini, wielka włoska poetka, pisała: „ty chcesz mnie na zawsze, / lecz ja jestem nieciągła...”. „Błogosławieni, którzy jesteście w ruchu...”, dorzucił inny gigant poezji, Mario Luzi, do ośmiu błogosławieństw (dla cichych, ubogich w duchu...) to najwstydlwsze, najbardziej piętnowane, a przecież najbardziej przyrodzone człowiekowi...

Urzeczenie: oderwanie od stanów zastygłych. Nadanie formy rzeki wodzie, która śpi w stawie. Urzeczenie – zaskoczenie dla siebie i dla świata, który pozornie nas zna.

W 62-letnim już życiu urzekło mnie wiele zjawisk, rzeczy, zwłaszcza ludzi. Wszystkich nie pamiętam, nie pamiętam większości. Niektóre z zaistnień – bo o zaistnieniu wszak chodzi – układają się w grupy, kategorie. Fabrizio De André, śladem Georges’a Brassensa, śpiewa o dziewczynach i kobietach, obok których przeszedł w życiu i nie ośmielił się ich zatrzymać. Urzekły go. Przemieniły jego stałość, może obojętność, w rwący nurt, i tym nurtem porwały. Jedną spotkał w pociągu, drugą na ulicy, trzecią w kawiarni... Wszystkie łączy to, że do nich nie zagadał, że ich nie zatrzymał, nie ujarzmił codziennością, rytuałem związku.

Wszystkie pozostały wolne, przez co zachowały wieczną zdolność odżywiania za każdym razem, kiedy przejdzie tą samą ulicą, wejdzie do tej samej kawiarni, wsiądzie do pociągu... Rzeka płynie. Raz urzeczony nie przestaje płynąć. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej wody? Nieprawda. Wchodzi się, tylko na poziomie dawnego urzeczenia, zauroczenia, zachwytu. Pamięcią. Nieurczywistnieniem, które okazuje się trwalsze od urczywistnionego.

Pamiętam, jak urzekła mnie Wiosna ze Stabii. Flora w Muzeum Archeologicznym w Neapolu, przeniesiona tam spod Wezuwiusza. Odwrócona tyłem, w powiewnej sukni, idąca w lewo, odwrócona w prawo, zrywająca kwiat, który dołączy do już zerwanych, trzymanych w lewej dłoni w wazonie lub koszu. Dziewczyna w ruchu, bosa, której lewa stopa leży na ziemi, prawa unosi się lub osiada, w pół zgięta. Miałem wtedy 26 lat. Czy urzecz, rozpuść mnie i porwie urzeczonym nurtem teraz, kiedy jestem prawie o 40 lat starszy? Pytam, bo jutro lecę do Neapolu, i na pewno do niej pójde. Choć wcale nie wiem, czy powinienem. Bo czy powinno się wracać do urzeczeń? Woda jest wodą, pozostaje tym samym żywiołem, ale krople w niej są już inne. Inny jest ten, który do niej wchodzi. Czy straci siłę urzeczenia? Urok?

Urzeka mnie wiele, za wiele. Kiedy mnie to uwiera, przypominam sobie bezustanne urzeczenia Mickiewicza, powtarzam błogosławieństwo Luziego i poddaję się kolejnym...

Jednym z największych urzeczeń było bez wątpienia odkrycie siły muzyki zwanej klasyczną czy też poważną. W szkole pod-

stawowej kolega zaprowadził mnie do sklepu z płytami Supraphonu, chyba na Marszałkowskiej. Wszedłem i oniemiałem. Te instrumenty, dostojne twarze na okładkach, te nazwiska: Bach, Beethoven, Czajkowski, Vivaldi, Bartók, Borodin... Same były muzyką. Pamiętam, że instynktownie wybrałem Griega. „Peer Gynt”... Boże, co za zakłęcie, jakaż święta formuła... Od tej pory trwa urzeczenie. Niekolekcjonerskie, nieskatologowane (będąc nieciągłym, nie nadaję się do sumienności), niepodpierane solidną wiedzą na wyrywki. Poddane urzeczeniom,

które – owszem – bywają odnawiane, ale przecież ja jestem już inny, wydany na żer innym pasjom i doświadczeniom, innym nadziejom i beznadziejom. Był czas zauroczenia adagiem z V koncertu Beethovena, chaconne Bacha, „Stabat Mater” Vivaldiego, „Lamen-

tem Dydony” Purcella, nokturnami Chopina. Ten czas wciąż jest, ale w zmiennych pejzażach mnie samego, tego, co wokół, i tego, co we mnie. I jakkolwiek ja jestem, jakkolwiek byłby świat, jest wspólny rdzeń tych wszystkich urzeczeń, odsłuchań, przeżyć. Coś spina stany i poszczególne warstwy rozwarstwionego mnie. Ona. Ta, co mnie urzekła. Ta jedna w wielu.

Boję się wrócić także do innego źródła urzeczeń – do filmu, który mnie poruszył najbardziej. Chodzi o „Piknik pod Wiszącą Skalą” Petera Weira. Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz, w Światowidzie czy Kadrze (kto pamięta te kina?), poczułem się miękko urzeczony i gwałtownie porwany. Zdemolowany i zrekonstruowany na nowych zasadach budowy człowieka. Co było najpierw – muzyka, obraz, słowo? Nie wiem, już dziś nie rozsuplam węzła na nitki. Wszyst-

ko było razem. Wszystko umówiło się, żeby mnie urzec. Zachwycić. Porwać. Fletnia Pana, wspomniane adagio Beethovena, papugi podrywające się z wrzaskiem do lotu, wzajemna delikatność bohaterek, które czeszą sobie włosy, zachwyt nauczycielki nad botticelliańską Mirandą, przeskok Mirandy przez strumień. I jak tego wszystkiego dotknąć raz jeszcze, po latach? Jak wystawić na takie przeżycia własną delikatność, która być może już porosła tłuszczem? Jak zdemaskować odejście mnie samego od siebie, które sprawi, że nie przeżyję tego samego? Przez tamto zauroczenie skradłem foty z kinowej tablicy. Czy dzisiaj bym ukradł? Już sam fakt, że bym nie musiał, bo foty są pewnie w internecie, obnaża zmianę mojego urzeczenia na gorsze...

Jest wiersz, który kocham ponad prawie wszystkie i który pokochał Ryszard Kapuściński: „Milcz, moja duszo”, Camilla Sbarbaro. Opowiada o starzejącym się człowieku, który stał się bezbronny wobec urzekającej urody świata. I nie chodzi wcale o urodę spodziewaną, uważaną za urodę powszechnie. Chodzi o urodę, która nas wybiera do wzruszeń. Stary poeta płacze, kiedy słyszy powiew sukienki, kiedy słyszy pieśń proszalnego dziada na ulicy, kiedy widzi, jak kobieta potrząsa głową, a ruch jej włosów odsłania kark. „Wszystko porusza nim jak wietrzyk martwą wodę w stawie”. Jest bolesnym aktem sprawiedliwości, że bez względu na wiek los pozostawia nam potencjał urzeczeń. Pozbawia nas spełnień przebudzonych nadziei, owszem, ale – jako się rzekło – te prowadzą często do rozczarowań, ulegają erozji. Tym, co nie przemija i nie traci blasku matowego od płaczu, jest urzeczenie nieprzeciągnięte na stronę wcieleni. To może być czyjaś stopa uwolniona z bućka, śpiew kogoś, kogo nie widać, gra na organach – jak u Zagajewskiego – przez niewidzialnego organistę lub piórko spuszczone nam na ramię przez nienazwanego anioła. To może być wszystko i każda, każdy. ●

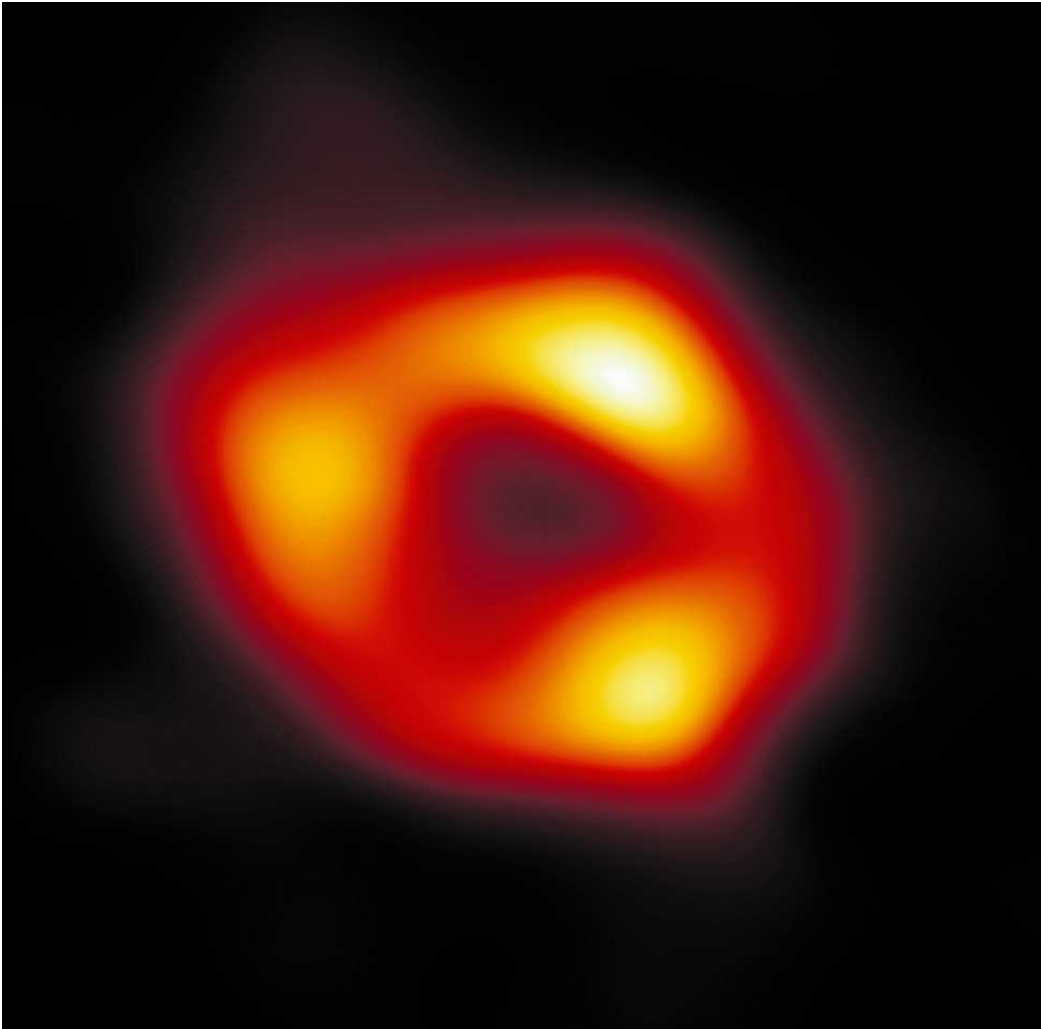
Czarnej dziury cień

To nie śniło się Galileuszowi ani chyba nawet Einsteinowi.

Piotr Cieśliński

Ostatni tydzień zapisze się w historii świata i będzie wspominany w podręcznikach nawet za 100 czy 200 lat. Wcale przy tym nie nam na myśli wojny w Ukrainie. Nie chcę jej banalizować ani lekceważyć, ale wojny toczone przez imperia nie są niczym nowym. Natomiast wydarzenie, które zostanie zapamiętane na zawsze – zdjęcie czarnej dziury w Drodze Mlecznej – jest pierwszym takim osiągnięciem w dziejach naszej cywilizacji. Nigdy wcześniej nie zajrzeliśmy tak daleko i z taką ostrością w sam środek naszej Galaktyki, gdzie znajduje się czarna dziura o masie czterech milionów słońc. Teleskop Horyzontu Zdarzeń (EHT) nie sfotografował jej wnętrza, bo światło, które tam wpada, już nigdy nie może się wydostać. Ale sięgnęliśmy wzrokiem najdalej, jak tylko można. Zobaczyliśmy jej ciemną czelusć na tle rozpalonego obwarzan-ka plazmy, która ją otacza.

FOT. AP



Żeby to dostrzec, trzeba było przełomu technologicznego. Gołym wzrokiem możemy rozróżnić dwa punkty na niebie, które dzieli mniej więcej minuta kątowa. Dla porównania: Księżyc ma średnicę 30 minut. Luneta, przez którą 400 lat temu Galileusz jako pierwszy oglądał niebo i zobaczył góry na Księżycu, miała rozdzielczość około 10 sekund kątowych. Teleskop EHT wyostrzył nam wzrok setki milionów razy bardziej. Dzięki niemu dojrzymy już nie tylko góry na Księżycu, ale nawet niewielki krakowski obwarzanek pozostawiony na ich zboczu. Dokładnie taki rozmiar kątowy ma obwarzanek plazmy na zdjęciu czarnej dziury w centrum naszej Galaktyki. Czarna dziura zakrzywia promienie światła w swoim najbliższym otoczeniu, co sprawia, że widzimy ją jak w powiększającej soczewce. Jest ok. 2,5 razy powiększona – dokładnie tak jak to przewidywała teoria względności Alberta Einsteina już ponad sto lat temu. Na podstawie zdjęć naukowcy mogli wykluczyć kilka alternatywnych teorii i hipotez. Jedna z nich mówiła, że czarne dziury nie skrywają się za horyzontem zdarzeń i są tylko nagą osobliwością, czyli samotnym punktem o nieskończonej gęstości. Inna w ogóle zaprzeczała ich istnieniu, twierdząc, że to są gwiazdy zbudowane z egzotycznego przezroczystego materiału, tzw. gwiazdy bozonowe. Czarna dziura w galaktyce M87, którą EHT sfotografował nieco wcześniej, wygląda bardzo podobnie, choć ma masę tysiące razy większą. To też potwierdza teorię Einsteina, zgodnie z którą wszystkie czarne dziury wyglądają i zachowują się tak samo. To je odróżnia od innych obiektów we Wszechświecie, które są kształtowane przez różne procesy i oddziaływania. Mysz nie przypomina góry, a człowiek – planety. W przypadku czarnych dziur wszystkie różnice niweluje ekstremalna siła grawitacji. One – od najmniejszej do największej – są takie same. Inny geniusz – zmarły niedawno Stephen Hawking – przekonywał, że różnice widać dopiero na poziomie fizyki kwantowej. Może dzięki teleskopowi EHT uda się to potwierdzić, bo w pobliżu czarnych dziur dwie najbardziej fundamentalne teorie wyjaśniające, jak działa Wszechświat w największej i najmniejszej skali – czyli teoria względności i fizyka kwantowa – bezpośrednio się ze sobą stykają. ●

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Kot na miękko

Janusz Rudnicki

Postanowiłem być wspaniałomyślny i zrobić sobie prezent, zamówić coś w sieci. Nie wiedziałem, za co ten prezent sobie samego, co ja ostatnio dobrego zrobiłem. Nie zrobiłem nic złego, ale to nie wystarczy. I przypomniałem sobie. Mniej więcej rok temu ubrałem się odświętnie, żeby nagrodę za twórczość literacką z rąk miasta Warszawy odebrać. Tanecznym krokiem schodzę schodami sobie, a na pierwszym piętrze stop. Stara kobieta i kot razem wysiadują i ona otwiera akurat drzwi, w ręku śmieci ma, a kot wylatuje jej spod nóg na korytarz, i leci po schodach do góry. Streszcze się, stanęło na tym, że to ja musiałem po niego do góry, ona już ledwo schodami w dół. Pnę się, widzę go, on do góry, ja za nim piętro po piętrze. Siedem tych pięter, już na trzecim mam dość, klnę na lokatorkę „ty stara wiedźmo”, na czwartym „ty stara cholero”, na piątym „ty stara prukwo”, na piątym i szóstym domyślcie się sami. Stoi w kącie i syczy, ten kot, nie ja, ja zdejmuję marynarkę, rzucam na niego, biorę go i schodzę. I ona wdzięczna na ciasto mnie zaprasza, nie wypada odmówić, spieszę się, połykam na raz, smaku nie chce mi się nawet streszczać i co dalej? A to: laudatorem Rafał Trzaskowski, goście znamienici. I coś capi. Już po drodze było mi nieswojo, ale w Zamku Królewskim

to już disaster, traci ode mnie do lez. I nagle bingo, to ten kot, ten kot nasikał mi do marynarki. Czułem się jak ktoś niepyszny i żeby skutecznie nie wyjść na idiotę jak na wiesz-cza przystało, prawdę powiedziałem. Aplauzowi nie było końca, a Rafał, bo przeszliśmy od razu na ty, w ramach przymierza świata polityki z literaturą zaproponował wymianę koszul i marynarek, na co ochoczo przystałem, ale... ...do rzeczy. Jajowar jest precyzyjny. Ma też funkcję „Reheat”. Po co, zapytacie, odpowiem tak. No założmy, że robię sobie jajka na miękko i dzwoni telefon, ze szpitala, pański ojciec jest w stanie ciężkim, miał wypadek, podał pański numer. Więc ja spokojnie i bez nerwów jadę, i na luzie siedzę przy łóżku nieprzytomnego ojca, a on albo dochodzi do siebie, albo nie. Założmy, że nie, i ja sobie spokojnie wracam do domu, ponieważ? Bo podgrzać mogę sobie te zimne jak, nie przymierzając, mój ojciec jajka i spożyć ciepłe. I to na miękko, tak jak chciałem. Nigdy nie udawało mi się zrobić jajek na miękko, no bo tak: jeśli one z lodówki, to jak liczyć czas, też trzy minuty? Zawsze wychodziły mi za miękkie lub za twarde, jak wszystko w moim życiu. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





Iga i pięciu muszkieterów

Autorem wielu haseł jest **Artur Andrus**

Cale dwa razy w życiu grałem w tenisa. Raz na jakichś kortach na Ursynowie, a drugi raz w Iron Gate Open – na placyku na osiedlu Za Żelazną Bramą, gdzie na asfalcie narysowane były linie, a za siatkę służyły ustawione w poprzek ławki.

Właśnie wtedy rozegrałem też najważniejszy pojedynek w życiu. Otóż przystąpił do nas jakiś wczorajszy czy nawet przedwczorajszy pan, który przedstawił się jako „mistrz Polski juniorów z Sopotu” i zapytał, czy z nim nie poodbijamy trochę. Fachowo objaśniał, jak należy trzymać rakietę, potem jak na mistrza przystało huknął kilka razy z forhendu tak, że trzeba było zasuwać pod sąsiedni blok po piłkę, po czym życzył nam wielu tenisowych sukcesów.

Tych niestety nie udało się osiągnąć, ale wielki sentyment, jako kibic nie tylko w kapciach, do tej dyscypliny zachowałem.

Do kibicowania w kapciach przyznaje się także Artur Andrus, który dla Państwa ułożył pięć haseł do dzisiejszej Weekendówki, która poświęcona jest właśnie tenisowi. „Pił w Spale, spał w Pile, nie gra w tenisa, nie zna się, a wymyślił 5 haseł do krzyżówki tenisowej” – to próbka szaradziarsko-tenisowych umiejętności naszego gościa.

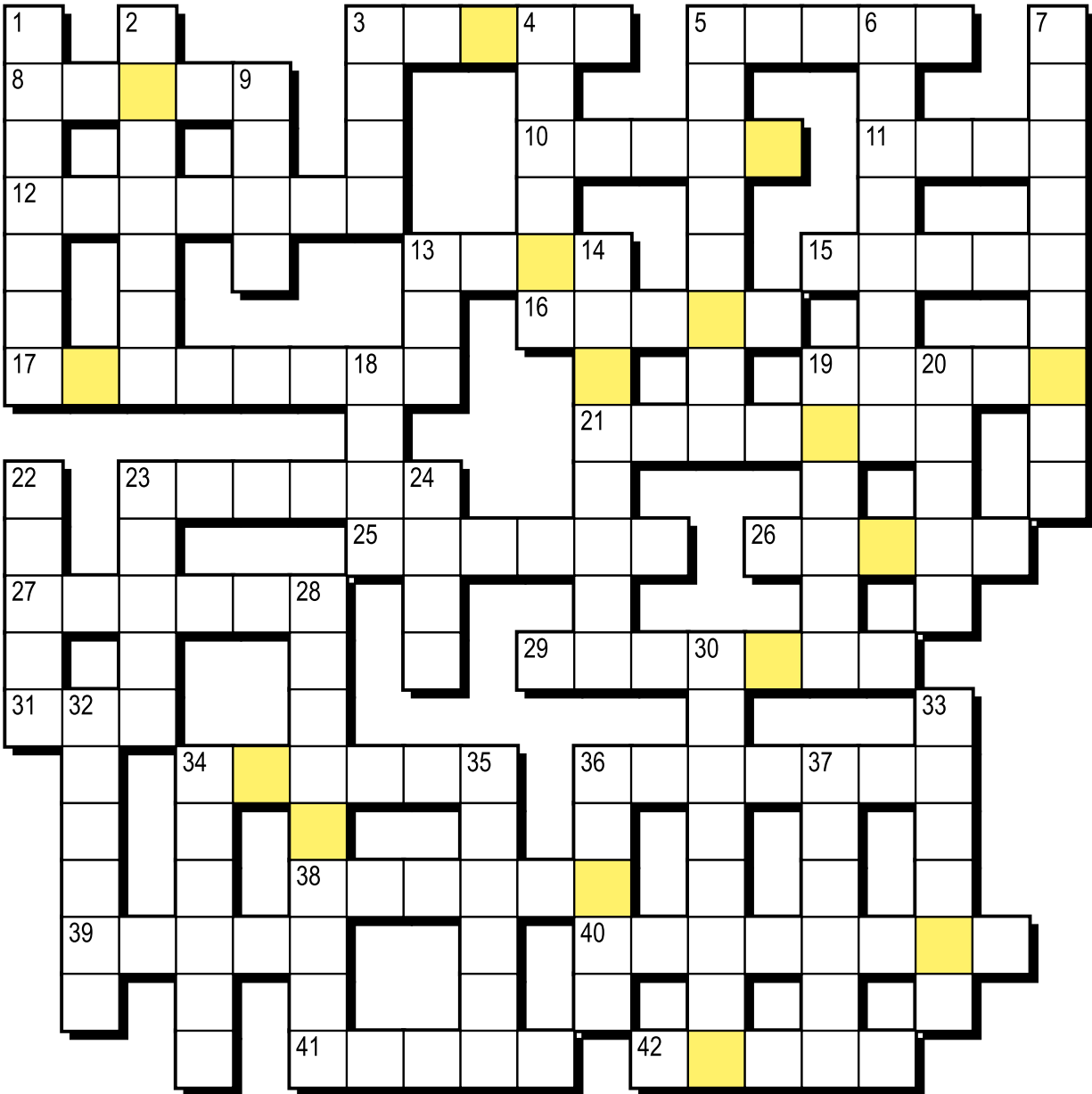
A to wszystko dlatego, że w Paryżu startuje tenisowy turniej Rolanda Garrosa, którego faworytką jest Iga Świątek. Polka wyczynia na korcie rzeczy niezwykle: 28 zwycięstw z rzędu, wygranych pięć kolejnych turniejów i bezapelacyjna pozycja nr 1 w światowym rankingu.

Korty Rolanda Garrosa powstały dzięki sukcesom czterech dawnych gwiazd francuskiego tenisa, zwanych czterema muszkieterami. Weekendówka swój motyw przewodni zawdzięcza muszkieterom pięciu: Do Brugnona, Borotry, Cocheta i Lacoste’a dokładamy bowiem Andrusa.

Trzymam zatem kciuki za Igę i trzymam kciuki za Państwa. Allez! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie Weekendówki nr 1 z poprzedniego tygodnia:
SALONIK PRASOWY



Hasła Artura Andrusa oznaczono inicjałami AA. Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

POZIOMO:

- 3)** pan i pani kontra pan i pani
- 5)** ten sport mnie po prostu korci!
- 8)** Naomi, dwukrotna zwyciężczyni US Open
- 10)** imię Federera
- 11)** ciężka praca, męka treningów, znój meczów
- 12)** „kucharz” się wymieszał – i mamy tenisistę
- 13)** 7 pionowo, ale skrótowno
- 15)** krowie do jedzenia, ludziom do leżenia, poecie do pisania o tym, jak rośnie, tenisistcie do grania (AA)
- 16)** gdyby ktoś użył błędnej formy czasownika „szedłem”,

w dodatku na klawiaturze bez polskich znaków (AA)

- 17)** turniejowa, gimnastyczna lub sznurowa
- 19)** na korcie paść nie może
- 21)** pośle asa
- 23)** podbijany raketami
- 25)** siostra Venus Williams
- 26)** faza turnieju tenisowego, walki bokserskiej
- 27)** ... seta (no nie poszło...)
- 29)** klasyfikacja
- 31)** według Ewy Bem „Każdy... bierze raz”. A jak jest ich dużo, to są... W pokerze mogą być cztery (AA)
- 34)** Roland Garros
- 36)** polska tenisistka, półfinalistka French Open w 2021 r. w grze podwójnej

- 38)** Artur, pił w Spale, spał w Pile, nie gra w tenisa, nie zna się, a wymyślił 5 haseł do krzyżówki tenisowej
- 39)** wciąż w światowej czołówce tenisa
- 40)** ... gry w tenisa (jak uderzać, jak się poruszać)
- 41)** ... dopingowa A.D. 2016, w roli głównej: Maria Szarapowa
- 42)** grupa sportowców reprezentująca klub lub kraj

PIONOWO:

- 1)** ... i bekhend, czyli w radosnym tłumaczeniu: odsieb i dosieb
- 2)** Porsche dla zwyciężczyni turnieju w Stuttgarcie
- 3)** gem, set i on
- 4)** może być porcelanowy, ale nie na korcie

- 5)** tenisowy termin z liter wyrazu „bakterie”
- 6)** inaczej o necie (a w nim tysiące serwisów)
- 7)** Agnieszka, ekskrólowa polskiego tenisa
- 9)** przpuszcza się (oby nie autowy!)
- 13)** Piątek – Krzysztof, Świętek – ?
- 14)** Wiktoria, białoruska tenisistka
- 18)** przerzut piłki z jednego rogu kortu w drugi, przeciwniegi
- 19)** serial z lat 80. Zły mąż wrzucił żonę Stephanie do krokodyla. Ale ona przeżyła. Po polsku to „Powrót do Edenu”, a po angielsku „... to Eden”. A w tenisie to odbicie piłki serwisowej (AA)
- 20)** imię sportsmenki z pozycji 36 poziomo

- 22)** ciąg kolejnych sukcesów, np. wygranych turniejów
- 23)** „Szalejcie, aorty, ja idę na ..., roboto, ty w rękach się pal”
- 24)** wygrywane... porcje wódki?
- 28)** ojczyzna Ashleigh Barty
- 30)** sprawność fizyczna, forma
- 32)** imię Halep, rumuńskiej tenisistki
- 33)** Ana Ivanović, rodaczka Novaka Djokovicia
- 34)** z dzielnicą Wimbledon (nie ma takiego miasta – jest Łądek...)
- 35)** Angelique, niemiecka tenisistka, zwyciężczyni Wimbledonu w 2018 r.
- 36)** ... ATP
- 37)** prowadzi sportowca

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play